











JOACHIM LELEWEL.





DLA GŁODNYCH!



# PISMO ZBIOROWE

Z UTWORÓW KOBIECEGO PIÓRA

wydane

staniem Towarzystwa Oszczędności Kobiet.



Lwów,

NAKŁADEM TOWARZYSTWA OSZCZĘDNOŚCI KOBIEC.

W drukarni Stauropigiańskiego Instytutu,

pod zarządkiem Jana Puchyry.

1890.



Cena 1 zł.



LPI 1 d

0-1c

567535

III

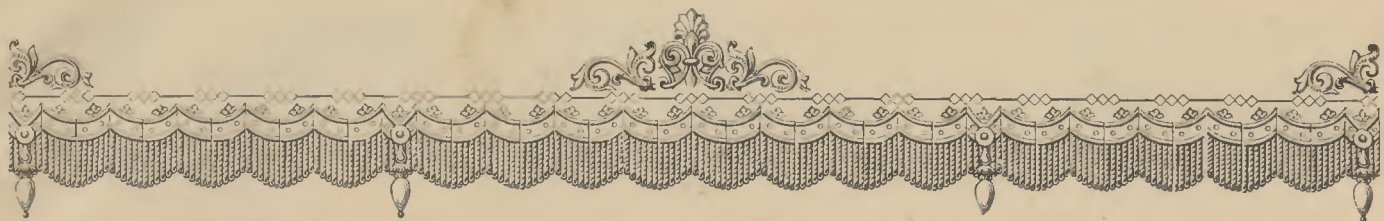


K-46/2832

16.3 100.-







## WSTĘP.

Wiednemu, dotkniętemu klęską głodową ludowi wiejskiemu w Galicyi niesiemy pismo zbiorowe, z utworów kobiecego pióra złożone. W niém jak w ognisku „zestrzeliły się serca“ niewiast ze wszystkich dzielnic polski, pod wspólnem hasłem „dla głodnych“ przy wspólnej pracy dla ludu, na znak jakoby widomy wspólnego zjednoczenia się po całowiekowej rozłące...

A jakżeż to serdecznie i gorąco spieszono do tego ogniska!

Zaledwie Towarzystwo Oszczędności Kobiet, spełniając swoją raz przyjętą missyą, szerzenia idei solidarności narodowej i patryotycznej ofiarności — zawezwało „do pióra“ niewiasty nasze, a natychmiast ze wszystkich zakątków ziemi rodzinnej, nawet z dalekiej obczyzny, spieszono tłumnie i ochoczo z darami myśli i uczucia, przybranymi w artystyczne i literackie kształty. Najznakomitsze pióra autorek polskich złożyły piękną dań swoją, łącząc się z orszakiem sióstr młodszych, błyszczących na przemian polotem talentów i iskrą współczucia dla potrzeb krajowych.

Ocena dla tych utworów, płynących przedewszystkiem z twórczości myśli ofiarnej, rodzimój, solidarniej — musiała najpierw zatrzymywać się na wyżynach tych uczuć...

To też z punktu ich widzenia — komitet redakcyjny, przyjmujący do rąk swoich z serdecznem wzruszeniem i wdzięcznością nadsełane mu prace, radby był wszystkie pomieścić w Zbiorowem piśmie; wszystkie, wraz z dołączonymi do nich listami, zwilżonymi nieraz tak rzewną, tak zacną łzą tęsknoty i obywatelskich nadziei;... ale nie mogąc zbyt znacznie przekraczać granicy objętości dla podobnych wydawnictw zakreślonej, zmuszony był do ściślejszego wyboru, do skracania nawet niekiedy prac nader cennych, nie mógł skorzystać z całej obfitości zbiorów, jakie mu niwa zacnych serc przyniosła; nie mógł zwłaszcza skorzystać z prześlicznych rysunków znakomitych artystek naszych, których wydanie byłoby znacznie zwiększyło kosztą zbiorowego pisma „dla głodnych“.



Komitet Redakcyjny łagodzi sobie swój żal z tego powodu, serdecznem na tem miejscu słowem podziękii dla wszystkich współpracowniczek w téj sprawie, a łącząc przytem wdzięczność dla Wielm. Radcy M. Bodyńskiego, jakoteż i innych życzliwych osób, co mu swoją pomocą ułatwiły zadanie — oddaje z ufnością pismo zbiorowe w ręce czytelników.

Napis książki „Dla głodnych“ sam jéj utoruje drogę do serc bratnich, klęskę włościan naszych odczuwających; bo chociaż pola okryły się zielenią i wkrótce kłosy błysną złotem, to iluż kmiotków nie będzie miało prawa do tych kłosów, bo ich nie mieli z czego zasiać, nie mieli czem zaorać ziemi...

Klęska głodowa ludu nieprędko jeszcze się zagoi... Oby z téj pracy niewiast zrodziło się ziarno dla najbiedniejszych.

*Lwów w Maja 1890.*

**Komitet Redakcyjny Towarzystwa Oszczędności Kobiet.**

Małczyńska Antonina

Szczepanowska Helena

Szczęsna

Wysockowa Marya.





## WSPOMNIENIE.

Wieżowej celi politycznego więzienia w Kijowie, przy oknie siedzi więzień. Rany na ciele jego świadczą o niedawno przebytej walce za niepodległość. Widok na daleki świat otwarty to jedyna wolność, jakiej więzień może używać, i wzrok przynajmniej nieprzykutych do ziemi zapuszczających w przestrzeń nieskończoną, której tłem jest Dniepr, zieloność i błękit. Marzenie jest najwyższym szczytem, bo daje nam widzieć najodleglejsze, najnieodleglejsze dla nas miejsca. Więzień marzy i na tle Dniepru i zieleni maluje obrazy swej rodzinnej Wielkopolski. Z oczyma na zachód zwróconymi codzień te same odtwarzają obrazy: te same bujne równiny nad Wartą, te same wieże kościoła Mieczysławów i więzienia Ludgardy. O, czemuż za wzrokiem polecieć nie może dusza tam, na krańce widnokregu! Czy tam walka wre jeszcze? Czy ten pas czerwony co znaczy granicę nieba, to purpura zachodzącego słońca czy też ginącego narodu, który walczy o wolność — luna wojny i zniszczenia.

Błada twarz więźnia dziś smutniejszą jest niż zwykle. Nie widzi nieba, które oddzielone chmurami, zabrało światu słońce, blask i ciepło. Coraz czarniejsze fale chmur ciągną z północy niby gromady czarnych duchów, których miecze ogniste — to błyskawice. Gromy coraz bliższe i częstsze zdradzają, że walka żywiołów na niebie coraz bliżej się toczy. Więzień myśli o tem, że on tak wysoko pod dachem wieży, tak bliski jest tej walki, że metalowy szczyt dachu zetrzeć się może z ognistym mieczem czarnego anioła, a piorun tylko i grzmot walącego się szczytu powie pustej przestrzeni, że tu mieszkała dusza człowieka, który walczył i tęsknił. Więzień myśli o tem, że w tak młodym wieku nikt

nie spłacił pomimo ran, długu zaciągniętego względem ojczyzny, że prócz krwi wylanej na polach Ostrołęki jest jeszcze krew serca pełnego miłości, i myśl dzielna, miecz nierdzewiejący. Czyż to więzienie jest przybytkiem noszącym u wnijscia napis: Zaniechajcie wszelkiej nadziei wy, co tu wchodzicie? Nie! Fatalna siła przyrody nie może zabić tego serca, które bucha potęgą miłości, i rwie się ku swej nieszczęśliwej ojczyźnie... — Wzywa dozorcy i rozkazującym głosem żąda zmiany więzienia. Siła, z jaką wypowiada słowa: Ja stąd wyjść muszę, ja nie tu chcę zginąć! — oddziałuje na dozorcę, który czuje w tem moc przeczucia.

Jakoż zaledwie więzień znalazł się w innej celi ponurego gmachu — piorun roztrząskał wieżycę. Więzień oślepiony blaskiem błyskawicy i przerażony siłą swego przeczucia pada na kolana, dziękując Temu, który go wywiódł z zamętu bitew, który ludy wyprowadza z domu niewoli.

Gdy podniósł czoło z długiej zadumy i spojrział zakratowanym oknem, świat znów był piękny i świeży, znów niebo oddało ziemi po burzy słońce, blaski i ciepło. Więzień spoglądał jak przedtem na piękne tło obrazu: Dniepr, zielen i błękit — i znów na niem malował krajobrazy drogiej Wielkopolski. Ale serce teraz pełne miał otuchy i wiary, że wróci kiedyś tam, za tę granicę czerwoną zachodu i będzie mógł jeszcze pracować i walczyć myślą i czynem.

Tym więźniem był mój ojciec, żołnierz z 30. roku.

Wspomnienia rodzinne i narodowe płyną przez duszę jednym strumieniem.

Z *Cybulskich*  
Ant. Ambroziewiczowa.

Pomorzany.



# Chleba naszego!

Czas spać dziecino! złóżże rączęta,  
„Przed świętym klękni obrazem,  
„Podnieś nabożnie w górę oczęta,  
„Paciorek zmówimy razem.

„Ojczy nasz!... wznies-że oczki do nieba,  
„Bo grzeczne dzieci Bóg kocha,  
„Chleba naszego!... „Ja nie chcę chleba!“  
Woła matczyna pieszczocha.

„Chleba naszego?!... o nie! mateczko,  
„Bo na cóż chleba dla Nusi?  
„Ja chcę bułeczkę albo ciasteczko,  
„Dość chleba jest u mamusi!“

\* \* \*

„Chodźże ty moje biedne maleństwo,  
„Czas klęknąć nam do pacierzy —  
„Czas snem zakończyć znów dnia męczeństwo,  
„Choć w chłodzie i... bez wieczerzy...

„Wzniesmy do Boga modły serdeczne —  
„Ojczy nasz!... odpusć nam winy!  
„Bóg kocha dzieci dobre i grzeczne,  
„Usłysz prośby dzieciny.“

I dziecię w zimnej izbie klęczące  
Wznosi oczęta do nieba,  
„Ojczy nasz!“ — woła głodne i drżące,  
„Chleba naszego!... daj chleba!...“

Lwów.

Anda.

## ŁZA.

Zmateralizowany wiek dziewiętnasty, śmiejący się szyderczo z wszystkiego, co z sfer uczucia pochodzi, który szatą ciemną, szarą, brudnego naturalizmu drapuje wszelkie porwy wznioślejsze duszy, jakżeż urągać musi tej przejrzystej kropli, która z serca ludzkiego do oka płynie. Ten wiek rozumu i rozważa, który szkiełkiem bada wszystko w przestworach i na ziemi — zanalizował boleść, rozpacz i cierpienia — odmawiając im racji bytu, nie dojrawszy przy subtelnym rozbiore mikrobu, któryby był ich przyczyną, on na zawody i burze życiowe — zna tylko zimny rozsądek i tem czołem ze spiżu przewalczając się stara los kamienny, zaporę stającą w drodze. Z cynizmem wykrzywiając twarz swą bladą, trupią, patrzy okiem wyschłym na tę łzę, która mimo jego filozoficznych argumentów płynie cicho tam, gdzie prawdziwa niedola pomocy bliźniego woła!

Ha! i cóż jest ta łza, której dotknięcie wilgotne tak silnem bywa, której wieki ubie-

głe mdłego sentymentalizmu poświęciły tyle papieru — to uczucie, zamienione w wodę, lub może błakające się chmurki ludzkich namiętności, które, dostawszy się w sfery człowieczego jestestwa, stamtąd przemocą wypchnięte, gęstymi kropelkami przedostają się wąskim otworkiem niewieściego najczęściej oka; lub może też w końcu bywają pomocnikiem cennym biednego adepta Eskulapowego, co wteżywszy wszystkie siły umysłowe dla spreparowania jakiegoś elaboratu — nagle widzi swą pacjentkę, której rozstrój celebralno-nerwowy obawę budził, cudownie uleczoną nagłym potokiem łez!

O! nie szydź, bluźnierco, zastygły starcze z dziewiętnym krzyżykiem na głowie, łza to dar Boży; uszlachetnił i wyróżnił nim Stwórca człowieka po nad inne stworzenia; przez łzę również jak przez mowę nie mamy nic wspólnego ze zwierzętami! Podziwiamy śpiew dziękczynny skowronka, wzbijającego się z modlitwą w niebiosy, zachwycają nas rzewne tony ulubionego kochanków śpiewaka, naszego słowiczka, co serdeczną tęsknotę wylewa w pieśni, ale nie ma łzy w czarnym oczku! I mówią ludzie, że łzy to broń, słabość, wada tylko niewieścia, a przecież bywają łzy wzniosłe, szlachetne, które i męskiego nie hańbią oka i częściej wypowiedzą więcej, niż najpiękniejsze krasomowcze słowa; bo łza to mowa bólu, mowa cierpienia, tak wielka i silna, a tak zrozumiała, której się uczyć nie trzeba i każdy ją pojmie, kto ma serce i czucie!

A, wieku dziewiętnasty, czy masz ty serce w twej zapadłej, suchej piersi?... Czy tam kołace cieplejsze czasem uczucie prócz egoizmu?... Ty igrasz z boleścią ludzką, rozrzucasz klęski i niedole, a potem ręką tą samą wskazujesz, gdzie pomocy wołają!

Szalone pomysły zestarzała snuje twa głowa; — co rok to gorszy, coraz to nowsze nawiedzają nas biedy: — przewracasz w szalonym zapędzie wszystko dawne, cośmy ukochali i na gruzach starych ołtarzy, stawiasz nam obce, straszne jakieś bogi, wypędzasz sieroty z pod dachu rodzinnego aż gdzieś — na dzikie rozdroża! Otarłeś zboczony, straszny miecz wojenny, toś znów postawił armię rozszalałych żywiołów do walki i zdawało się, żeś swą mściwą ręką podniósł tamy wszystkich mórzy i rzek, żeby niszczącą falą zalać dobytki nasze. I nie dosyć ci było tego straszliwego spustoszenia, chciałeś szatańską orgią świata pokazać — i sprowadziłeś... niby widmo czarne, okropne, jakim nas niegdyś niańki w kołyskach straszły — głód! —



Patrz, jaki straszny obraz roztacza się przed twym dzikim wzrokiem: — tysiące wychudłych ramion, w konwulsyjnie splecionym uścisku, woła jękiem boleści o kęs chleba, którego nie mają; matki, wijące się w niemej rozpacz z bladym i głodnym niemowlęciem u zaszchłej piersi, łzami je karmią w strasznej swej niedoli, tymi łzami matek, które tak wszechmocną mają siłę, a które przekleństwo sieją na twą głowę!

Ty drżysz, starcze, chwije ci się ta rozumna głowa, mięknie i ty pod dotknięciem tej wilgotnej, ciepłej łzy, czujesz, żeś za daleko zaszedł w tej strasznej igraszce, pra-

gniesz pomoc, szukasz grosza w kalecie i ręką swą własną błagalnie wypisujesz słowa, nawołując nas do miłosierdzia, do wspólnej pomocy. Spieszmy też chętnie, a choć i u nas płaczą i u nas ciężko, nie wolno nam zapominać o bratniej doli, choćby ból nasz był największym; spieszmy do nich, do tych braci, sercem i radą starajmy się otrzeć im łzy — zagoić rany bólu, z których się sączy krew bratnia, bo:

„Łza, to krew także — tylko krew nie z ciała,  
„Lecz z duszy — dlatego wskroś przejrzysta, biała“.

Poznań.

Zofia Antoniewicz.

## JEZIORO.

Szeptem cichym szmerzą fale  
Jeziora,  
Księżyc srebrzy je wspaniale  
Z wieczora,  
Słońko w złote smugi stroi  
Od rana,  
Nocą — gwiazdy — szyba dwoi  
Lustrzana.  
Wonne kwiecie w koło wieńczy  
Wybrzeża,  
Złota wierzba w smutku kłęczy, —  
Rozszerza  
Swe ramiona — listki ciska —  
Na tonie,

Trzcina wodę tuli zbliżka  
Na łonie.  
Ranna zorza — wiotką szatę  
Różową,  
Złotem tkaną — kładzie na tę  
Królową.  
A wieczorna — płaszcz z purpury.  
Czasami  
Znów noc ciemna — skrywa w chmury  
Z gromami.  
Zima lodem fale skuwa,  
W biel stroi —  
Jesień w zawój skroń osnuwa  
Z mgły swojej.



Na dnie piaszczystem — pośród zieleni,  
Ryby pływają swobodnie,  
I tu i owdzie gonią w przestrzeni,  
Gdzieby im było dogodnie.  
Naprawdę człowiek granice stawia,  
Zabija pale i słupy,

Naprawdę kłótnie i spory wznawia,  
O łowów jeziornych łupy,  
Ryby znać nie chcą granicznych pali,  
Ani prawniczej ustawy,  
Gdzie im dogodniej — bliżej czy dalej —  
Szukają żeru — zabawy.



Również się dzieje w krainie ducha,  
I tu nie znaczą ziemi podziały,  
Nikt nie rozerwie myśli łańcucha,  
Ani miłości nie skruszy skały!  
Czy Lwów — czy Poznań — czyli Warszawa,  
Jednym duchowem spojone życiem,

Serca jednakiem uderzają biciem;  
Łączą nas boleść — szczęście i sława.  
I stara chwała w przeszłości,  
Nowe nadzieje w przyszłości!

Królestwo Polskie.

Eniela.

## CZCZONY DĄB.

Fantazya.

**W** dzikiej krainie za brzegiem lasu,  
w którym rój ptactwa hucznie świergotał i gwarzył — stał dąb samotny, z dala od braci odsuniiony.

Sam stał, bo tak umiłował ziemię, na której wyrósł, że chciał szerzej nad nią rozciągać ramiona; chciał wielki jej szmat swym cieniem od spieki zasłonić i głowę chciał swobodnie móc ku niebu wznosić, by w chmury patrzeć i rozległą, rozległą przestrzeń obejmować wzrokiem.

W małej krainie dąb wszyscy znali — i czią otaczali wielką.

Lud widział, że on pierwszy o wschodzie witał słońce swym wyniosłym szczytem; ostatni żegnał, gdy promienie gasły. Że pierwszy pił rosę z mgły porannej, pierwszy na wiosnę okrywał się liściem — ostatni szatę porzucał w jesieni.

Jego szum — to był dla ludu wyroczni głos.

Bo w szumie tym lud czuł męstwo, potęgę olbrzyma, co po przez chmury widzieć umie światło — nieskończoność.

Burze szalały — dąb stał. Wichry gięły i łamały wątlých — dąb stał. A gdy wreszcie grom własną pierś jego rozplatał na dwoje — stał i rozdartymi ramiony jak przedtem obejmował ziemię.

Lud tedy kornie schylał przed nim głowę, wołając: to nasz dzisiejszy wieszcz, nasz duch — nasz Bóg!...

Razu jednego, o wczesnym zmroku, pod wielkim dębem siadła dziewczyna. Sierotą była — sama na świecie.

Spojrzała w górę — i zobaczywszy rozdartą pierś dębu — zapłakała.

— „Toć i on sam“ — pomyślała z żalem — i potem długo, długo dumiała.

— „Słuchaj! — rzekła w końcu, otworzywszy powściągliwe usta. — Tyś wielki i czczony jak słońko, jak niebios król! Aleś samotny!... Wiem, żeś ty za własną wolą sta-

nał na wzgórzu, od innych zdala... Wiem, żeś nad wszystko ulubił tę ziemię i w niej masz drogą siostrę i kochankę... Wiem, żeś tak silny, iż cię ni burza, ni wichur nie zwali, ni słońce spali, ani zgryzie czas... Aleś sam, jeden sam!

Chcesz? — dam ci serce, gdy inni hołd dają.

Chcesz? Ja co dnia ziemię będę kopać własnymi rękoma, byś pod stopami miękką miał pościółkę!... Chcesz? Ja ci wodę co dnia ze źródła przyniosę, byś podczas skwaru miał świeżą ochłodę!... Chcesz? Ja pierś twą z pyłu pocałunkami zetnę, łzami zmyję... Listki twoje rozprószone zbiorę i wieńce ze wszystkich uplotę i do kościoła naszego zaniosę, na wieczną dla ludzi pamiątkę, a twą chwałę...

Chcesz? — powiedz słowo! — a ja cię nie odstąpię nigdy, dopokąd sił i życia starczy...

Dumny dąb słuchał — wreszcie konarami wstrząsnął.

— Dziecko! — rzekł z wolna — czy nie wiesz, że są wśród lasu drzewiny, a wśród ludzi ludzie, którym serca dla siebie mieć nie wolno?

Pomyśl, dokąd sięgają moje szerokie ramiona, co ogarniać muszą — gdzie wzrok mój bieży — co duch stwarzać winien! Pomyśl, że wszystkie moje uczucia do całej należą krainy... Chmura po niebie sunąc, z ust mi zbiera słowa i echem po świecie roznosi... A miłość moja wszystka w ziemię spływać musi jedną falą, ku skrzepieniu braci...

Mój uścisk — zgniótłby twoje wątlę ciało. Moje serce — pożarło twe serce. — Idź!... jeśli zginąć nie chcesz! A gdy twa wola ze mną zostać — wyłącznej nie żądaj nagrody.

Ciemność zapadła po zmroku ponura. Gwiazdy na niebie tej nocy — pomarły. Tylko wichur huczał w borze.

A rankiem — znaleziono pod dębem nieznaną dziewczynę — z roztrzaskaną o pień głową.

Kielce.

Stanisława Ariel.



## Do głodnych w Galicyi.

Głód wam zagraża; o bracia biedni,  
Zbiory w tym roku są mniejsze,  
Ale łakniecie nie sami jedni,  
Są od was ludy biedniejsze.

Ach! Czy wy znacie owe cierpienia,  
Cięższe od wszystkich katuszy,  
Od plagi głodu, i od pragnienia,  
Ten wieczny, straszny głód duszy!...

Znacie wy, co to pragnąć swobody?  
A żyć wśród kajdan niewoli,  
Gdy myśl się zrywa jak orzeł młody,  
A zamrzeć musi powoli.

A czy wy wiecie jak serce płacze.  
Za swoją ziemią kochaną,  
Jak za nią tęsknią biedni tulacze,  
Gdy z niej wygnani zostaną?...

O drodzy bracia! Pocierpieć trzeba,  
Ale.. szczęśliwe narody!  
Którym choć cza sem zabraknie chleba,  
Nigdy nie braknie swobody!...

Warszawa.

Artaola.

## PRZED GMACHEM TEATRALNYM.

WSPOMNIENIE.

Diva! Diva przyjedzie! Wieść tę słyszałam  
w koło; powtarzali ją wszyscy: starzy, młodzi,  
kobiety, nawet dzieci.

Miasto X., w którym dla kuracyi przebywa-  
łam od tygodni paru zaledwie, ale które pozna-  
łam już tyle, że sądziłam go spokojnem tylko,  
cichem miastem pracowitych ludzi, zmieniło jakoby  
nagle postać po odebraniu od dyrektora miejsco-  
wego teatru — telegramu, brzmiącego:

„Diva przyjeżdża! — przygotować godne jej  
„przyjęcie.“

Wieść ta obiegła miasto i poruszyła całe.  
Starzy swej senatorskiej rzekli się powagi, mło-  
dym przybyło zapału, kobietom entuzjazmu, dzie-  
ciom ciekawości.

Diva bowiem — młoda, sławna, piękna; bo-  
żyszcze nietylko starej Europy, ale i nowej z za  
Atlantyku półkuli; diva wielbiona wszędzie, miała  
nareszcie do X. przyjechać.

Dyrektor teatru, pan możny i gorący sztuki  
czciciel, mimo wielokrotnych prośb i usiłowań,  
nie mógł dotąd sławnej divy do odwiedzenia mia-  
sta X. nakłonić. Gdy jednak dzienniki podały  
wieść, że śpiewaczka wróciła z Ameryki i wy-  
biera się w podróż po Europie, postanowił prośb  
spróbować znowu i pojechał, by błagać, zakli-  
nać. Tym razem prośby skutek odniosły i szczę-  
śliwy dyrektor przysłał miastu swemu tę wieść  
upragnioną.

Dzień przybycia artystki wkrótce miał nastą-  
pić. Radzono.

Więc zamawiano bukiety, wieńce, układano  
serenady, projektowano naszyjnik perłowy, bry-  
lantowy dyadem, laur złoty.

Czyżby gród X., prastary, przodujący od tak  
dawna grodom innym pamiątkami, bogactwem,  
kulturą — miał w uwielbieniu dla sztuki, dać

się wyprzedzić grodom innym swego kraju, o —  
nigdy!

Więc stara Melpomeny świątynia przystroiła  
się jak gdyby w nowe szaty na tę uroczystość  
wielką. Popłynęły pieniądze, by zdobyć w niej  
miejsce, miejsca choćby kawałek. Zwieziono z mia-  
sta wszystkie krzewy i kwiaty, by nimi sień,  
schody, kolumny i posągi przystroić. Wszystko  
było gotowe; czekano.

Nadszedł nareszcie dzień oznaczony, wieczo-  
rem miano ujrzeć i usłyszeć artystkę.

Porwana zapałem ogólnym i ja razem z in-  
nymi przed rozpoczęciem opery, znalazłam się pod  
koluzinadą teatralnego gmachu.

Zdała już płonął on łuną tysiacych gazo-  
wych płomieni; białe kolumny i marmurowe po-  
sągi, wysmukłe cyprysy, okryte kwieciami poma-  
rańczowe krzewy, purpurowe kamelie i festony  
z zieleni; przytłumiony dźwięk muzyki i tłum  
różnorodny, oto całość obrazu. A tłum ten, —  
niecierpliw, drżący; oczy płoną, usta wyrzucają  
tylko wykrzykniki, — piersi podnoszą się przy-  
spieszonym oddechem.

Z drugiej zaś placu strony, wielka wspa-  
niała zczerniona wiekami gotycka świątynia z wy-  
smukłymi wieżami u szczytu; obok ponure mury  
starych gmachów o wąskich oknach i spiczastych  
dachach, a nad tem wszystkim w górze, szafi-  
rowe przestrzenie z gwiazd miliardami.

Z po za świątyni, z jednej z wąskich, ciem-  
nych uliczek wysunęły się na światło gwiazdzi-  
stej nocy dwie postaci kobiece. Okrywają je  
ciemne płaszcze, w około głów mają jakby skrzy-  
dła białe; ręce mają złożone na piersiach, głowy  
pochylone ku ziemi.

Uszły kroków kilkadziesiąt zaledwie i nagle  
podniosły oczy, stanęły zdumione; płonący obraz  
przeciwległej placu strony zadziwił je, — zatrzy-  
mał w miejscu, przestraszył.

Starsza kobieta, z bielejącym już włosom nad  
skronią, z łagodnym spojrzeniem błękitnych oczu  
i pochyloną postacią, popatrzawszy na tłum ten  
chwilę, z dziwnym, trudnym do określenia pół-  
uśmiechem, zwróciła się powoli do młodej towa-  
rzyszki i ręką go wskazała.

Młoda o śniadej twarzy, ciemnem oku kobieta,  
patrzyła w niego z brwią namarszczoną; na pię-  
kne lice blade występował rumieniec, zwróciła  
się żywo do towarzyszki.

— Matko Felicyo, — jak ich ominąć, nam  
tamtędy droga?

— Ominąć nie możemy, — iść potrzeba, bo  
spieszcy musimy.

Młoda kobieta stała w miejscu.

— Siostró Sylwio, iść trzeba, rzekła starsza  
łagodnie.

— Iść... rzekła drżącym głosem, idźmy — ; i na-  
gle ciemne oczy błysnęły płomieniem, zarumieniona  
przed chwilą twarz zbladła, rękę jedną wycią-  
gnęła jakby z prośbą ku towarzyszce, a drugą,  
tuląc coś do piersi, szeptała.... pójdziemy, idźmy,  
ale matko, pozwól, ja wśród nich wejde, powiem  
do nich słowo, dłoń z skarbonką wyciągnę.

— Chcesz... spróbuj siostró.

— Pójdę... matko, przecież i oni w piersiach  
serca mają.

— Idź siostró.

Poszły obie, — za chwilę przed tłumem sta-  
nęły; młodsza piękna, blada, drżąca, z łzą u pło-



nałej źrenicy, z sercem kołaczącym w piersi bólem ściśniętej, postąpiła krok naprzód a podnosząc skarbonkę przed tłumem, brzęknęła nią. — jak prośbą, jak skargą, — jak jękiem...

Na skarbonce był napis:

### Dla głodnych.

Tłum stanął cichy, niemy.

Z ostatnim skarbonki jękiem rozległ się turkot przed gmachem a z karety wychyliła się piękna klasyczna twarz artystki. Spojrzała po tłumie — milczała, patrząc to na nią, to na drugą niewiastę z wyciągniętą dłonią.

Artystka patrzyła zdumiona; raz pierwszy milczano, gdy ona się jawiła, lecz rzuciła jedno jeszcze spojrzenie, spostrzegła kwestarkę, a zwracając się do towarzyszącego jej dyrektora, spytała nagle swoim śpiewnym narzeczem o napis na skarbonce.

Usłyszała odpowiedź.

Czarne oczy zajaśniały ogniem, zapłonęło lice, — odrzuciła drzwiczki karety i jednym skokiem była już przy kwestarce.

Ręką w fałdach aksamitnej sukni szukała kieszeni — lecz uczuła iż pusta. Tej sekundy odpięła bransolety, łańcuszek, medaljon i kolczyki, a patrząc płonącymi oczami w natchnione oblicze kwestującej, po którym teraz łyzy u rzesz drżące, gwałtownym popłynęły strumieniem, dotknęła swych warkoczy, i znalazłszy w nich jeszcze diamentami wysadzaną strzałkę, wyjęła ją, dorzucając do swych darów, a pochylając śliczną główkę z kruczymi splotami przed kwestarką, z prośbą w giescie wyciągnęła ku niej dłonie.

Siostra Sylwia blada, niema stała; nie biorąc darów; patrzyła tylko w piękne oblicze artystki, — po chwili, wyciągnęła ręce, ramiona — i — wstrzymała giest. Diva — ruch zrozumiała, — młode serca jednym drgnęły uczuciem; ramiona młodych kobiet splotły się w uścisku.

\* \* \*

A pod przystrojoną kwiatami kolumnadą, rozległ się taki szalony grzmot oklasków, jakiego gmach ten, nie słyszał jeszcze nigdy; a w sercu szlachetnej artystki odbił się nieznanem jej do-  
tąd echem.

Skarbonki siostry Sylvii i matki Felicyny nie pomieściły darów.

Divą wieczora tego, piękna, promienna; jak nigdy, śpiewała jak się także nie często w życiu śpiewa.

A w starożytnym gotyckim grodzie wspominają o dniu tym, jako o bardzo pięknym, bardzo drogim dniu.

Warszawa.

Ewelina Bałdowska.

\* \* \*

Miały taki czar niezmierny,  
Siłę nieprzepartą,  
Żem za nimi szedł wciąż wierny  
Choć z duszą rozdartą.

To jak gwiazdy mi świeciły  
Wołając... ku górze!  
To znów za obłok się kryły,  
Niknąc na lazurze.

To rzucały snop promieni,  
I słoneczne żary  
Zapalały, by z płomieni  
W pierś mi cisnąć czary.

To znów nagle, jak stalowym  
Błysnęły połyskiem,  
Niby Jowisz, piorunowym  
Rzucając pociskiem.

A czasami, rozmarzone  
Patrząc w dal przed siebie,  
Zdawało się rozteśknione  
Do aniołów w niebie.

I świeciły jak błękity,  
Lub po burzy tęcze,  
A ja szedłem, wciąż spowity  
W czarów tych obręcze.

Szedłem, nie widząc, że drogi  
Porosły w piołuny,  
Że często huragan srogi  
Dmie w czarne całuny.

I że orle szlaki w górze  
Zakryły mi one,  
I że pioruny są w chmurze,  
Są luny czerwone...

Nie widziałem nic!... na szczycie  
Sądziłem, że stoję,  
Że należy dać im życie  
I tak już nie moje.

Ale wtedy, coś mi duszę  
Niepokojem rwało...  
I zwątpień czułem katusze,  
Szczęścia zaś... tak mało!

Czemu? — o, bo te źrenice,  
W blaski tak bogate  
I Edenu obietnice  
Dające w zapłatę —

To nigdy mi, promienistą  
Gdy serce zaboli,  
Nie błysnęły łąką — łąką czystą,  
Dla ludzkiej niedoli.

Warszawa.

E. Bałdowska.

## GÓRY — DOLINY.

PIOSNKA NA DWA GŁOSY.

I. (Głos z gór.)

Szkarłatnej zorzy ranny blask  
Oświeca Tatrów stromy szczyt,  
Po skałach słychać orłów wrzask,  
I szumnych kaskad srebrny zgrzyt.

II. (Głos z doliny).

Tam na dole na równinie  
Próżno śledzi wzrok,  
Jeszcze noc zmierzchami płynie,  
Jeszcze senny zmrok.



I.

Góral z twardego łoża wstał,  
Zdrojową wodą obmył skroń  
Torbę skórzaną na się wdział  
I kij okuty schwycił w dłoń.

II.

Na równinie, tam na dole  
Chat zamknięte drzwi,  
Trzody nie wychodzą w pole,  
Jeszcze pasterz śpi.

I.

Góralski młodzian — szparki ptak,  
Jelenia noga, goniec chmur.  
W podniebny wirchu wspiął się szlak,  
Jak potok wre i zbiega z gór.

II.

Tam na dole na równinie  
Ciemny szumi gaj,  
Flis ku morzu z zbożem plynie  
Gdzieś w daleki kraj.



I.

Górala dworzec — szałas z drzew,  
Bogactwem — kozy, mleko, miód,  
Do snu kołysze ptasząt śpiew,  
Ze snu go budzi wschodu cud.

II.

Na równinie, tam na dole  
Praca daje chleb,  
Oracz pługiem kraje role  
Wśród ojczystych gleb.

I. i II. razem.

Góral i oracz — brat i brat,  
Jeden drugiemu wierny druch,  
A gdy potrzeba dzielny chwyt,  
Jedna ich mowa, jeden duch.

Sterczą turnie, a pod nimi  
W dole szumi gaj —  
Przyzna każdy syn tej ziemi,  
Nie masz, jak nasz kraj.

Z Lipskich

Agnieszka Baranowska.

Ks. Poznańskie.

Niewiastrę męzną któż znajdzie, daleko  
i od ostatecznych granic cena jej. (Przyp.  
31 r.)

Nigdy może nie było więcej powołanych  
i niepowołanych piszących w ogóle o  
wychowaniu młodego pokolenia, a szczegól-  
niej o wychowaniu kobiet. Mamy całe trak-  
taty o kształceniu umysłu, o równouprawnie-

niu kobiet, mniej już nieco o właściwym, od-  
powiednim ukształceniu serca i duszy, a za-  
ledwie tu i owdzie jakąś pobieżną wzmiankę  
o wyrobieniu w nich najglówniejszej z władz  
duszy — silnej i niezłomnej woli, — której  
brak tak daje się uczuć, zarówno w męskim  
jak i kobiecym wychowaniu. Tak rodzice jak  
wychowawcy zaniedbują wyrabiać w młodem



pokoleniu tej najważniejszej z potęg duszy, najgłówniejszy wpływ wywierającej na inne jej władze, bo pobudza je do działalności i czynny bierze udział tak w zwykłych jak i najważniejszych okolicznościach życia.

Ona to głównie nadaje związek myślom, moc uczuciom, stałość postanowieniom; dodaje siły do wypełnienia obowiązków, oparcia się pokusom, pokonywania trudności, co krok niemal napotykanym w życiu.

Ten brak w wychowaniu nader smutne pociąga następstwa. Iluż to dziś mamy ludzi zawsze się wahających, zmieniających co chwila zamiary i postanowienia; już to niby biorących się do pracy, już gnuśniejących w bezczynności; zawsze skarżących się na znużenie lub nudy, niezadowolonych, nieumiejących walczyć z nieuniknionymi w życiu przeciwnościami. Tacy ludzie nie umieją ani kochać, ani cierpieć, ani działać, ani poświęcać się choćby dla najświętszej sprawy, ani żyć, ani umierać. Każdy podmuch wiatru w inną nagina ich stronę. O takich to mówi Dante: „Tak litość jak i sprawiedliwość zarówno nimi gardzą — spojrzawszy na nich — odejdz!”

A jakże ich wielu! jak wielu!

Wyrabianie silnej woli w młodych duszach jest jednym z obowiązków rodziców i wychowawców; — w tym krótkim szkicu, wspomnimy o nim głównie odnośnie do kobiet.

„Męstwo jest najgłówniejszym przymiotem kobiety“ — mówi Salomon — a wszak źródłem męstwa jest niezłomna wola. Na nie-szczęście, dotąd nie wykorzeniło się jeszcze błędne mniemanie, iż ponieważ przeznaczeniem kobiety jest posłuszeństwo, uleganie całe życie komuś czy czemuś, zatem wola nie tylko nie jest im potrzebna, ale przeciwnie stać się może źródłem strapienia i goryczy.

Z tej wychodząc zasady, większość matek nie tylko nie troszczy się o wyrobienie w swych córkach silnej woli, ale przeciwnie, starają się stłumić w nich tę piękną władzę duszy, tak niezbędną czy to w szczęściu czy w niedoli, tę główną podstawę godności własnej i nieskazitelności serca.

Przypuszczając nawet — co do ogółu zastósować się nie da — że posłuszeństwo jest smutnym udziałem kobiety, to czyż kto zmuszony jest ulegać zachceniom i wymaganiom innych, nie potrzebuje silniejszej woli niż ten, kto rozkazuje? A nadto ileż to dziś mamy kobiet zostawionych samym sobie, nie mających kogo słuchać, które same sobie radzić i wystarczyć muszą!

Po większej części, skutkiem błędnego pojmowania natury i istoty woli, utożsamiają

z nią upór i zaciętość — jakże to mylne mniemanie! Upór nigdy nie da się pogodzić z wolą. Prawdziwie silna wolna nie jest upartą ani szorstką, ale przeciwnie giętką, zawsze podlegającą rozumowi; umie wznieść się po nad zachcianki i kaprysy, słuchać głosu sumienia i obowiązku!

Najłatwiejszym zadaniem wychowania jest ukształcenie umysłu; stokroć trudniej jest wyrobić wolę, nauczyć umieć chcieć. Ież to trzeba poświęcić czasu i trudów, aby dojść do tego celu — a niestety! Ta właśnie strona wychowania kobiet najwięcej jest zaniedbana. Jedni mniemają, że młodociany wiek do tego niestósowny, że dość będzie czasu później o tem pomyśleć lub, co gorzej jeszcze, że późniejsze lata, doświadczenie i okoliczności same podolają temu zadaniu. I oto powód, że na każdym kroku spotykamy kobiety wystawione na rozliczne niebezpieczeństwa życia, pozbawione jedyne punktu oparcia, silnej, niezłomnej woli, zdolnej mężnie stawić czoło przeciwnościom i trudnym przejściom, od których dziś nikt prawie wolnym nie jest. Oto powód, udaremniający najpiękniejsze przymioty serca i umysłu, powód dziwnej jakiejś apatyi i niemocy, wytrącającej broń z ręki na pierwszym kroku walki; bezwładności, a często upadku za najłżejszym powiewem przeciwności. Oto jeszcze powód tej zmienności i niezaradności w ciężkich dniach próby, pozbawiających serce energii, umysł właściwego światła.

Inne przymioty serca i duszy są nam wrodzone i często własnym popędem rozwijają się i potęgują; — silną wolę wyrabia się nieustannem użyciem i wprawą, osłabia bezczynnością i zaniedbanie. Ten tylko posiadać ją będzie, kto od lat dziecinnych uczy się pokonywać zachciewki swoje i napotykaną trudności; ten tylko w późniejszym życiu nie cofnie się przed spełnieniem choćby najcięższego obowiązku.

Ież to dziś spotykamy kilkoletnich dziewczątek źle wychowanych, rozgrymaszonych i rozpieszczonych przez rodziców. Wszystko im wolno; każdej chwili rządzą się swymi zachciewkami, którym, począwszy od rodziców wszyscy ulegać muszą. Może przez tę swobodę, a raczej samowolę umysł ich nabiera większej bystrości, może wyobraźnia podbudzana przez coraz nowe wrażenia, staje się bujniejszą, serce zmiękle wcześniej pieściznami rodziny, ufniejszem i czulszem — ale dzieje się to kosztem woli; — i ona, która powinna przewodniczyć i kierować innymi władzami duszy, zamienia się w pokorną ich sługę, a często w służalczą niewolnicę.



Ciężką krzywdę wyrządzają dzieciom rodzice czy wychowawcy, jeśli przez zbyt dużą pobłażliwość i źle zrozumiane przywiązanie, nie uczą ich umieć chcieć silną i niezachwianą wolą; chcieć — wbrew wybrykom wyobraźni, wbrew namiętnościom i wzburzonym zmysłom, wbrew ponętom rozkoszy, na czem właśnie zasadza się właściwe działanie woli.

Kiedy wszystko nas opuszcza, kiedy strudzona wyobraźnia zdaje się zasypiać snem głębokim, kiedy znużone serce traci zamiłowanie dobra i piękna, kiedy rozum zaćmiony sofizmatami, ucieka przed dobijającym się doń światłem, nie chcąc widzieć przerażającej go prawdy; gdy gwałtowna namiętność, otoczy umysł gęstymi chmurami, nie pozwalającymi odróżnić zła od dobra — jedna tylko wola może stać nam się pomocą i siłą. Jeśli od lat dzieciennych nauczyliśmy się uciekać do jej poparcia, śmiała i pewną dłonią chwyta wodze, i nie pozwalając błąkać się po bezdrożach, wskazuje wyobraźni przedmioty godne żywego zajęcia; ożywia serce, budząc w niem szlachetne i wzniosłe uczucia; nakłania umysł do rozważania wielkich prawd, zdolnych oświecić go i podnieść.

Jakże to mało kto przechodzi przez życie drogą usłaną kwieciami; gwiazda szczęścia nikomu prawie nie przyświeca stale, natomiast często nadchodzą dni zimne, smutne i ponure, dni smutku, goryczy, zwątpień i zawodów.

W takich chwilach tylko modlitwa i wytrwałość stać się mogą dla kobiety arką zbawienia — a wszakże wytrwałość jest wynikiem i owocem silnej woli.

Matki Polki, ucicie zawczasu córki wazsze panować nad sobą, usposobieniem i temperamentem swoim, powstrzymywać wybryki wyobraźni i gwałtowne niepokohamowane porwy serca.

Uzbrójcie je do znoszenia zmiennych życia kolei, aby umiały wytrwać nietylko w przeciwnościach ale i w pomyślności, często równie trudnej do zniesienia.

Posiadając silną wolę, jeśli nie zawsze szczęśliwe, to przynajmniej spokojne być mogą, ani szczęście upoić i oszołomić, ani przeciwności zgnębić i złamać ich nie zdołają; bo rozbijają się o silną wolę, jak fale oceanu o nadbrzeżne skały. Zwątpienie nie znajdzie przystępu do ich duszy; niebezpieczeństwo nie zaciemni bystrości ich umysłu; w chwilach stanowczych potrafią często zdecydować się i działać. Takie kobiety nigdy

ani sobie ani nikomu nie staną się ciężarem; będą najlepszymi żonami i matkami, podporą rodziny, wzorowymi obywatelkami, w ich rękę ześrodkują się nadzieje i przyszłość kraju.

Warszawa.

J. Belejowska.

## DO PRAGY!

Zgnuśniałym w życia beczynnej pleśni  
Czas nam się ocknąć raz!  
To chwila czynu — biada kto prześni,  
Sposobny pracy czas.

Życie to praca — a do spocznienia,  
Grobową starczy cieśń;  
Bracia, porzućmy światy marzenia,  
Zanućmy czynu pieśń!

O, nie nam czekać nadziemskich cudów,  
Pracuj — powiedział Bóg.  
Miłość i praca, to siła ludów,  
Której nie zwalczy wróg.

Miłość i praca! — Wśród tej opoki,  
Po ciężkich próby dniach,  
Wychodząc ludy z wieków pomroki,  
Wzniosą wolności gmach.

Pod tym sztandarem, my dziś do boju,  
Idźmy, na ból i trud,  
By kwiat wolności, by kwiat pokoju,  
Pozyskał polski lud.

Zgnuśniałym w życia beczynnej pleśni,  
Czas nam się ocknąć raz,  
Bracia! najpiękniej życie ten prześni,  
Kto ceni pracy czas.

Kołomyja.

Bronika.

Bóg w niebie! lecz na ziemi sprawy ludzkie waży  
I patrzy, kędy Anioł potrzebny na straży.

Gdzie sieroty za kwiatkiem nad skały urwisko,  
Schył się nieopatrznie lub staną za blisko.

Gdzie samotny w chorobie myśl ku drogim niesie,  
I smutną przyszłość widzi w ostatecznym kresie.

Tam, gdzie nędza osłabia najsilniejsze duchy,  
Gdy walczyć trzeba nawet o kęs chleba suchy.

Wszędzie anioł-miłości, anioł pocieszenia,  
Ufających ratuje, licząc ich westchnienia.

Podwyższon najnędzniejszy! Przykładem Łazarza,  
Takie cuda moc boska dla wierzących stwarza.

Warszawa.

Maryja Brożyna.





**P**ogodna jak wiosna, wesoła jak ptaszę,  
 A tkliwa jak dziecię,  
 O, dziewczę ty polskie! O dziewczę ty nasze,  
 Rodziny łak kwiecie!  
 Gdy krasi cię uśmiech wschodzącej jutrzenki,  
 Niewinna prostota,  
 Cudowniej cię zdobia ubogie sukienki,  
 Od pereł i złota.

O, śmieję się dziewczeczko, niech głosik twój szklany  
 Ku niebu ulata,  
 Jak oddźwięk skowronków modlitwy porannej  
 Jak echo z za świata,  
 Co wierzyć nam każe w istnienie aniołów,  
 W harmonię wieczności,  
 I sieje promienie na mroki padołów  
 Nadziei — miłości.

Skarbnica natury przed tobą otwarta  
 Z bogactwy wszystkimi,  
 Nad tobą zasiana błękitnych nieb karta  
 Głoskami złotymi.  
 Jak dziecko stojąca w świątyni tej progu,  
 Spoglądasz nieśmieie —  
 A wszystko ci mówi o życiu — o Bogu,  
 Tak wiele... tak wiele...

Więc słuchaj i patrzaj, i w piersi twej młodej  
 Zachowaj głęboko  
 Dźwięk każdy i uśmiech tej matki przyrody,  
 Co pieści twe oko;  
 Pij pełnym oddechem rodzinnych łak wonie  
 W majowym wieczorze,  
 W promieniach słonecznych niech dusza twa tonie  
 Jak rybka w jeziorze.

Bo przyjdzie dzień inny... o! ja ci nie wróżę...  
 Z nieszczęścia zwiastuny,  
 Lecz życie — to zdrada! i wiosna ma burze,  
 I błękit pioruny!  
 I kwiaty skwar lata wypala przedwcześnie  
 Choć jesień — daleka,  
 Natenczas, myśl nasza zraniona boleśnie  
 Do wspomnień ucieka.

I czerpie ochłodę dla duszy strudzonej  
 Z jasnego ich źródła,  
 I błogo spoczywa w oazie zielonej  
 Pod palmą spokoju,  
 Co jedna po latach przyjaznym swym cieniem  
 Pielgrzyma ugości,  
 A biada niebaczny! co tęsknem wspomnieniem  
 Nie znajdując młodości!

Z niedrukowanych poezyj:

Maryi Bartus.

Lwów.



\* \* \*  
 Myśl ludzka na wyżyny jak ptak lotny wzlata,  
 I świetlane i jasne w duszy tony grają,  
 W każdej twarzy spotkanej widzi: siostrę,  
 brata,

Co szczerą dłoń i serce jemu otwierają.  
 I ukocha cel jakiś, jakąś myśl przewodnią,  
 I pójdzie za tą myślą, tak ufny jak dziecko,  
 Ona stanie mu w życiu świetlaną pochodnią,  
 Choćby w otchłań cierpienia pchnęła go zdra-  
 [dziecko.

Rydlowo. (Ks. Pozn.)

Warszawa.

\* \* \*  
 Chęć człowieka, to potęga!  
 Jako iskra, jako gromy —  
 Co ramię z ramieniem sprzęga,  
 Wznosi z gruzów stare domy.

Z Kelerów

Maryja Cichowiczowa.

\* \* \*  
 Czas wszystko klaruje....

Lucyna Cwierzakiewiczowa.





## Zimową porą.

Gwiazdzisty strop nieba unosi się nad śpiącą spokojnie wioską. Z małych okienek chłopskich chałup nie płynie złoty promień światła i nie kładzie się jasną smugą na okrytą śniegiem drogę. Wije się ona między tymi rozsiadłymi po jej brzegach chatami — i odkąd razem z mroźną zimą przeleciała po niej jak smutne widmo, mściwa i okrutna „bieda”, — zaglądając ciekawie pod każdą ubogą strzechę, posmutniała nieboga nad wyraz. Wierzby, co otaczają ją i ujmują w swe ramiona, za całe współczucie umieją się tylko chylić żałośnie pod zimowym powiewem styczniowego wichru, — umieją tylko płakać południową godziną, gdy szron, okrywający gałązki, w lzy zamieniać się zaczyna, muskany słońca promykiem...

Po samotnej tej, drzewami obrosłej drodze, rzadko przesuwa się jaki przechodzień. Mimo karnawałowej pory nie rozwesela jej echo swawolnej piosenki, — z żadnego domostwa nie płynie radośny odgłos godów weselnych. W karczmie u Abrahamka skrzypki i basetla pobrzękują wprawdzie leniwo, ale choć ludzi sporo w izbie, mało kto „hula”. Wprawdzie niejeden Antek i Wojtek pragnąłby się owinać kilkakrotnie w tanecznym kręgu z jaką hożą Małgosią lub Kasią, ale kaleta próżna, a tę przyjemność okupić trzeba groszami, o które jawnie doprasza się zawsze otwarte serce mrukliwej „Maryny”<sup>1)</sup>.

Jednakże ci z mieszkańców wioski, którzy przepędzają godzin kilka w karczmie na przysłuchiwaniu się muzyce, należą do najzamożniejszych.

Mimo niezbyt spóźnionej pory, milcząco we wszystkich chatach. Życie bowiem objawiałyby światła, bijące z głębi. Światła nie ma — bo kosztuje.

Gwiazdzista noc rzuca blade cienie i półcienie na śpiące domostwa. Nagle, przerywając ogólną ciszę, skrzypnęły lekko drzwi na uboczu stojącej chałupy i wysunęła się z nich postać jakaś, otulona w chustkę — bosa.

Przymknęła drzwi i rozgląda się w około.

Cicho. Noc w całym swym majestacie, odziana gwiazdzistym płaszczem, roztacza przed nią piękności swoje. Kobieta patrzy chwilę w niebo, zarzuca jakieś rolnicze narzędzie na ramię i śpiesznie się oddala.

Zimno przejmuje ją dokuczliwe; śnieg, zdaje się parzyć bosa jej nogi. Ona biegnie.

Czasem się ogląda i biegnie znowu dalej.

Po jakimś czasie staje tuż koło sztachet, okalających dworski ogród. Musi być młodą i zwinną, gdyż bez wszelkiej trudności przeskakuje zaporę

i za chwilę jest już przy zabudowaniach. Rozgląda się w koło, teraz trwożliwiej jeszcze i z większą ostrożnością stąpa po zmarzłym śniegu. Boi się własnego cienia, a cóż dopiero psów, które mogą ją zobaczyć i szczekaniem odkryć jej obecność. Staje wreszcie na podwórzu, przy jakiejś wyniosłości niewielkiej, mającej kształt kopca, w jaki zwykle dla ochrony od mrozu gospodarze chowają ziemniaki. Rzuca swój koszyk na ziemię, bierze w ręce kopaczkę i gorączkowym ruchem odgrzebywać zaczyna zmarzłą ziemię.

Myśl o dwóch dziecięcych twarzach, wyblądłych z zimna i głodu, przyspiesza dziwnie jej pracę.

Z początku szło jej mozolnie; potem łatwiej. W ciągu półgodziny natrafiła żelazem na słomę, niebawem ukazały się ziemniaki.

Uradowana, rzuca kopaczkę i pełnemi garściami nabiera je do obok stojącego koszyka. Gdy napełnił się po brzegi, przykrywa otwór nieco ziemią i oddala się pośpiesznie.

Jedyną jej myślą teraz: aby się znaleźć wolną, za sztachetami dworskimi. Ponieważ kosz dość ciężki, stawia go na lewym ramieniu, a rozglądając się na wszystkie strony, idzie napowrót tą samą drogą.

Mimo mrozu, kropelki potu występują na jej czoło i skronie, śnieg chrupie niemiłosiernie pod stopami, a ona odgłosu się tego lęka.

Nagle zaszeleściło coś koło stodoły. Wielki czarny podwórzowy brytan wybiegł od strony dworu i leciał wprost na nią. Kobieta przejmuje strach śmiertelny, serce tłucze się jej w piersiach, całe ciało wstrząsa dreszcz trwogi.

Pies zaczyna szczekać. Wiedząc jak się wabi, przywołuje go do siebie głosem, w którym drży ton przytłumionego strachu.

— Zabój! Zabój? Tu, do nogi!

Pies głos poznaje, umilka i podchodzi do niej. Sądzi się uratowaną. Zbiera napowrót siły, zarzuca kosz na ramiona i biegnie, jak tylko może najszybciej w stronę sztachet.

W tem słyszy za sobą inne stąpanie, prędkie, miarowe — dłonie jakieś obejmują ją zdradziecko z tyłu, ściskają jak kleszcze i powalają na ziemię.

Ziemniaki rozsypują się w śnieg, pies zaczyna na nowo szczekać — kobieta, oszołomiona, nieprzytomna prawie, powtarza w kółko.

— O Jezu! O Jezu!

Nad nią pochyla się wąsata twarz stróża nocnego, chcącego ją rozpoznać w ciemności.

Silne dłonie okładają ją razami, podczas gdy głos ochryply nie szczędzi najostrożniejszych przewisk.

<sup>1)</sup> czyli basów.



Podnosi się z ziemi i bezbronna, nie mówiąc już ani słowa, idzie w stronę, w którą popycha ją ręka stróża. Zdaje się nie wiedzieć, co się koło niej dzieje, nie stawia najlżejszego oporu.

Z czeladnej, zwabionych ujadaniem psa, wysuwa się ciekawych głów kilka.

Stróż z tryumfującą miną staje przed drzwiami izby, z której buchający płomień ogniska oświetla dostatecznie twarz młodej kobiety.

Naprzeciw tych złotych blasków, obejmujących ją dziwnie miłym i z dawna już niedoznanym uczuciem ciepła, naprzeciw gromady tych spojrzeń ludzkich, wykrzykników i zapytań — stoi ona ze spuszczoną głową, z czołem pokrytym wilgotną rosą i z trwogą drżącymi wargami.

Pierwsza poznała ją dziewczyna od kuchni.

— Boże, to Łabędziowa! odzywa się głosem podniesionym.

— Magda! Łabędziowa! a jakże! posypują się potwierdzenia z stron różnych.

Cała służba zbiega się na oglądanie złodziejki. Gospodyni, kucharka, chłopiec od kredensu, dziewczyny pokojowe, nawet Jan — lokaj — wszystko to wytrzeszcza oczy, mieszając głos do ogólnej wrzawy.

W kuchni odezwał się dzwonek.

Jan zarzuca serwetę na ramię i biegnie z półmiskiem, nagradzając pośpiechem chwilowe spóźnienie.

— Już drugi raz dzwonię — odzywa się pan z niezadowolaniem. Nie słyszałeś? Moglibyście się też uciszyć.

— Proszę pana — tłumaczy się Jan — a to temu, że stróż przywiódł Łabędziową, co kradła ziemniaki z dworskich kopców. Jest w kuchni.

— Co on mówi, Adasiu? nic nie rozumiem, odzywa się głos kobiety, łagodny i miękki, z końca stołu.

Zapytany skinął ręką, jakby o tem mówić nie chciał i z wolna przechadzać się zaczął po pokoju. Służący wyszedł.

— Jaka Łabędziowa, Adasiu? czy to z naszej wsi? skąd? z Wierzbna? rzuca pytania.

Oczy jej wodzą za młodym człowiekiem, pragnąc od razu uzyskać odpowiedź na wszystkie pytania.

— Zwykła historia, Klaruniu, odzywa się do niej mąż po chwili. Jakaś kobieta przyszła na podwórze podbierać ziemniaki i złapali ją.

— Przyszła kraść? pytała dalej.

— Naturalnie. I nie udało się jej.

— I to się często zdarza?

— Bardzo często; zwłaszcza tej zimy.

— I dla czego? wyrywa się z ust kobiety, a oczy nabierają jakiegoś smutnego, pytającego wyrazu.

— Dla czego? powtarza mąż z uśmiechem; o moje drogie, niedoświadczone dziecię! Jak to zaraz znać, że masz lat ośmnaście i że dopiero od dwóch tygodni jesteś tu... w Wierzbowie... u mnie.

Nieprawdaż, że dopiero od dwóch tygodni? powtarza, ujmując jej dłoń ręką, podczas gdy drugą okala jej kibić z miłością.

Nie opiera się pieszczotom, ale uśmiech w tej chwili dalekim jest od warg jej różowych.

Na czole pierwszy raz może osiada myśl jakaś, smętna i powagi pełna: współczucie dla cierpiących.

— Mówisz Adasiu, że roku tego więcej cię okradają niż lat poprzednich?

— A tak, bez wątpienia.

— Jakaż tego przyczyna?

— W ogóle przyczyną jest większa bieda! tegoroczny nieurodzaj.

— Czy znałeś tę kobietę, tę Łabędziową? pyta dalej.

— Nie przypominam sobie; ale ją każe do siebie przywołać. Trzeba z nią skończyć.

— Ale w jaki sposób, Adasiu?

— Zaskarżę do wójta.

— A potem co?

— Potem pójdzie do kozy, odsiedzi należną karę i będzie wolna. Innego sposobu nie ma.

Pociągnął za rączkę od dzwonka, rozkazując przybyłemu służącemu, aby wprowadził do kancelaryi Łabędziową.

Klara podeszła do męża. Kładzie mu obie dłonie na ramieniu, promiennymi oczyma wpatrując się w twarz młodego człowieka.

— Mój Adasiu! odzywa się błagalnie. Wszak nie będziesz sądził zbyt surowo tej kobiety — ona może pierwszy raz ukradła... mówisz, że bieda na wsi... Bądź litościwym!

— O! moje ty, złotego serca dziecię! Dobrze już, dobrze. Stanie się według twojej woli. Ucałował ręce żony i wyszedł.

W kancelaryi, o drzwi oparta, stoi skulona postać kobieca, z trwogą patrząc przed siebie.

Młoda jest i ładna. Bieda i głód, w ostatnich czasach ją trapiące, zniszczyły ją bardzo.

Adam przystępuje do niej i rzuca kilka słów pytania. Kobieta głosem błagalnym, w którym czuć łyż, odpowiada:

— Wielmożny panie! Taka u nas bieda! taka bieda.. Lichą komornicą jestem: wdową. W izbie dwoje dzieciaków, które wołają chleba. A tu ani kruszyny mąki, ani krupki kaszy, ani paliwa, nic, nic, prócz tego, co mam na sobie. Ostatniego „zimiocka“ zjedliśmy wczora. Głód. Naparło mnie zło i poszłam do dworskich ziemniaków kopać. Mój Panie! Mój litościwy panie! Ja nijaka „złodziejka“ ino tak z głodu... ino z głodu!

Adam mięknie pod słowami żebrzącej wieśniaczki; czuje, że wieje z nich prawda. Z jej dużych lśniących oczu, widać, że głodna.

Uledez jednak od razu nie chce.

— Ja was muszę zaskarżyć do wójta — dodaje.

— Tylko nie teraz, póki zima, wielmożny panie. Po żniwach odsiedzę. Mocny Jezu! przy kimżeby został ten drobiazg?

Para promiennych źrenic, wychylających się z za portyery, zdaje się do niego mówić:

— Adasiu! przebaczysz? przebacz!

— Moja Łabędziowa — odzywa się Adam — niechże to będzie raz ostatni. Do wójta was nie zaskarżę; do kozy nie pójdziecie. Mówicie, że u was bieda? aby nie było pokusy, dam wam ćwierć żyta i ćwierć jęczmienia na odrodek wiosenny. Przyjdźcież po niego jutro.

Kobieta ramionami obejmuje nogi pana, całując go rozpromieniona po rękach. Powoli cofa się z pokoju nieśmiało, uszczęśliwiona z daru i uzyskanej wolności.

W przedśionku zatrzymuje ją jakaś smukła postać, pełna piękności i dobroci. Biała ręka Kla-



runi rzuca jej w chustkę kęs białego chleba, do którego śmieją się oczy kobiety

— O! moja Pani! Moja złocista pani!

Wybiega ze dworu i co tchu jej starczy, biegnie z powrotem na wieś. Cicho otwiera drzwi chaty, idzie po omacku do łóżka, stojącego w rogu. Ostatnią centową świeczką rozjaśnia ciemności izby. Zdejmuje chustkę, wyjmując z niej chleb i łamie na troje.

Dzieci drzemiące na słomie, zbudzone światłem, otwierają oczy, powtarzając owe utrapione, które ją od wczora dręczą:

„Jeść! jeść! jeść!”

Starszy Walek wyciera powieki kułakiem i na głos płacze. Młodsza Rozalka wtóruje mu, kładąc rozczochraną płową głowę na piersi matczynej.

Cicho! raki! Nie beczć! uspakają Łabędziowa, w drobne zziębnięte rączyny wtykając po kawałku chleba. Dzieci milkną i z chciwością zaspokajają głodu pragnienie. Uśmierzywszy pierwszy apetyt, przymykają znowu senne powieki. Błade, zamorusane ich buzie przy migotliwym świetle łójówki lśnią drżącymi u rzes łzami. Świeczka dogasa. Kobieta otula je chustką i kładzie się na resztę pozostałej słomy.

Nad światem, ujętym w nocne cienie — unosi się anioł ulgi, nadziei i pokoju. Podchodzi do chat wieśniaczych, zsełając w złotych snach pokrzepienie.

Ciężka głowa Łabędziowej opada na krawędź łóżka; w marzeniu zdaje jej się, że jasna postać przed chwilą widziana, zaopatruje jej próżny sąsiek w żywność obfitą; uśmiecha się do ponętnej wyłanianiającej się z wózka białej mąki, krup jęczmiennych i kawała słoniny. Rozalka i Walek przytulają rozczochrane blond główki do piersi matczynej. Na dworze zima, złote gwiazdy mrugają figlarnie u góry — a im się zdaje, że izba rozświetlona wesoło płonącym ogniskiem... że przy niej matka warzy dostatnią wieczerzę.

Biedne rojenia dziecięce! Spłyniecież wy w realnych kształtach, aby przyodziać tyle drobnych ciał, nakarmić tyle głodnych ust?

Na świecie tak wiele serc!... Czyż wszystkie litością pełne?...

Żwierzyńiec pod Krakowem.

Czeka.

## POLSKA MOWA.

Polska mowo ukochana!

Dziekiem cię pieściłam,  
Dźwięki twymi ja do Pana  
Niebios się modliłam.

A gdy serce z uczuć swoich  
Spowiadać się chciało,  
W zdroju cudnych tonów twoich  
Akordów szukało.

Dziś tembardziej skarb ten drogi  
Chowam jak kapłanka;

Strzeżę, niby balsam błogi  
Cierpień — bom wygnanka.

Fulda.

Kalina Drygas.

\* \* \*

\*

„Chleba!” — wołają rzesze w omdleniu głodowym,  
Niestety! Chleb w ich uściech jest czczem tylko  
[słowem];  
Lecz miłosierdzie poszło na rozmowę z niebem,  
I słowo staje się chlebem.

Warszawa.



Deotyma.

## Dobranoc!



Dobranoc, noc tak cicha;  
Drżą w kwiatach krople rosy;  
Rozkoszą pierś oddycha,  
Gwiazdami lśnią niebiosy.  
Dobranoc — róża polna  
Miłośnię główkę chyli,  
A w listkach jej swawolna  
Drzemie para motyli.  
Dobranoc!.. W cichej nocy  
Czy słyszysz jęk stłumiony...  
Może wzywa pomocy  
Z piersi płynąc zranionej?  
Czy słyszysz, jaką falą  
On wzbiera pod niebiosy,  
Wszystkie w nim lży się żalą,  
Calej ludzkości głosy...  
W kielichach kwiatów lśniącej  
Rosy wśród dnia znikają,  
Lecz czy osuszy słońce  
Perły, co z ocz padają?  
Dobranoc!...

Łódź.

Jadwiga Ł. Elzenbergowa.

## MAMY PAWTOFELKI.



Miałam ośm lat wtedy i szalenie moją matkę kochałam. Kochałam ją nad wszystko w świecie, co się zresztą z biegiem lat nie zmieniło.

Miałam braci i siostry, kuca i wielkiego psa Niemója, — wózki i ogródek, — domek w ogrodzie, gdzie się z lalkami na cały dzień latem wyprowadzałam — nie wielki był, na zielono pomalowany, z czerwonym dachem, nie miał ni drzwi ni okien — ale był moim własnym, więc go lubiłam.

Miałam masę innych zabawek, ale o tamte nie dbałam — lubiłam tylko te, któ-



rymi na świeżem powietrzu w ogrodzie bawić się mogłam. Już wtedy zima była dla mnie ciężką karą za grzechy, bo groziła zamknięciem i chmurnem niebem.

O ile latem byłam wesoła, ożywiona i dosyć sprytna, o tyle zimą robiłam się leniwa i uśpiona. Latem duchów się nie bałam — zimą okropnie; smutny wiatr zimowy zdawał mi się zawsze czemś tajemniczem a groźnem, pozostającym w bliskich stosunkach z duchami.

Wtedy tylko czułam się zupełnie bezpieczną wieczorem, kiedy matka moja tuż obok mnie siedziała, — a szczytem rozkoszy było, kiedy śliczną jej, białą, długą, delikatną rękę na swej głowie czułam.

Słyszałam nieraz ojca mego, gdy się nad ręką mamy unosił — kochał się specjalnem uczuciem w tej klasycznej sympatycznej dłoni. Ojciec imponował mi zawsze — jego zdanie, sąd jego, nie przypuszczał apelacji — nie było nad niego wyższej instancji w domu, bo nawet mama posłuszną mu była.

Dlatego zachwył ojca dla jej ręki napełniał mnie podwójnie wielkim zachwytem — a pierwsza kłótnia z moim kuzynem była, gdy śmiał twierdzić, że jego matka ma ładniejszą rękę. Uważałam to za najwyższą imperytynencję z jego strony.

Otóż wieczory zimowe spędzałam zwykle przypięta do fałd sukni mamy. Czasem śpiewała — ojciec jej akompaniował — śpiewała „Kalinę“, a ja płakałam, zanosila się nawet od płaczu w kącie salonu. O ile lubiłam śpiew matki, przepadałam nawet za nim, o tyle bałam się prawie, gdy się zbliżała do fortepianu; coś smutnego było w dźwięku jej głosu — a mnie ton każdy za serce porywał — ból mi sprawiał; pamiętam to dokładnie, choć do dziś dnia nie wiem, dlaczego tak było.

Póki byłam obok mamy, póty nie rozumiałam, że mogłoby być inaczej — dobrze mi było, bo ją widziałam — ale wtedy gdy odrywano mnie od niej, wtedy czułam, że ona mi była potrzebną do życia więcej niż powietrze, niż słońce, niż wolność. A odrywano mnie czasem na dzień jeden, aby mnie psuć, pieścić, obdarowywać cukierkami, zabawkami — ale wszystko wydawało mi się okropnem z daleka od niej.

Jedno z najsilniejszych wrażeń, jakie odczułam, będąc dzieckiem, to gdy w smutny dzień listopadowy mama wyjechała. Obiecała, że za kilka godzin powróci; — robiło się coraz ciemniej, coraz wietrzniej, a jej nie było. Z desperacją w sercu siadłam na ziemi przy kominku i co chwila na drzwi spoglądałam,

czy nie wejdzie, a straszno mi się robiło, bez żadnego dobrego powodu.

Nareszcie zapytałam bony, czemu mama nie wraca?

— Jakto? — nie wiesz? Mama już nie wróci — byłaś niegrzeczną, poszła się utopić.

Musiałam być bardzo mała, kiedy takiej bredni uwierzyłam; ale uwierzyłam prawie.

Co się ze mną działo, gdym tak na ziemi siedząc w ogień patrzyła, przypuszczając możliwość śmierci matki, tego opowiedzieć nie mogę. Jak mogło takie dziecinne serce taki szalony ból, taką bezgraniczną rozpacz odczuwać, kiedy wspomnienie tej powolnej agonii, jaką przechodziłam w owej chwili, tak bardzo dawno temu, jeszcze dzisiaj tak wyraźnem echem odbija mi się w pamięci.

Mama wróciła naturalnie i pieśczętom nie było końca. Pamiętam i to, że wieczora tego kładąc się do łóżka, stojącego tuż obok łóżka mamy, przed zaśnięciem powtarzałam w kółko: „Aniele stróżu, dziękuję ci, że mama wróciła“.

Mama wróciła wprawdzie, ale mnie i siostrę moją starszą zabrano od niej — wtedy gdy ośm lat miałam.

Już się na wiosnę zanosilo, już z braćmi robiłam wiele projektów wypraw na kucu, zaprzęgu z czerwonej taśmy na Niemója, kiedy Helenka, siostra moja, powierzyła mi tajemnicę: „Pojedziemy do Poznania na pensję, do klasztoru“ i cieszyła się. Nie umiałam zdać sobie sprawy z następstw, jakie projekt ten za sobą pociągał. Były chwile nawet, że imponowałam chłopcom, braciom moim ową pensją, która mnie czekała.

Mama pieściła mnie jeszcze więcej, — ale teraz pieśczęty jej nie wywoływały wesela, tylko smutek we mnie.

Nadszedł dzień, kiedy kufry nasze zapakowano, a ojciec siadł z nami do powozu i na najbliższy dworzec kolei odwiózł. Mamę zostawiliśmy w domu.

Nie pojnowałam całego ogromu mego nieszczęścia, bo sobie z czasu sprawy nie zdawałam, a dotąd nigdy dłużej nad dzień jeden z nią się nie rozstawałam.

Marzec miał się ku końcowi, — nad wieczorem stanęliśmy w Poznaniu. Ledwie wjechaliśmy w mury miasta a już mnie tęsknota schwyciła za gardło. Śnieg dużymi płatami spadał z nieba; przypomniało mi się, co mi niańka mówiła — śnieg to szarpie, które anieli w niebie skubią i rzucają na ziemię.

Ileż razy żałowałam później, że szarpie te nie mogą ludzkich ran zagoić i że anieli drą je tylko dla zabicia czasu.



Ojciec odwiózł nas prosto do klasztoru. Sam widok ciężkich drzwi klasztornych i zakratowanych okien zgrozą mnie nappełnił. Schwyciłam silnie rękę ojca i postanowiłam rękę tej nie puścić.

Gdy zawarła się za nami klasztorna furta, gdy wpuszczono nas za drugą ciężką bramę, do długiego ciemnego korytarza, zdawało mi się, że wybiła moja ostatnia godzina.

Przełożona w swojej żałobnej sukni przyjęła nas serdecznie, ale mnie uśmiech jej mroził. Krew we mnie drętwiała — jak przez mgłę patrzyłam na wszystko — jedno tylko wiedziałam, że mnie tam ojciec zostawić nie może, nie puszczyć go.

Wstał, aby odejść — schylił się, chcąc mnie pocałować; ja mu obie ręce na szyję zarzuciłam i konwulsyjnie ścisnęłam, błagając aby mnie z sobą zabrał „do mamy, do mamy!”

Przemocą prawie wyrwał się z moich rąk dziecinnych, a tak silnych rozpaczą w owej chwili — i poszedł.

Zaczęły się dni krzyżowe dla mnie. — Czulałam się pewnie o wiele nieszczęśliwszą od dzieci głodnych, zziębniętych i obdartych. Oderwano mnie od matki i zamknięto mnie.

Gdyby rodzice moi choć w części mogli przypuścić, co się działo w duszy dziecka, nigdy nie byłiby popełnili takiego okrucieństwa. Wspomnienie to rzuca cień na moje dziecinne lata.

Chorowałam, — lekko wprawdzie, niedostatecznie, aby rodzicom donosić o tem, ale dosyć, aby ani się móc uczyć, ani jeść, ani sypiać nawet. Chorobą moją była tęsknota bezmierna.

W kilka miesięcy doniósł nam ojciec, że mamy nowego braciszka — że mama była chora, ale że zdrowa już prawie i że gdy się tylko będzie mogła ruszyć, przyjedzie do nas. Oczekiwanie mamy nadzieją osładzało mi każdą chwilę i trochę znośniejszym zdał mi się pobyt w klasztorze.

Przyjechali rodzice oboje. Była to jedna z największych radości w całym życiu mojem. Oddano nas mamie na tydzień cały — byliśmy z nią w cyrku, w operze — żyłam w jakimś zaczarowanym świecie, jak w bajce. O klasztorze nie myślałam. Dzień każdy pozostał w pamięci mojej, jak rajskie wspomnienie.

Ale znowu kufry zaczęto pakować — nowe rozstanie mnie czekało. Tym razem jednak nie chowałam na dnie duszy mojej rozpacz, tylko łkając, zanosilałam błagania, modlitwę, by mnie w klasztorze nie zostawiano. Mama mnie uspokoila, mówiąc, że czas jeszcze

myśleć o tem. Wieczorem czulej niż zwykle ucałowała mnie na dobranoc.

W hotelu miałyśmy pokój obok rodziców. Nazajutrz rano, gdy się obudziłam, jakieś złe przeczucie mnie tknęło; pobiegłam do pokoju mamy — pusty! Krzyknęłam — Helenka się obudziła. Ale nie wierzyłyśmy obie naszemu nieszczęściu. Raptem Helenka obok łóżka mamy znalazła jej pantofelki. Te pantofelki do śmierci pamiętać będę; — na nich skoncentrowała się cała moja nadzieja. Kiedy pantofle są, to i mama być musi. Nie mogła przecież odjechać bez swoich rannych pantofelków — myślałam. Tak samo rezonowała Helenka.

Tymczasem cicho było. Rodzice nie wracali, gdy ja spodziewałam się ciągle, że może ze mszy, z miasta powrócą.

W najokropniejszych emocjach, trzymając ciągle pantofelki mamy w ręku, przeżyłam jedną godzinę, która mi się wiekiem wydała.

O dziesiątej rano weszła nauczycielka z klasztoru, aby nas zabrać, tłumacząc, że mama pojechała, ale nie chciała nas budzić i martwić pożegnaniem. Ze mi wtedy serce z żalu nie pękło, to tylko dlatego, że nie ból je rozsadza; — dużo później cierpiałam, ale myślę, że nigdy tak głęboko, tak dotkliwie, jak dnia tego.

Pantofelków matki mojej nie pozwoliłam sobie odebrać; całowałam je, ścisnęłam i spałam z nimi, choć się ze mnie pensyonarki śmiały.

Widocznie cierpienie było już nad siły moje, bo wkrótce potem na dobre się rozchorowałam.

Febra wycieńczyła mnie i zrobiła niezdolną do niczego. Mama przyjechała po mnie, bo i wakacje się zbliżały — a ja o egzaminie myśleć nie mogłam.

Wróciłam do mego raju w dzień słoneczny — bracia, kuc, Niemój i łan truskawek czekały na mnie. Skończyła się pierwsza faza tęsknoty mojej — bo już nieprędko na pensję mnie oddano; — mama nie chciała puścić mnie od siebie.

Tyle, tyle łez popłynęło od tego czasu — tyle, tyle nieszczęść, że możnaby z nich rozżaniec ciernisty spleść. A między każdym dziesiątkiem cierniowych gałeczek jedna gałka duża, najbardziej kolcami pokryta — to tęsknota. Pożerała mnie, serce moje trawiła jak pijawka, krwią jego żyjąc. Tęsknota za matką była głównym cierpieniem życia mego, najserdeczniejsze łzy, potoki łez z oczu moich płynęły, zawsze z tęsknoty.




Ile razy spojrzę na mamy pantofelki, tyle razy przypomina mi się pierwszy okres cierpienia. — Stały się dla mnie emblematem tęsknoty.

Ks. Poznańskie.

Esteja.

## Szkic z natury.

mszona chatka nad brzegiem wąwozu — z łożyskiem wysypanem drobnym krzemieniem. Po ostrych jego odłamkach, sączą się z dalekiego gdzieś, obfitego źródła, kryształowe smugi wody. Świerszcze ćwierkają z pod osypującej się przyzby i wtórują braciom swym, odzywającym się z wnętrza chałupki. Koniki polne skrzeczą w kępkach, bujniejszej gdzie nie gdzie trawy wyłysiałego skalistego wąwozu, a rzadki, żółkniejący po nad nim owies, głaszcze ostatnimi swymi promieniami chłodne lecz jasne, jesienne słońce.

Oprócz muzyki polnych śpiewaków cicho i tęskno tu jakoś. Pierś przechodnia oddycha tu głęboko przeczystem powietrzem, lecz serce zgniecione bije w niej głucho. Jęk czy ledwie dosłyszalne kwilenie z wrzawą świerszczów w akord się zlało? U niskich drzew chaty wisi kołek na rozkręconym konopnym sznurze, a przez szeroką szparę wrót niezamkniętych widać czarny od dymu okap komin.

Między przypieckiem a przeciwległą chruścianą ścianą zwiesza się przytwierdzone u pułapu na belce małe, głębokie korytko na sznurze, tak rozkręconym, kudłatym i słabym, że lada chwila grozi przerwaniem. Znać przeczuwa to nędzna, leżąca w korytku istotka, bo kwili od czasu do czasu z cicha, żałośnie. Napróżno sili się otworzyć ślepki rojem much oblepione, klucie żadeł żarłocznych owadów zmusza je szybko przysłaniać powiekami. Całe nagie ciało do połowy zarzucone dziurawą weretą, ma kształt i kolor sinej glisty ziemnej. Gromady czarnych, skrzydlatych potworków przelatują z członka na członka, płoszone bolesnem ich drżeniem lub skupiają się stadami w fałdach podziurawionej werety.

Pod tą męczeńską kołyską stoi nagi tapczan, a dalej malowana skrzynia na „szmaci“.

W izbie niema nikogo, tylko mały prosiak biega i ryje po wszystkich kątach, czy nie znajdzie gdzie łupy z kartofli.

Skrzynia malowana, to całe bogactwo Lulki — owdowiałej przed kilku laty, a w niej zapaska, spodnica jaskrawa i dwie chusty wzorzyste na odpust do cerkwi. Za życia nieboszczyka skrzynia bywała często pusta, a „szmaci“ za wólkę zastawione u arendarza. Lulka zapijać się nie lubiła, chyba „raz w rik na Welykdeń“; służyła za młodu kilka lat w miasteczku X. za niańkę, gdzie pańskie dziecko Horpynę Lulką przeważało. Odtąd imię to nosi z dumą, zapomniawszy o prawdziwym chrzestnem, a i we wsi pod innem jej nie znają. Ciężkiej roboty nie lubi, choć często mrze z głodu, gdy się poważni z gospodynią w klasztorze, hen, za drogą na górze. W odpust albo w niedzielę, gdy obcy księża na kazania zjeżdżają do klasztoru, wołają ją do pomocy do kuchni.

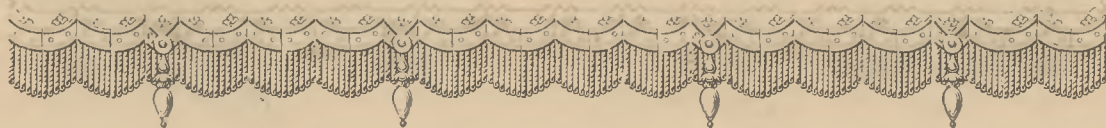
Za datki od pielgrzymów, żądnych wody lub „hornietku“ mleka dla strudzonej dziatwy ukradkiem wyniesionego, kupiła sobie te „szmaci“ i będzie już je miała do śmierci, jeśli synkowie kiedy nie wyniosą z chaty. Oj, biedna sierota, ma ich dwóch, jeden dziesięcio, drugi dwunastoletni, silny, zuchwały chłopak. Kradnie kury z dziedzińca klasztornego, a czasem i u bogatych gospodarzy prosiaki we wsi, za co hańba spotyka ją od gospodyni albo od sąsiadów; ale ona nic temu nie winna, choć na jarmarku w miasteczku przehandlowuje je ukradkiem na mąkę lub krupy. „Bisnowate chłopci ale fajni“, pomagają matce jak mogą i unieją, gdy głód im dokuczy, ale ciężkiej pracy się nie imają. Pola żadnego i za tatula nie było; wychodził sam na zarobek z chaty, więc przyczem chłopcy mieli się nauczyć roboty? Ot, bieda Lulce, a tu jeszcze dał Pan Bóg tę chudzinę, na jej pokaranie. Czy ona ma czas ją pilnować? Rano i w wieczór chodzi patrzeć do klasztornej stajni, czy dziewczki do podjoju nie potrzebują wyręki. Tam najlepiej cały dzień kręcić się lubi, bo zawsze jest jaki obrywek. Jak głód wielki, a do klasztoru nie przepuszczają z powodu świeżo zaginionej kury lub prosiaka, chodzi na robotę w pole. Wtedy dzieciak do wieczora leży sam w korytku, z gębą zatkaną bułką, maczaną w mleku i zawiązaną w gałganek. Iwaś przybiegnie czasem, to je pokolysze, ale Hryć urwis, nie cierpi chudziiry i odgraża jej się, a za co? Ot, pokaranie Boże. Zła, bo zmęczona wraca z roboty, szturcha Iwasia, że źle dogląda „detyny“ i dwadzieścia pięć centów tylko zarobiła, co musi jej wystarczyć na długo. Przyjdzie, podścieli dziecku, nakarmi, zgotuje postnej polewki na wieczere, a potem legnie na gołym tapczanie i śpi jak kłoda do wschodu.





*Ostatni w Litwie Wajdelota nuci ostatnią litewską piosenkę „tak dziką  
i twardą, jak hałas rogów i oręża szczęki.”*

*Z Konrada Wallenroda.*





Dziś jeszcze jej nie ma.

Głodna istotka w korytku skarży się je-  
kliwie na nędzne swoje istnienie, prosiak  
wciąż gospodaruje i krzaka, wreszcie znie-  
cierpliwiony daremnym poszukiwaniem, we-  
pchał ryj między skrzynię i ścianę, węszy  
coś i sapie.

Głęboko się zarył i wydostać się nie  
może.

Tymczasem konopiasta głowa z wy-  
straszonymi szarymi oczyma, zagląda przez  
uchylone drzwi chaty — matuli jeszcze nie  
ma — chłopak wbiegł uspokojony do izby,  
porwał prosiaka za skręcony ogonek, wycią-  
gnął na środek i puścił się z nim szalonego  
młynka. Chwila jeszcze, a byłby mu ogon  
z uciechy w ręce został, lecz tuż za nim wpadł  
Hryć do chałupy.

Z daleka, idąc  
do domu na wie-  
czerzę, posłyszał  
przeraźliwy kwik  
prosięcia i co tchu  
przyleciał. — Nim  
Iwaś rozbawiony  
zdołał spostrzec  
starszego brata,  
już grad kułaków  
na grzbiet mu się  
posypał.

„A pusty, psi  
„synu“, tyś go za  
„pazuchą przyniósł  
„do chaty? Ciebie  
„podrapał soba-  
ko?“ — krzyczał  
rozżarty i znowu  
się zamachnął —  
lecz teraz przeciął  
tylko powietrze  
kułakiem i sam z braku równowagi pochylił  
się do ziemi. Iwaś wylekły siedział już daleko  
pod tapczanem, a oswobodzony prosiak wyle-  
ciał co prędzej za otwarte wrota, ślizgając  
się na cienkich nóżkach po wymoszczonej gliną  
podłodze.

Hryć jak zawsze był panem położenia,  
lecz był już rozżarty i głodny, a nieudały za-  
mach rozwściekił go na nowo. Potrzebował  
wywrzeć jeszcze na czemś ostatki swojego  
gniewu, gdy oczy jego padły na zniemawid-  
zoną chudzinę.

Dziecko na gwałtowny hałas szerzej  
otworzyło popstrzone od much powieki i za-  
kwiliło głośniej.

— „Tycho, ty zawołoko! — krzyknął Hryć  
nad korytkiem — „wyiły te mnchy ślipy, taj  
„tobi ich ne potribno“ i twardym wskazują-

Ł cym palcem szturchnął silnie w dwa oczodoły  
niemowlęcia.

Dziecko wydało ze siebie krzyk przera-  
źliwy i zamilkło, a na powiekach wystąpiły  
mu dwie krwawe plamy.

Iwaś wylazł z pod tapczana, z wrzaskiem  
wybiegł z chałupy i puścił się drożyną w pole  
naprzeciw matki.

Mały przestępca zbladł i zaczął trząść się  
na całym ciele. Był pewny, że zabił, a on  
dotąd kradł tylko czasami i to wtedy, gdy  
głód mu doskwierał, a matka nie miała co  
zgotować. Dziwnego doznawał uczucia ulgi  
i panicznego strachu zarazem. Nogi uginały  
się pod nim, a w obec tego sinego trupka  
z krwawymi plamami w miejscu ócz pod czo-  
łem, nienawiść jego znikła. Porwał niemowlę  
na ręce, lecz czempredzej spuścił je napowrót

w korytko. Do-  
tknięcie tego ga-  
laretowatego, bez-  
władnego ciała i  
jego niesłychana  
lekkość, przera-  
ziła go.

Ściągnął z pół-  
ki przy drzwiach  
pierwszy lepszy  
garnek i pognał  
nacerpać wody w  
wąwozie.

Położył garnek  
na kamyczkach,  
otworem ku leni-  
wo nadpływającej  
wodzie i pochy-  
lony patrzył na  
karbowane drobne  
paseczki ruchliwej  
fali, ozłoczone osta-

tnią smugą zachodzącego słońca. — Tak mru-  
gają gipsowe fale pod czółnem na ambonie  
w cerkwi klasztornej, gdy jasne słońko przez  
wysokie okno zagląda do środka. Chmara ludu  
zapatrzona, słucha kazania, a ksiądz „siperior“  
tak pięknie gada na odpust. On, Hryć był  
w cerkwi kilka razy tamtej jesieni z synem  
diaka, co to w „bursi“ uczy się w wielkiem  
mieście na książce.

Podarował mu stare połatanne ubranie,  
bo ojciec kazali mu zrobić nowe do szkoły.  
Taj chodził z nim „na służbu bożu“, bo miał  
w czym, a w zgrzebnej podartej koszuli i po-  
łatanych spodniach wstyd iść w niedzielę do  
cerkwi. Taj rok już tam nie był, a niewie-  
dziec czy św. Piotr i Paweł zapuszczają je-  
szcze sznurowe sieci do sinych fali gipsowych,  
po piękne złote i srebrne rybki.





Oj jakaż cudna ta ambona i jakie krasne gadki o apostołach, co na niej po bokach stoją, opowiadał mu syn diaczy. A posłuchałby kazania księdza „siperiora“, co tak krzyczy na ludzi, żeby nie kradli, nie zab.... Hospody pomyluj, a on zabił może!...

Czy też ksiądz który głodny kiedy?...

Oj pewnie nie, a jemu prawie zawsze kurczy się z głodu w żywocie — ale on na to ksiądz, sługa Hospod' Boha, ażeby głodny nie był. Oj, żeby to on Hryć kiedy był w „bursi“, a potem księdzem został!

Wszystko to bezładnie przeszło w mig przez głowę Hrycia, ochłodzoną wiatrem wieczornym. Na płacz mu się zebrało i włosy ze strachu stanęły na głowie, gdy posłyszał płaczliwe bełkotanie biegnącego za matką Iwasia. Głos trząsł się małemu, przerywany płaczem, a Lulka pędziła na oślep naprzód z lamentem i gubiła z podółka zimne, gotowane kartofle, co jej na wieczrę dała dziś gospodyni.

Zerwał się Hryć i w dwóch susach stanął w izbie nad kołyską. Z za pazuchy wyciągnął cienką, brudną perkalową kieszeń, pozostałość jedyną po paradnym surducie od diaczka; umoczył w garnuszku, wyżał i jał obmywać czarne plamy zaschłej krwi na oczkach martwego dziecka. Głuche rżenie ozwało się nareszcie z pod szkieletowatych ziobier chudziny. Hryć odetchnął głęboko, jakby rzucił jaki ciężar ze siebie, choć pod palcami przy „umywaniu“ poczuł tylko próżne dołki pod czołem.

„Doloż moja, dolo — zawodziła, dobiegając chaty nieszczęśliwa Lulka, dziecko zbój mi zabił, jeszcze przyjdzie gnąć w kryminale za niedozór. Dawnoż to zamknęli Petrową w areście, że dzieci podpalili zapalkami chatę i same „zhorili w nei“.

Wpadła, klnąc, do izby, rzuciła się na pochylonego nad dzieckiem Hrycia, i zaczęła go bić, kasać i szarpać oblepionymi zaschniętą ziemią palcami. Garnek wypadł mu z ręki i rozbił się w czerepy, co zdwoiło jeszcze jej wściekłość. Lecz Hryć miał dosyć już tego. Matka nie biła go już dawno, bo on już teraz od niej silniejszy i zuchwały.

Za krzywdę „detyny“ bić się pozwolił, bo ono kaleką przez niego. Nie zobaczy nigdy ni słonka, ni pola, nie popatrzy na apostołów i rybki w ambonie, na carskie wrota złociste i na Bożu Maty w cerkwi na ołtarzu, ale za „hornie“ co mu sama z ręki wytrąciła, katować się nie da. Schwycił matkę mocno za obie ręce, że aż kości zatrzeszczały w stawach i groźnie spojrzął jej w oczy. Poczuli, że więcej nie wolno, wyrwała mu się

z krzykiem i przypadła teraz szlochając do „chrobaka“.

— „Oj detynońku moja, hołuboczku mij, „zcoż ja budu robyty z toboju“ — biadała i biadała nad jego i swoim losem, że jeść darmo będzie biedna kaleka, sierota.

— „Wyżebrze więcej na odpust, niż wy „w budny dzień zarobicie, ot i jeść darmo nie będzie“ — przerwał zuchwale Hryć lamenty matczyne — „ale ja kraść już nie będę i „Iwasiowi nie pozwolę“ — dodał ponuro. „Pójdziemy oba do szkoły, połatajcie szmaty „matulu“.

Twarz mu się rozjaśniła, pocałował rozgrzowaną twarzyczkę śpiącego biedactwa i już był w zgodzie z własnym sumieniem.

„Będę go uczył chodzić jak podrośnie i „zaprowadzę sam pod cerkiew“ — mrucał dalej zamyślony. Usiadł na skrzyni, a przed oczyma przysłoniętymi do połowy powiekami, zamajaczyły mu gipsowe drżące do słońca fale pod amboną, sieć zwieszająca się ku nim, dwaj apostołowie i rybki złote, zamotane w sieci.

Galicya.

Esopina.

## Wyprzedzi.

**M**inał karnawał, nie długi wprawdzie, ale siarczyście ożywiony, więc przez to samo sprzyjający przyspieszeniu wszelkich spraw sercowych; — rozpoczęły się już wielkopostne herbatki, na których znowu nudy nieraz młodzież męską usposabiają do szukania w rozmowach z pannami mniej oklepanych tematów, co szybko zbliża wzajemny stosunek; — a pomimo to wszystko, pan Stanisław nietylko że się nie oświadczył pannie Ewie, ale nawet nie dał jej żadnem wyraźniejszym słowem poznać swych uczuć, choć te istniały niezawodnie.

— Nie umiem zrozumieć tego człowieka — mówiła pani Siedzicka do swego męża, po wieczorku u znajomych, na którym pan Stanisław często wzrok zwracał ku jej córce, ale daleko mniej z nią rozmawiał, niżby tego pragnęła. — Gdziebądź pójdziemy, wszędzie się on znajdzie, postarał się nawet o wstęp do domów, w których bywamy, widocznie dlatego, ażeby tam mógł Ewie spotykać; — jest wyraźnie w niej zakochany, a jednak milczy jak mur i nie wiedzieć dopóki tego będzie!

— Co ma być, to się stanie, moja kochana wtedy, kiedy Pan Bóg zechce — odpowiedział jej mąż, człowiek bardzo cier-



pliwę zarówno z natury, jak i skutkiem obranego zawodu, w którym zmuszony będąc siedzieć w swym biurze na jednym krześle przez całe lata, wyczekując ciągle awansu, którego nadzieje najczęściej go zawodziły — odczytał się w końcu bezpotrzebnego zaprzętania sobie głowy tem, co miało być kiedyś — albo może nie być nigdy. Dodać też należy, iż w przedmiocie wydania za męża córki, czuł się tem chętniejszy do cierpliwości, iż z myślą o tej szczęśliwej chwili wiązała się dla niego kwestya potrzeby dania w tym razie chociaż wyprawy, jeśli już nie posagu.

Żona jego wszelako, bardzo energiczna osoba i z obywatelskiej rodziny pochodząca, więc z obu tych względów górę w domu mając nad potulnym naczelnikiem, zawsze tylko zaprzętniętym swymi referatami, mniej spokojnie zapatrywała się na ów stan rzeczy, mocno drażniący jej macierzyńskie uczucie.

— Jeśli to potrwa jeszcze dłużej — powiadała sobie — postaram się o zniechęcenie tego dudka do bywania w naszym domu. Już ja to wezmę na siebie, bo ktoby się tam czego doczekał od mojego męża! To szczęście, że Ewcia nie odziedziczyła po ojcu usposobienia; całkiem się we mnie udała, więc sobie da radę na świecie z pewnością...

Rzeczy nie stały jednak tak źle, jak sobie wyobrażała pani Siedzicka, co do małżeńskich zamiarów kawalera, którego miała na oku dla córki. Przeciwnie, owszem, kształtowały się one w nim coraz wyraźniej i właśnie w obecnej chwili, za wpływem postronnych okoliczności, które go bardziej do stanu małżeńskiego zachęcały, — dojrzały one o tyle, iż postanowił dać je poznać komu należało.

Bywał zwykle wieczorem tylko u państwa Siedzickich, ale tym razem wybrał się z ranną wizytą i został nader uprzejmie przyjęty przez gospodynię domu, która natychmiast przeczuliła w tych odwiedzinach coś wyjątkowo znaczącego i uroczystego. Utwierdziło ją w tem mniemaniu zapytanie, uczynione przez pana Stanisława zaraz prawie po przywitaniu, czy pannę Ewę w domu zastaje?

Oczywiście, przyszedł się oświadczyć; — nie było już co do tego żadnej wątpliwości. Ogromna radość napelniła serce matki i trzeba jej było wielkiego wysiłku do zapanowania nad jej objawami, gdy z uśmiechem odpowiadała swemu przyszłemu zięciowi:

— Wyszła na miasto, ale pewnie zaraz powróci, bo już parę godzin jak się z domu wybrała.

— Jakto? tak wcześnie? chyba do kosić — spytał Stanisław.

— O, nie; poszła na wyprzedaż, która się dziś odbywa u Herzego, bo chciała dostać się tam jak najraniej. Później tłok tam bywa taki, że nawet niczego obejrzeć nie można.

— Czy panna Ewa ma wiele sprawunków do robienia? — zapytał, chcąc cokolwiek powiedzieć.

— Ma się rozumieć — zwyczajnie jak u młodych, zawsze czegoś im potrzeba — odpowiedziała matka; a moja Ewcia tak jest oszczędna i praktyczna, że na to aby coś tanio kupić, ani trudu, ani czasu nie pożałuje. Mówią zaś, że na tej wyprzedaży atłasy, plusze i koronki są za bezcen.

Rozmowa szła dalej jakoś ociężałe, częstymi milczeniami przerywana. — Plusze, atłasy i koronki!... Dźwięk tych słów pozostał w uszach pana Stanisława, niemiłe sprawiając mu wrażenie. Mogły te rzeczy być bardzo tanie na wyprzedaży, ale chyba taniej wypadłoby jeszcze bez nich się obejść...

Przypomniawszy sobie teraz, jak przechodząc przed modnym magazynem, którego sama nazwa tyłu ojców i mężów dreszczem przesywa, widział już na chodniku pełno kobiet, tłoczących się do niego, nie domyślając się, iż je tam uprzedzić już potrafiła ta, której szedł przyszłość swoją powierzyć. Zapewne — miała ona może słuszość, skorzystawszy ze sposobności do tańszych zakupów; — bądź co bądź jednak byłby wolał, żeby to w innej porze wypadło i żeby mu nie wszedł w drogę ów bazar fatalaszek w tak ważnej dla niego chwili.

Odpowiadając z roztargnieniem na zapytania pani Siedzickiej, w których nie mógł z tego powodu dostrzec nieznacznego wybudowania jego upodobań i nawyknień, pan Stanisław coraz myślą gdzieindziej odbiegał, rozważając jeszcze po raz ostatni krok stanowczy, do którego się zabierał. Był to człowiek dzisiejszych czasów — o tyle tylko młody w trzydziestym roku życia, że się mógł potrosze zakochać — ale nie bez pamięci znowu; nie koniecznie wyrachowany, ale umiający i lubiący obliczać każdą rzecz, co mu nawet, jako buchalterowi z zawodu, za złe brać nie można. Zabierając się do małżeńskiego stanu, nie tyle zwracał uwagi na wysokość posagu swej przyszłej żony — którego był nawet gotów się wyrzec — jak na cyfrę wydatków, jakie ona z sobą wniesie do jego domu. Ścisłe nieraz układając swój przyszły budżet, najwięcej czuł zawsze zagrożoną jego równowagę rubryką osobistych wydatków



pani, czyli jej ubrania, gdyż ta przedstawiała mu się nadto niewyraźnie, aby ją mógł choćby w przybliżeniu określić. A tu właśnie, kiedy rad był z zupełnem zaufaniem w przyszłość, raz na zawsze dać odprawę obawom i niepewnościom, które go tak długo trzymały w zawieszaniu, — oto zbijają go znowu z tropu owe plusze i koronki — owa kwestya, nie ubrania już, ale strojów, której widmo tyle razy stawało w poprzek jego małżeńskich zamiarów!...

Pani Siedzicka tymczasem, ucieszona nieco dziwnem zachowaniem się swego gościa, które wzruszeniu przypisywała, wyobrażała już sobie w duchu Ewcię w ślubnej sukni, obrzuconą przejrzystym welonem i zapatrzona w owe cudowne widziadło, sama także wpadała w chwilowe roztargnienie.

— Co to za szkoda — myślała sobie w duchu — że ten maruda nie oświadczył się wcześniej! Byłoby można niejedno kupić do wyprawy na tej wyprzedazy.

W tem drzwi od pokoju żywo z zewnątrz pchnięte, otworzyły się na rozcież i wbiegła panna Ewa zdyszana i zarumieniona, o tyle upiękaszona w tej chwili radośnem ożywieniem, że aż serce pana Stanisława tak mocno uderzyło od jej widoku, jak gdyby się był w życiu za wiele poezyi naczytał, choć on wcale tego nie miał na sumieniu. Ujrzawszy go, pokraśniała jeszcze bardziej i podała mu na prędce rękę z uśmiechem, ale zaraz potem podbiegła ku matce i na stół przed nią rzuciła swe rozliczne pakunki, wyłącznie już wyprawą swoją zajęta.

— Mateczko najdroższa, udało mi się wybornie! — zawołała, śpiesznie je rozwijając. — Co ja za śliczności pokupowałam! — patrz tylko i podziwiaj.

Zaczęły potem obie przeglądać pilnie owe nabytki, przy każdym z których Ewcia wychwalała bajeczną ich taniość. Po chwili jednak matka jej rzekła, przerywając owo zajęcie:

— Ale nie widzę tu wełnianej sukni, którą miałaś sobie kupić? Nie mogłaś przecie o niej zapomnieć, wiedząc, że ci będzie na wiosnę potrzebna.

— O nie, mam, nie zapomniałam wcale; ale pomyślałam sobie, że właśnie dlatego ojculek będzie musiał dać na nią pieniądze — odpowiedziała z figlarnym uśmiechem panna; — a widząc tyle ładnych rzeczy, sprzedawanych za bezcen, nie chciałam pominać sposobności, która się rzadko trafia. Spójrz tylko mam, com ja tam zdobyć potrafiła, wrywając niejedną rzecz z rąk innych pań, które już ją zabrać chciały jak swoją.

Ta oto gaza haftowana złotem, tom ją prawie przemocą pozyskała, ale też warto było o nią się dobijać. Co to za cudny będzie przód do sukni wieczorowej! I zaraz do tego dobrałam sobie szarfę i wachlarz... patrz, jaką to wszystko tworzy całość prześliczną!

— Ale to musiało jednakże trochę dużo kosztować, moja kochanko — rzekła matka trochę zafrasowana — a pora balów już przeminęła.

— To i cóż z tego? — zawołała z żywością panna Ewa. — Przecież i bez karnawału zdarza się nieraz jaka zabawa? Mów, co chcesz mam, ja wiem, że świetny zrobiłam interes. Wszystko to jest prześliczne; znać zaraz, że wyszło od Herzego; — tą szarfą w złoty rzucik szczególnie nacieszyć się nie mogę; — doprawdy, że aż mię ochota bierze ją całować! — dodała, przy boku swoim spuszczać jej końce.

Świat cały przestał teraz dla niej istnieć, jak gdyby z mody przybytku wyniosła z sobą upojenie, którego czar trwał dotychczas.

O obecności Stanisława zapomniała była prawie.

On patrzył na nią w smutnem zdumieniu, niby zajęty przeglądaniem jakiegoś albumu. Zdawało mu się, że w niej inną poznaje dziś kobietę — a raczej, że ją widzi po raz pierwszy dopiero. Gdzież się podziała owa oszczędna i tak mało wymagająca panna, której domowe cnoty i gospodarność słyszał tak często sławione przez jej matkę, a szczególnie przez rozkochaną w niej ciotkę, pannę Brygidę, że ten jeden raz w życiu uwierzył, iż może bezpiecznie stanąć na ślubnym kobiercu; pewien, iż żaden wąż tej jego wybranej Ewy, do złego namówić nie zdoła. A tu tymczasem już na progu tego życia nowego syczenie kusiciela odezwało mu się w szeleście jedwabiu i wśród szychu świecideł! — Była ona zupełnie taka sama jak inne!...

Nacieszywszy się swymi nabytkami, panna Ewa wróciła wreszcie do gościa, którym i matka jej zajęła się teraz z podwojoną uprzejmością, trochę zaniepokojona poważnym wyrazem jego twarzy.

Ale nie potrzebowała długo się tem trudzić! Pomimo więcej niż grzecznych uśmiechów panny Ewy, która mu nawet czule wymawiała, że o ich domu zapomina, chociaż był w nim przed kilku dniami, — pan Stanisław wstał z krzesła niebawem, zabierając się do odejścia. Od zaproszenia zaś na herbatkę, którem go żegnała pani Siedzicka, wymówił się stanowczo.





*Kiejstutówna jak zwykle w sióstr i rówieńnic orszaku  
Za krośnami usiada, albo się bawi przedziwem,  
A gdy igły migocą, toczą się chyłkie wrzeciona,  
Walter stoi i prawi cuda o krajach niemieckich  
I o swojej młodości...*

*Z Konrada Wallenroda.*



— Muszę wyjechać z Warszawy na jakiś tydzień — rzekł; zechce więc szanowna pani mieć mnie za wytlómaczonego...

— Jakto? Wybiera się pan w drogę w taką porę? — zawołała, tknięta złem jakimś przecuciem. — Czy nie jaka przykra wiadomość od rodziny?

— O nie, pani, — odpowiedział. Chcę tylko namówić niemłodą już krewną, którą mam na prowincyi, aby się tu przeniosła i ze mną zamieszkała. Radbym sobie urządzić choćby coś podobnego do domowego ogniska, bo mi się już bardzo przykrzy moje osamotnienie...

Od słów tych panna Ewa mocno pobladła; u matki jej zaś wywołały one całkiem przeciwny objaw, gdyż krew gwałtownie uderzyła do jej twarzy. Chciała coś odpowiedzieć, ale na razie słów jej zabrakło, a potem nie było już na to czasu, gdyż pan Stanisław zaraz się pożegnał i wyszedł z pokoju.

— Już teraz po wszystkim; — on się z Ewcią wcale nie ożeni, wiem to na pewno — rzekła pani Siedzicka do męża, gdy z biura powrócił.

— Kiedy tak, to widać nie było w tem woli Bożej — odpowiedział spokojnie, tekę z papierami kładąc na stole, daleko bardziej zafraśowany różnicą osmdziesięciu sześciu kopiejek, której nie mógł w żaden sposób wyjaśnić w swych dzisiejszych obliczeniach, niż wiadomością od żony usłyszaną.

Na szczęście strapionej matki pojawiła się w samą porę panna Brygida, nastęrczając jej sposobność do wynurzenia się przed nią z całym zaufaniem po utracie nadziei tak niespodziewanie zawiedzionych, właśnie gdy się zdawały najbliższymi ziszczenia.

— Widziałam to wyraźnie — powiadała — że się przyszedł oświadczyć i czekał tylko Ewci powrotu. Tymczasem potem, ni stąd ni zowąd, zrobił się z niego jakby inny człowiek. Stał się milczący, pochmurny — a w końcu zwinął otwarcie chorągiewkę i dał jasno poznać, że się żenić nie myśli. To mi dopiero dudek! Ciekawa jestem, gdzie on taką drugą znajdzie jak Ewcia? — sama powiedz. Czy to łatwo napotkać panienkę tak oszczędną i praktyczną jak ona? (choćby ze świecą szukał, nie natrafi drugi raz na podobne szczęście... Ale czy to mężczyźni umieją kiedy rozumny zrobić wybór? Za lada plewą będą się wszyscy uganiać, a na dobrem ziarnie żaden się nie pozna!...

— Oj, prawda to! święta prawda! — potwierdziła z westchnieniem stara panna —

w dalszą może przeszłość powracając myślą w tej chwili.

Panna Ewa odczuła cokolwiek urazę miłości własnej za odwrót konkurenta, na którego prawie już liczyła z pewnością, ale zawód ten nie bardzo silnie zadrasnął jej serce. Miała w tych czasach niejedno zaprzątzenie, które myśli jej zajmowało przyjemnie: — obcisła zakietka, z pluszu nabytego na wyprzedaży, zyskała na ślizgawce wielkie powodzenie, równie jak i jej właścicielka, otoczona coraz liczniejszym orszakiem wielbicieli.

Czy się miał z pośród nich wykluczyć w przyszłości choćby jeden konkurent? — trudno to przewidzieć w tych ciężkich czasach, w których życie nie jest wcale poematem i o wiele rzeczy bardzo w niem trudno.

Maryja Faleńska.

## X życia poetów.

**D**ała mu książkę i serce mu dała:  
O książkę prosił, o serce nie pytał,  
Więc obojętnie natręta powitał,  
I usiadł pisać, ona obok stała.

Pisał o prawdzie, miłości i chwale,  
Śpiewał o szczęściu, płakał życia nędze,  
Malował cudnie pragnień wyższych przedzę,  
Że stała przy nim... zapomniał w zapale.

Wytrwale stała, zbielała jak chusta,  
Miłość jest szczęściem... a ona kochała!  
Jakaś jej skargą zdrzżała pierś pusta,  
Oddała serce... i nic już nie miała.

§. 9.

## PRZY OKNIE.

**P**rzy oknie stoi starzec srebrnowłosy, smutny, zamyślony, a przy nim dziewczeczka dziwnie poważna, acz młodziutka jeszcze.

Na ulicy chodzą tłumy różnobarwne mieszańców nadsekwańskiej stolicy.

Zdała widać szczyty wieżyc, kolumn, kopuł ozłoconych ostatnimi blaskami zachodzącego słońca... Ale nie na to wszystko patrzą starzec i dziewczyna...

Oczy ich zwrócone w jedną stronę, tam, ku północy!

Tam wzrokiem serca jedynej krainy szukają.

Starzec coraz smutniejszy, czuje jak w sercu jego, niby dzwon pogrzebowy, jęczy ponury głos boleści: „Już ty jej nie zobaczysz, nigdy, nigdy!”

W serduszkach dziewczęcia błogo śpiewa głosik nadziei, jako pierwszy skowronek wiosny:



— „Kiedyś tam polecisz! Kiedyś ujrzysz kraj twój  
nieznany, kiedyś, bodaj jak najrychlej!”

Starzec widzi wspomnieniem ojczyznę taką,  
jaką ją zostawił, pogrążoną w żałobie, po bezsku-  
tecznym wysiłku...

Przy nim wnuczka wystawia sobie nieznaną  
ojczyznę taką, jaka będzie kiedyś w tej szczęśli-  
wej przyszłości, do której jej dusza się uśmiecha...  
po zwycięstwie sprawiedliwości...

Starzec myśli o długiej pracy w milczeniu,  
o płonnych cierpieniach, o zawiedzionych na-  
dziejach... śmierć się zbliża! dla niego już nie ma  
nadziei, już nic dla kraju nie uczyni.

Dziewczynka prosi Boga, by jej pozwolił jak  
najprędzej stać się użyteczną krajowi. Ona wie,  
że jej usiłowania, choć w skromnej mierze, przy-  
dać się kiedyś będą mogły.

Ach, bo w jej serce opowiadania ojca, matki,  
dziadunia, pieśni ojczyste, od kolebki słyszane, tyle  
wlały miłości, nadziei, odwagi!

Ostatnie blaski słońca raz jeszcze uwieńczyły  
światłością głowę zboląłego starca i ufającej dzie-  
weczki... i słońce znikło.

W kilka dni potem o tej samej porze, dziew-  
czę same stało przy oknie... w żałobnej su-  
kience... Starzec leżał w obcej ziemi, pośród cu-  
dzoziemców.

Lecz dziewczę zostało, dziewczę wyrosło i z tą  
samą nadzieją patrzy zawsze ku północy...

Siotry nasze w kraju! Czyż myślicie czasem  
o tem pokoleniu dziewcząt, z których to jedno  
dziś śmie głos swój łączyć z waszymi głosy?

Paryż.

Julia Gasztowt.

## DO WIOSNY.

Wiosno! kiedy smutno rozwiejesz obłoki?...  
Kiedy zielenią cudną pokryjesz te niwy?...  
Kiedy zabłyśnie radość, jak świat ten szeroki,  
A każdy ptaszek śpiewać będzie, że szczęśliwy?

Wiosno! kiedyż do życia rozbudzisz te kwiaty,  
Co snem cichym spowite, drzemią w łonie ziemi?  
Kiedy rozsypiesz w trawach perły i granaty,  
I upajać nas będziesz wdzięki czarowni?...



O! prędzej swym promieniem ozłóć nasze życie!  
Niech znikną dni ponure, zabłyśnie wesele:  
Wszak radości tak mało, a cierni tak wiele;

Lzy po wybladłej twarzy toczą się obficie,  
I nieszczęścia jak gromy spadają na ludzi...  
Wiosno! niechaj twój promień szczęście nam obudzi!

Rawa Rutska.

Helena G.



# KROPLA W MORZU.

Z DAWNYCH LEGEND.

W tonął w morzu żeglarz młody,  
Zimnej go fali skryły tonie;  
Strzaskaną łódź uniosły wody,  
I zcichło wnet o chłopca zgonie...  
Jedynie wichry poszumiały  
Tam — gdzie podążał żeglarz śmiały.

Lecz morskich głębin toń zuchwała,  
Nie skryła w swej bezdennej fali  
Bezkarne chłopięcego ciała.  
Tam w głębiach smutny duch się żali,  
Z wichrami nosąc skargę niebu:  
Że zginął tak — bez łez, pogrzebu.

Wód morskich, wirów wszystkich ciemnie  
I głębin topiel rozburzona.  
Ochładza chłopca, lecz daremnie!  
Nie zgasi pragnień jego łona.  
Nieopłakana, biedna dusza  
Toń morza, wichry, niebo — wzrusza.

\* \* \*

Nad rzeczką... siedzi tam dziewczyna,  
A strumień szemrząc, cicho płynie.  
Coś on dziewczynie przypomina,  
O czemś on szemrze tej dziewczynie:

Ktoś tu jej śpiewał, rwał jej kwiatki,  
Dziwnymi patrząc w nią oczyma.  
Sierota, nie miał ojca matki.  
— Dziś chłopca, kwiatów, pieśni niema.

Choć krótko trwał jej smutek cały  
I wspomnień tęsknych ledwie chwilka,  
Z oczu się srebrne łzy połały,  
I w fale rzeczki spadło kilka.

Rzeczka, co z szumem naprzód bieży  
I zbiera wody swej krainy,  
Splókując stopy swych wybrzeży,  
Zabrała srebrne łzy dziewczyny.

Oto... ze łzami gdzieś ucieka,  
Pieni się zrazu... burzy, kłębi;  
By jak znużona, cicha rzeka,  
Zginać w zburzonej morza głębi.

A morski wir wciąż rozszalały,  
Pochłonał tysiąc rzek, strumieni,  
Okrętów rozbił sto o skały  
I ciągle huczy, wciąż się pieni.

Wtem wody prąd ze łzą zmieszany,  
W głębinę morza się zanurza.  
— I spoczął chłopca duch stroskany,  
Umilkło morze, zcichła burza.

Wszak spadła kropla drobna, biedna,  
Zbłąkana w wielkim tym przestworze,  
Na pierś żeglarza... łezka jedna...  
I zcichło rozhukane morze.

\* \* \*

Gdy w burzy ludzkiej jękną duchy,  
Zacisnąć uszy — nie wystarczy,  
I kiedy grzmot nadciąga głuchy,  
Czekać — aż nagle grom zawarczy!

Przed błyskawicą nie kryć twarzy,  
Nie czynić nam marnego wrzasku.  
Nim krwawa luna się rozżarzy,  
Działajmy przy piorunów blasku.

Spragnionych kropla nie napoi,  
Łzą nie nasyci biednych weale;  
Lecz może serca uspokoi,  
Może ukoj ducha żale.

Lwow.

Zofia Grynbergowa.



## Dwie miłości.



Wrodziła się w noc zimową, pełną mroź-  
nych blasków i pieni anielskich, roz-  
brzmiewających w przestworzu hymnem  
pokoju, zwiastowanego ludziom dobrej  
woli. Owiana w obłoczyste szaty, z gwia-  
zdą wiary nad czołem, a pochodnią nadziei  
w rękę, zstąpiła z wyżyn niebieskich, — a  
pomijając pałace bogaczy, szła między chaty  
nędzarzy, czyniąc się ubogą i maluczką jak  
oni. Widziano ją pochyloną nad kolebką nowo-  
narodzonego dziecięcia i nad łóżem umiera-  
jącego starca; a takie promienie światła były  
z jej czoła, że wzrok gasnący, chłonąc je  
w siebie, nie widział z po za nich ciemni gro-  
bowych.

Wśród wichrów i zawiei, wśród śnieżycy  
i orkanów, przesuwała się harmonijna niby  
eolskie technienie. W ślad za nędzą i czarną  
rozpaczą, za głodem i morem, wojną i po-  
żogą kroczyła cicha i milcząca, współ-  
czująca i miłosierna, słodka i niestrudzona  
nigdy...

A za jej zbliżeniem łzy osychały na po-  
wiekach, otucha wracała w zwątpione serca;  
błuznierstwa zamieniały się w błagalny szept  
modlitwy, a jęki rozdartych bólem piersi, roz-  
pływały się w cichem westchnieniu ulgi.  
Wszyscy wyciągali do niej ręce, wszyscy zwraca-  
li ku niej zaltawione oczy, bo dla każdego  
miała dar słowa czy uśmiechu: chleb dla  
zglodniałych, ochłodę dla spragnionych, po-  
krzepienie dla słabych.

— „Błogosławieni, którzy cierpią — szep-  
tały blade jej usta — błogosławieni cisi i  
„pokorni, głodni i łaknący chleba dla ciała  
„i światła dla ducha — błogosławieni, którzy  
„płaczą, albowiem przed nimi otworzą się



„przybytki wiecznej szczęśliwości i źródła  
„wieczystej ochłody...”

I przed blaskiem jej pochodni uciekały  
Furye piekieł: R o z p a c z — gnana czarnem  
skrzydłem północnych wichrów; g ł ó d — seci-  
nami dziesiątkujący ofiary; c h o r o b a — wysy-  
sająca wszystkie soki żywotne ludu, dotknię-  
tego morem...

I pokój Boży, pokój wybranych powol-  
nie zstępował na ziemię.... Mogiły porastały  
darnią, łąny szumiały złotym i chlebobaj-  
nym kłosem, łąki okrywały się kwiatami,  
a słońce wiosny i wesela świtało w sercach.

Hymn błogosławieństwa, towarzyszący  
krokom niebiańskiej córy, wznosił się aż do  
nieba, a zagrzana jej przykładem druga sio-  
strzyca, spuściła się ku ziemi. Lecz inne  
obrawszy tory, szła gdzie wrzawa i wesele,  
gdzie radość i upojenie, a białe lilie swego  
wieńca zmieniwszy na szkarłaty róż, ukazy-  
wała się w świetle kinkietów, w sztucznej  
atmosferze sali balowej, piękna i zachwyca-  
jąca oczy rumieńcem lica, żarem ognistego  
spojrzenia, powabem powiewnej postaci. Niby  
zwodna rusalka mieniła coraz kształty swoje,  
z królowej przerzucając się w służebnicę,  
z poddanki w monarchinią. Stawała się na-  
przemiańską poezją i natchnieniem, burzą i gro-  
mem, gwiazdą przewodnią i złudnym mirażem.  
Namiętne technienie jej drgało w omdlewają-  
cych a zawrotnych tonach Strausowskiego  
walca, w srebrnych promieniach księżyca,  
ślizgających się po rosą obciążonych kielich-  
chach kwiatów, w słowicznych pieniach w noc  
majową, w rymach poetów, w akordach min-  
strelów. Gdzie tknęła czarodziejskim swem  
berłem, tam wybuchały wulkany gorejących  
uczuc; gdzie błysnęła żarem czarnych swych,  
gwiazdzistych źrenic, tam zapalała niszczące  
płomienie, a oręż wkładając w dłoń swych  
poddanych, kierowała go nieraz ku własnemu  
ich sercu lub ku piersi bratniej.

I dumna swem królowaniem, szła dalej  
zwycięska, obojętna na lzy i krew ludzką,  
upojona szalem własnej pychy, nadstawiająca  
słuch hołdom, a głucha na przekleństwa...

U bram nieba spotkały się obie siostry...

Pierwsza z nich — cicha, promienna, nie-  
skalana, u stóp Tronu Wszechmocnego zło-  
żyła plon obfity pracy swej żniwiarskiej: —  
rosę łez ludzkich zmienioną na cenne perły  
zasług; — złoto uczuć wypalone w probier-  
czym ogniu cierpień, brylanty świętych zapa-  
łów wznieconych w głębi serc...

Druga przed skarbnicą Pańską stanęła  
z próżnymi rękoma. Pęki róż zerwanych na  
niwie życia, powiedły u jej skroni, dymy ka-

dzideł rozwiały się w powietrzu, puhar rozko-  
szy wysączył się do dna.

Błogosławieni miłosierni albo-  
wiem oni miłosierdzia dostąpią —  
rzekł Pan. — Błogosławieni są ci, którzy  
współcierpieć i radować się umieją z drugimi,  
bo duch ich żyć będzie w ludzkości całej.  
Czyny własne będą im nagrodą na ziemi i  
w niebie. Tym zaś, którzy skarby uczuć wy-  
zyskali tylko na własne cele, — karą stanie  
się grzech ich: — miłość zasklepiona w so-  
bie samej, wypalająca się w ogniu własnej  
namiętności, nie wykraczająca z ciasnych gra-  
nic egoizmu, nie zespolona żadnym ogniwem  
z łańcuchem ludzkości, nie znająca innych  
rozkoszy prócz upojeń dumy, innych tryum-  
fów nad samotną królewską panowania.  
Kara ich niechaj będzie własne samolubstwo,  
które nigdy cudzego szczęścia ani niedoli nie  
zakosztuje na ziemi.

Warszawa

Z. Hartingh.



## TRZY ROLE.

**K**iedy w młodości kwitnącej,  
Płec piękna idzie do mety  
Dwudziestki lat czarującej —  
Lustro — pochlebca kobiety.

A choć dwudziesty rok minie,  
Lustro ma wielkie zalety,  
Zanim trzydziestka upłynie;  
Bo jest — doradcą kobiety.

Lecz gdy znów latek przybywa,  
To, mimo wdzięków podniety,  
Już tylko zazwyczaj bywa:  
— Impertynentem! — niestety.

Zieloniec (w Galicji).

Helena Hempel.



## Puście mnie do szkoły.

**P**uście mnie do szkoły, niech się uczę czytać;  
A cobym czytała, chciej mnie matuś pytać.  
Naprzódbym z książeczki w święto i w niedzielę  
Za was, za tatula modliła w kościele.  
Prosiła Jezuska i Mateczki Boskiej,  
By plony obfite dał dla naszej wioski.  
Aby wziął w opiekę drogich ojców ziemię,  
Od swarów, od zwady bronił nasze plemię.  
By na naszę lipę bociany wróciły,  
Jaskółki pod strzechą gniazdeczka zlepiły.  
By len urosł w polu, w gaju rozmaryny  
I jabłuszka w sadzie i w lesie maliny.



I wambym czytała, co się działo w świecie,  
 O tym dobrym królu, co tak kochał kmiecie.  
 I o wnuczce jego, tej ślicznej królewnie,  
 Co nad biedą ludu tak płakała rzewnie.  
 Dowiedziałyby się, co to za hetmany,  
 Którym lud rękami usypał kurhany.  
 I o nichbym także — jak drugie dzieweczki —  
 Potrafiła śpiewać prześliczne piosneczki.  
 I jużbym wiedziała, jak tu żyć potrzeba,  
 By za wolą boską dostać się do nieba.

Puście mnie do szkoły, niech matuś nie wzbrania;  
 O! w szkole się prędko nauczę pisania.  
 Wtedy het za góry, za Dunaj srebrzysty,  
 Do braciszka mego będę pisać listy,  
 Opowiadać wszystko, co się u nas działo.  
 Aby mu z tęsknoty serce nie pękało.  
 Drobniotko wypiszę listeczek złocony  
 I powiem, że za nim rzy koniczek wrony.  
 Śladów jego tęsknie szuka Burek stary,  
 Tatulo do skrzyni dłań składa talary,  
 A matuś mu nowy szyje przyodziewek,  
 Siostrzyczka weselnych przyucza się śpiewek.  
 I modlą się wszyscy do Świętej Panienki,  
 By zdrowo powrócił Jasiunio z wojenki.

Puście mnie do szkoły: tam pani pokaże  
 Jak szyć cieniuteńki obrus na ołtarze,  
 Kaftanik tatusia, zapaskę matulki,  
 A sobie wyszywać wzorzyste koszulki.  
 O tam się nauczę, jak Kasia sąsiada,  
 Które minąć grzyby, które brać wypada.  
 I jakie w ogródku trzeba posiać ziółka,  
 By nam więcej miodu nazbierała pszczołka.  
 Wszak mówił ksiądz proboszcz: „Nauka to rosa,  
 Którą na lud Boży zsyłają niebiosy,  
 Nauka to słońce: gdy na nas spoziera,  
 Serduszko zagrzewa i główki otwiera.

Więc puście do szkoły, rodziciele mili,  
 Niech się wasze dzieweczę prośbami nie sili.  
 Nie bróńcie tej rosy i tego słoneczka,  
 Dla waszej Marysi, waszego kwiateczka.

*Z Trojanowskich*

*Walentyna Kłoroszkiewiczowa.*



## URYWEK z dziennika podróży do Krakowa

dnia 6. lutego 1890.

Łomimo zadymki, która gęstymi płatkami  
 śniegu częstowała nas i mglistą zasłonę  
 rozciągała nad miastem, prosto z Sukiennic  
 podążyliśmy na Wawel. Zimno dotkliwe wpe-  
 dzało ludzi do mieszkań; my jednak odważ-  
 nie wstępowałyśmy w progi katedry, a widok  
 świetnych pamiątek rozgrzewał nam serca —  
 dodawał otuchy. Wspaniale bo wyglądał ten  
 dumny Wawel, z swymi omszałymi murami,  
 przypruszony śniegiem niby siwizną starości  
 i na tle zimowego nieba rysował się niepe-

wny — wpołsenny — rozmarzony. Łatwo po-  
 jąc, z jakim uczuciem wchodziliśmy do tych  
 miejsc uświęconych przeszłością, gdzie każdy  
 kamień ma swoją historią, każdy grób mógłby  
 opowiadać minione dzieje, każdy filar — to  
 niemy świadek wielkich czynów i uroczysto-  
 ści. Wzrok mój zachwycony przebiegał z nie-  
 nasyconą ciekawością po olbrzymiej kate-  
 drze: tu, zwracał moją uwagę ołtarz, ze zwło-  
 kami św. Stanisława, tam kaplice monarchów  
 lub najstarszych rodów z grobowcami, ślicz-  
 nymi rzeźbami, zwłaszcza Wita Stwosza i Ca-  
 nowy — dalej pomniki królów, biskupów —  
 ołtarze marmurowe, a między nimi szcze-  
 gólniej mnie zajmujący ołtarz z rozpiętym  
 Jezusem na krzyżu, przed którym Jadwiga  
 brała ślub z Jagiełłą i dla dobra ojczyzny,  
 wyrzekła się drogich związków serca! Wszy-  
 stko tak piękne, wzniosłe, że możnaby w nie-  
 mym podziwiewie godziny całe tu spędzać.  
 I ktoby chciał jedną chwilę przemarzyć o  
 stanie ojczyzny, jedną chwilę tak przeżyć —  
 jak niegdyś żyli ojcowie nasi, niech tu ukłę-  
 knie u stóp ołtarza, skąd ona czerpała mę-  
 stwo i wiarę. Otoczą go roje wspomnień nie-  
 zapomnianych — myśl uleci w te czasy, gdy  
 ojczyzna stała na szczęblu wielkości, jaśniała  
 chwałą i potęgą.

Nie mogłam oprzeć się wzruszeniu, duszę  
 moje opłotły smutne myśli i wśród marzeń....

„Zdało mi się, że oto budzą mnie z uspienia  
 Jakieś głosy! Aż nagle — zastęp mężów zbrojnych  
 Zapełnił kościół cały i wraz pod sklepienia  
 Jeden hymn się wydobył z tych piersi dostojnych,  
 Hymn, co umarłych wkrzesił: „Boże coś Polskę!“

„Na dźwięk tej znanej pieśni, zadrżał Wawel cały  
 I omszałej katedry mury powtarzały:

„Boże coś Polskę!“

Lecz z oczu bohaterów, którzy na krew, boje,  
 Patrzyć mogli bez trwogi, bez skarg, ni wzruszenia,  
 Którzy znieśli niewoli, więzień ciężkie znoje,  
 Dziś — lzy spływały wolno. Głębokie westchnienia  
 Z uciśnionych serc biednych gwałtownie się rwały,  
 A na ustach im słowa modlitwy konały  
 Nie jak pieśń, ale raczej niby ciche łkanie:  
 „Ojczyznę — wolność — racz nam wrócić Panie!“  
 Hymn ich wznosił się coraz wyżej — pod niebiosy,  
 Potem słabiej, niepewniej, drżały męskie głosy  
 Aż umilkły... i tylko echa lekkie drganie  
 Powtarzało: „Ojczyznę, racz nam wrócić Panie!“

\* \* \*

Wtenczas — jak przebudzony ze snu — Zygmunt stary  
 Poruszył się... a serce spiżowego dzwonu,  
 Co umiało zagrzewać do czynu, do wiary.  
 Co nad krajem czuwało zawsze tak miłośnie  
 Posłało hymn nadziei aż do wrót Syonu!  
 I w dźwiękach pieśni wzniosłej — jeden ton radośnie  
 Drżał... jakby dla tej ziemi mogił i cierpienia  
 Miała wybić nareszcie... chwila wyzwolenia!

W. Kr. Poznańskie.

J. na.



## KWESTYA MĘSKA.

Łonieważ wydawnictwo to ma przyjść w pomoc nędzy i cierpieniu, słusznem jest, abyśmy tu parę słów poświęciły owym biednym i uciśnionym przez coraz to groźniejsze rozmiary przybierającą kwestyę kobiecą. Pomówmy o kwestyi męskiej, bo przecież to oni, owi uciśnieni, nasi współzawodnicy, przeciwnicy naszej emancypacyi, w najlepszem tego słowa znaczeniu, nasi ojcowie, bracia, mężowie. Grozi im nędza, cierpienie! Bo proszę! coraz to liczniejszy zastęp kobiet dąży zagranicę dla szukania nauki, której odmawiają im w kraju. Wprawdzie wiele z nich nie dościga celu, ale to są tylko wyjątki. Ileż to wkrótce przybędzie nam kobiet pracujących samodzielnie na szerszych polach nauki!

Coraz to częściej przy tytule doktora medycyny, przyrody, prawa, spotykamy nazwę „panny“.

Co się więc stanie z tymi, co się związali szlachetnem słowem honoru nie zawierania związków małżeńskich z „uczonymi“ pannami? Skazani będą na celibat, albo co gorsze, na złamanie słowa honoru!

Co się stanie z tymi wszystkimi, co zaślepieni uczuciem prawdziwej miłości, zaślubili „uczoną“ pannę? Jak oni cierpią, jak są nieszczęśliwi!

Widzą, że „uczona“ panna jest najlepszą żoną i matką, że nie marnuje czasu na pustoty, że pracuje z energią i wytrwałością, że zarabia dużo.

A więc jeżeli ma być postęp, to niech będzie zupełnym; pierwszym jego warunkiem jest podział pracy, dzielmy też na równo: ona ma pracę, a on odpoczynek. Zresztą, to słuszne.

Zważmy, jak długi szereg wieków mężowie pracowali na żony, teraz stosunek powinien się stać

odwrotnym, na jakiś czas przynajmniej, nim się szala sprawiedliwości niezrównowagi.

Cóż czeka ojców, braci którzy już się troszczyć nie mają o utrzymanie córek, sióstr i o wydawanie ich za mąż?

Egoizm, zguba! Będą zmuszeni myśleć tylko o sobie, to zagłuszy szlachetne strony ich charakteru. Będą mieli dużo wolnego czasu na używanie przyjemności, a że tu miarę utrzymać trudno, ujrzymy nieraz jak tragiczne następstwa pociągnie za sobą niewinna z po-



czątku rozrywka.

Na to już pozwolić nie można! One bo gotowe są zrobić was samolubami, niedołączkami, zapsuć wasz charakter, zabrać wam wasze stanowisko panów świata, wydrzeć wam władzę.

Wimie sprawiedliwości i litości dla wszystkich uciśnionych, lub mogących się stać nimi w bardzo dalekiej przyszłości, przypomnamy wam, nie dajcie się krzywdzić. Nie



przykładajcie sami rękę ku własnej zgubie. Nie ułatwajcie kobietom wstępu do nauki, nie budźcie w nich pragnień do wyższego kształcenia się. Kierujcie tak, aby wasze Manie, bardzo zdolne, stały się salonowymi lalkami, a wasi Jasiowie, choć tępi zupełnie, pięli się mozolnie po wyższych szczeblach nauki. Jeszcze czas ratunku!

Genewa.

Jedna z wielu.



Z NADDNIESTRZAŃSKICH MOTYWÓW LUDOWYCH.

Pochyłości wóz się toczy,  
Stanie nad ruczajem —  
Szukały się czarne oczy  
I kochały wzajem.

Oj, szukały — oj, kochały —  
Póki nikt nie wiedział:  
Ludzkie mowy wto się wdały —  
Boli serce przedział.

Jak sokoły z sinej dali  
Lecieli do siebie —  
Rozdzielili się, rozstali,  
Jak chmury na niebie....

Lwów.

Iza.

## FANTAZJA I ROZUM.

Ona. Mam gorączkę: wszystkie pulsa uderzają we mnie przyspieszonym tętnem, serce skacze w piersi, jakby ją rozsądzić chciało, fala krwi napływa do głowy; ciasno mi, duszno w tym świecie konwenansów i form, gdzie przewidziano wszystko, gdzie życie ułożone naprzód, bezemnie! Mnie trzeba słońca, przestrzeni bezmiernej, okiem niezgonionej — więc lotem Farysa przerzynam powietrze, dalej, naprzód! póki tchu stanie, póki ostatek życia nie zamrze w śmiertelnym uścisku!

On. Gorączka jest chorobą, fermentem, który najdzielniejsze życia czynniki ubezwładnia; bieg szalony nie prowadzi do celu, nie raz Farys ducha wyzionął, nim życie wyrzeźbił. Ten tylko coś zdziałać może, kto zapamiętać nad podnieceniem umie; polem działania nie świat fantazyi, ale świat rzeczywisty; choć w nim ciasno, dzielny szermierz umie się poruszać, rozkazywać, budować na nowo, co niedogodne. Słońce w majestacie swoim i promieni blasku przyświeca czynom, świat na wcielenie marzeń niecierpliwie czeka.

Ona. Czara życia pełna, a jam spragniona, więc wychylę ją duszkiem do dna, choć na dnie męty, przynajmniej smaku ambrozyi spróbuję, w wspomnieniu jej słodycz przechowam. Schodźcie ku mnie, spływajcie w blasku błyskawicy, huku pioruna, geniusze demoniczne, Tytany burzy, ognia i płomieni. Witaj Byronie! witaj Juliuszu! mistrze nieśmiertelni, ja z wami; mniejsza, że mnie gorczyz upoi, że cierpienie złamię, i w tem dzika rozkosz się mieści; wystudyuję je w każdym zmruczeniu żrenicy. I cierpienie jest siłą, potęgą, ja je poślubiam i niem zbrojna, świat do walki wyzywam.

On. Kto czarę życia do dna wychyli, żyć później nie umie i chodzi martwy, jak po własnym pogrzebie, a męty na dnie smak ambrozyi mu przysłonią. Czoło pochylamy przed geniuszem albiońskiego i polskiego wieszczą, ale rozdarte ich życie i pieśń rozdarta za wzór harmonii służyć nie mogą. O poznanie cierpienia troszczyć się niema potrzeby, los sam się tej nauki podejmuje, ale biada, kto je czyni życia motorem — jest ono tylko jego zaprzeczeniem, odbierającym mu dzielność i twórczość. Mężny znosi cierpienie, ale go nie ubóstwia.

Ona. Nie mam zmysłu do poznania i ocenięcia wielu rzeczy, choć są uznane za piękne; rozumiem tylko to, co wrażenie ze mnie robi, co tajemne struny w duszy potrąca. Dla mnie Dante i Szekspir są skamieniałą zagadką; marmurowe oczy posągu nie mają wyrazu, ich płomień nie przekrada się do serca, nie wzrusza go. Pocóż mam zatrzymywać się przy posągach niezrozumiałych lub niemych, kiedy fale piękna biją ku mnie z stron innych, kiedy gorąca pierś moja objąć ich nawet nie zdoła.

On. Kto różnic nie uwzględnia, życie swe bogactw kontrastu pozbawia. Dla umysłu rozwiniętego nic nie powinno zostać pominiętem ani obojętnem, inaczej widać że w rozwoju jego władz nie było harmonii, że ton jakiś zaniedbanym został. Przed każdym pomnikiem stanąć należy, bo w każdy mistrz część swego włożył życia, każdy część boskiej prawdy i piękna w sobie uwydatnił; kto je odkryje, zagadkę rozwiąże, kamienne posągi przemówią do niego, wzbogacając o jedną nutę serca jego gamę. Te różnice raz uznane dadzą mu szersze piękności pojęcie; wszystko, co uszlachetniony duch ludzki wytworzył, stanie się jego własnością.

Ona. Przyszłość pozagrobowa, nierozsłonięta, ciekawością dręcząca rzuca mi długi cień na życie. Śmierć i życie — to wielkie





zagadki, które mi ziemię przysłaniają; Bóg i nieśmiertelność — to wielkie myśli, które mi mózg chcą rozsadzić; rozklęczałam się przed nimi — ale nie umiem rozwiązać ich w namiętym zapale. I chodzę jak senna, żyję na ziemi jak obca, bo te dwa najwyższe słońca ludzkości nie rozpały się jeszcze jasno na mojem niebie, nie rozświeciły ciemności, nie usunęły walk i niepokoju.

On. Namiętność i niepokój złym jest w badaniu przewodnikiem. Zaszczytne są wysokie cele, ale nim człowiek pojmie choć w części to, co myślą nieścignione, nim rozwiąże sfinksowe zagadki, wprzód sam siebie zrozumieć, ująć się w sobie musi, a zapanowawszy nad sobą, tem dzielnem ujęciem zażegna burzę swej piersi. Wtedy dopiero skutecznie pracować zacznie, snuć z siebie wątek nieśmiertelności; Bóg wnuknie w serca jego głębie, obejmie je wielką miłością, przeświecili jego ducha, i coraz jaśniejszym, coraz bliższym mu będzie.

Ona. Trawi mię i pali ta odwieczna bez przyszłości walka Ormuzda z Arymanem; cnota, dobro, piękno ciągle w oblężeniu, fosy zapelnione aż po wierzch sam szlachetnymi, których ścieśnione szeregi coraz więcej rzędnieją, a po ich głowach depcze zwycięzca. Złość i głupstwo, nieprzebierające w środkach, silniejszym od początku świata było, jest i będzie; ludzie sławią postęp w cnocie, a mnie w uszach brzmieć nie przestaje tryumf mocniejszego. Zbrzydła mi też bezowocna walka, zbladło słońce, bezprawiom przyswiecające; po co mi to życie, o które nie prosiłam — bezsilna, strasznie znużona, wolałabym się już położyć do snu nieprzebranego!

On. Kto ludzkość chce sądzić, całość jej ogarnąć powinien, w szerszem pojęciu prawdę przystępniejszą i bliższą się staje. Zaprzeczanie postępu w dobrem niepodobna, tylko jest on stopniowy, normą jego nie skoki ale posuwanie się naprzód miarowe. Na tryumf cnoty i prawdy ustawicznie pracować trzeba, aby się stał ogólnym; to też żadnemu bojownikowi cofać się z szeregów nie wolno, bo każdy ma pracę wyznaczoną przy powszechnym warsztacie bożym. Nad Ormuzdem i Arymanem jaśnieje zapowiedziany światły Mitra, który ciemności zwycięży — już powietrze drży jakiś tajemniczymi dźwiękami, co jego przyjście i zwycięstwo zwiastują.

Włocławek

Isabella.



## URYWEK.

**N**a wzgórzu, zagłębiwszy wzrok czysty i spokojny w szeroką dal widnokregu, oczekuje chwili rozkosznej, kiedy umiłowany całą jej duszy potęgą przyjdzie wyszeptać sercu jej jedno tylko słowo....

Aleą wysypaną kwarcowym dywanem piasku, a osłonią przed okiem ludzkim ciemnią świerkowej gęstwiny, idą po chwili milcząco i nieśmiało jakoś... Nic w przyrodzeniu nie odważa się naruszyć ich spokoju — nawet strumyk, co obok błyszczał, jak wstęga dyamentowa wspaniale łamiąca promień jasnego słońca, płynął spokojniej niby u stóp szmaragdowej, pionowo w niebios błękitu wybiegającej góry. Ileż to snów urzeczywistniało się dla dwojga młodych w tej chwili szczęścia, ile zamiarów i dążeń wzniesłych przeplatało czarodziejską wstęgą ciche a pełne uroku poczucie osobistego szczęścia...

Stanęli nad migocącym tęczożo zwierciadłem strumyka — spotkały się ich oczy pełnem zaufania spojrzeniem i głosem rzewnym, wzruszeniem i szczęściem przytłumionym, a cichym, jak powiewny szmer gałęzi nad ich głowami rozpiętych, wyznali sobie krótko, słowami to — co przed chwilą już milczeniem wyznały ich serca....

Od chwili tej lat kilka już minęło, jak godzin kilka.... Dziś idą razem przez życie drogą, usłaną nie tak równym kobiercem, jak ów kobierzec piaskowy w świerkowej alei, lecz nie tracą wiary i pracują z siłą całych nad rozszerzeniem, wyrównaniem i oczyszczeniem pracą swoją cząsteczki bodaj maluczkiej szlaku, po którym ludzkość biegnie ku przyszłości.... W pracy tej znoszą mężnie wszelkie cierpienia tak ducha, jak ciała, bo wierzą, że kiedyś na tej drodze, którą z tylu ofiarami dziś torujemy, zabłyśnie dla ludzkości całej chwila szczęścia tak cichego a pełnego, jak ta, która on i ona przeżyli w srebrzącym się piaskiem usłanej alei, tam w cieniu uroczystym świerkowej gęstwiny....

Bukareszt.

Margaryta Żehu (Żehu).







# TYSIĄC DUKATÓW.

Z DAWNYCH WSPOMIENI

PRZEZ

MARYĄ JARMUND.

Gęsty, ponury las szumiał żałośnie. Czarna noc zalegała dokoła, niepozwalając rozróżnić najbliższych i najwybitniejszych przedmiotów. Im bardziej zwiększała się gęstwina, tem ciemności stawały się straszniejsze. Głucha cisza rozpościerała się szeroko, chwilami tylko przerywana bolesnym jękiem, jaki wydawały gałęzie wiekowych drzew, wstrząsane silniejszym powiewem wichru. Tajemnicza groza, jaką pobożny czuje się przejęty w świątyni, przenikała tu umysł mimowolnie.

W najodleglejszym zakątku tej głębokiej puszczy ocieniona olbrzymimi, po kilka set lat liczącymi lipami, stała waląca się chatka. Ściany jej niegdyś proste, tak się pokrzywiły i pochyliły ku ziemi, że z jednej strony dach się niemal na niej położył. W innych miejscach, brakowało go zupełnie i strzępki słomy zczerniałej zaglądały ciekawie do wnętrza. Drzwi wywalone i połamane, podparte jakimś spruchniałym kołkiem, stanowiły jedyne wejście, które prowadziło do środka domostwa. Przez szpary okalające ją zewsząd, migotało chwilami światło, tak słabe i przelotne, jak blask świętojańskiego robaczka i znów nikło bez śladu, pograżając wszystko w większych jeszcze ciemnościach. Przelotny ten błysk, pozwalał jednak dojrzeć leżące w największym nieładzie w około walące się chaty, stare poprzewracane ule. Była to widocznie dawno opuszczona pasieka.

Chatka wydawała się również opuszczoną i zapomnianą. A przecież nie zupełnie tak było. Pod ścianą jedynej izby, jaka tu pozostała, naprzeciw dotleającego w rozsypującym się kominie ogniska, spoczywał młody człowiek na posłaniu z mchu i suchych liści. Twarz jego oświetlona jasno migoczącymi płomykami ognia, nosiła piętno rzadko spotykanej wyższości. Jasne, szerokie czoło opromieniała jakaś aureola bohaterstwa i poświęcenia. W oczach ciemnych głębokich jak otchłań, płonął zapał wraz z siłą woli niezłomną. Orli wzrok jego posiadał tę nieprzepartą siłę magnetyczną, która tłumy porywa i panowanie nad

nimi zapewnia. Patrząc na jego postać, łatwo było odgadnąć, że ten człowiek jakby wykuty z żelaza czy spiżu, nie ugnie się nigdy ani na chwilę, nie da ustraszyć żadnym niebezpieczeństwem i mimo najcięższej męki iść będzie prosto do wytkniętego celu, niezbaczając z drogi, choćby go ona miała zawieść nawet na stos ofiarny.

W tej chwili jednak na jego twarzy ciemnej i ogorzalej, znać było głębokie zniechęcenie, a w oczach utkwionych w rozżarzone węgle, obok przelotnych błysków zapału ból dojmujący zdradzał jakieś ukryte na dnie duszy cierpienie. Tak musiał wyglądać Prometeusz przykuty do skały, w chwilach, gdy mu sęp serce szponami rozdzierał.

Czemże był ten człowiek? Bohater to czy męczennik? a może... może jedno i drugie...

Gwałtowna burza zionąca zniszczeniem, wstrząsnęła w posadach ziemię, odrywając od pnia rodzinnego najpiękniejsze liście, które uragan rozproszył na wszystkie strony świata. Jeden z tych bujnych liści został zapewne zagnany aż w to odludne ustronie.

Cisza panowała głęboka, żadnym szmerem nieprzerwana. Maciło ją tylko czasami głośniejsze prysnięcie węgla, w dopalającym się ognisku. Głowa nieznajomego wsparta na rękę, pochyliła się nisko, jakby znużenie i zniechęcenie brały coraz bardziej górę nad wrodzoną mu siłą i odwagą.

Nagle zadrżał i podniósł twarz zbladłą, z której krew cała musiała spłynąć do serca. Odgłos ciężkich kroków ludzkich, zbliżających się powoli po twardej ziemi leśnej w tę stronę, słychać było wyraźnie. Po chwili drzwi potrącone z łoskotem upadły na ziemię i dwóch ludzi, w siermięgach stanęło na progu.

Jeden z nich stary, pochylony wiekiem, wydawał się lęklwym i nieśmiałym. Drugi wysoki, młody, trzymający się prosto, o twarzy bezmyślnej i bez wyrazu, zdradzał zaufanie w swą siłę i jakieś zuchwałstwo posunięte do bezczelności.

Młody człowiek na widok nowo przybyłych podniósł się żywo z posłania. Niebezpieczeństwo było widać groźne, usiłował więc odwagą i zimną krwią je zażegnać.

— Czego chcecie i co tu robicie? — zawołał, groźnie spoglądając na nich.



Wieśniacy stali nieruchomo, skrobiąc się w głowę i nic nie odpowiadając.

— Przyszlście kraść drzewo, czy też tytoń przemycać? — pytał dalej surowo.

— Et! co was to panie obchodzi, kiedy nie jesteście rewizorem — odparł wreszcie młodszy z wieśniaków zuchwale, ochłonawszy już zupełnie z pierwotnego zakłopotania.

— Któż ci to powiedział?

— O, ja znam tu wszystkich rewizorów — odrzekł wieśniak stanowczo — i wiem także kto wy jesteście, mój panie... Zresztą pójdziecie z nami, to się najlepiej pokaże. Dawno już za wami śledzimy... To on tatusiu, z pewnością — dałał zwracając się do starszego — przypatrzcie się dobrze, wszystko jak opisano... Wysoki... smukły... włosy jak u kruka czarne... tysiąc dukatów już nasze... słyszycie, tysiąc dukatów!...

— A jeśli się mylimy? zapytał stary lęklwym głosem, który przerywał suchy kaszel.

— Wielga rzecz, to go wypuszczają!.. No panie, zabierajcie się już... Widzicie dobrze, że was poznano... przyznajcie się... prawda, że to was szukają?

Na szlachetnym i pięknym obliczu nieznajomego, odbiła się wyraźnie ciężka jakaś walka. Zdawało się, że w chwili najstraszniejszego nawet niebezpieczeństwa, człowiek ten gardzi fałszem i obłudą.

Cofnął się o kilka kroków, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Wyniosła jego postać oświecało teraz jaskrawo rozniecone przez przeciąg wiatru ognisko, nadając jej jakieś fantastyczne, nadziemskie kształty. Stał chwilę w milczeniu z wzrokiem utkwionym w twarz młodego wieśniaka, który pod magnetycznym wpływem tego spojrzenia zaczął się niepokoić, mięszać i tracić dotychczasowe swoje zaufanie.

— Tak, to ja jestem — wymówił wreszcie głosem powolnym i dobitnym.

Radość wieśniaków z tego odkrycia nie miała granic. Młodszy z nich miał już nieledwie zamiar dziękować temu dobremu panu, że im takie szczęście zgotował.

— No, jak to dobrze, żeście w tę stronę przyszl — wymówił z radością — to widać już sam pan Jezus dla mnie te pieniądze przeznaczał...

— Pan Jezus — powtórzył młody nieznajomy z uśmiechem pełnym pobłażliwości i litości, choć można w nim było i odcień goryczy dopatrzeć — powiedz chyba mój przyjacielu, szatan pokusy, który cię pcha na drogę zguby i wiecznej zatraty. Czy myślisz, że Judaszowe srebrniki szczęście przynoszą?

— Jakto? możebyście chcieli panie, żebym się wyrzekł tych pieniędzy i komu innemu je ustąpił? — zawołał wieśniak z gniewnym uniesieniem — dla was to przecież wszystko jedno, kto za odstąpienie was dostanie nagrodę, a lepiej żeby się dostały takiemu jak ja biedakowi, niż innemu, który ma swoich dosyć... Ja jestem najbiedniejszym w całej wsi — dodał uspokajając się i zaczynając tłómaczyć — nie mam prawie ziemi, jedyna krowa padła na zarazę, żona od roku leży chora i pięciorga drobnych dzieci nie ma czem wyżywić... A tysiąc dukatów to okropne pieniądze, ile to pola można mieć za to, ile bydła trzymać, jaką chałupę wystawić.. Największy bogacz u nas, Jędrzej Baryła, nie ma tyle wszystkiego.

— Czy myślisz, że krew niewinnie przelana nie ściagnie klątwy na głowę tego, co ją prze-

łał? — zapytał znów nieznajomy głosem spokojnym, nie ruszając się z miejsca.

Chłop rzucił z pod oka ukośne, zaniepokojone na mówiącego spojrzenie.

— Czy nie wiesz, że wyrzut sumienia pada na duszę ludzką jak rdza, która ją kruszy i przepala tak długo, dopóki jej nie pochłonie zupełnie. Czy myślisz, że każdy kawałek chleba, który byś kładł potem do ust, nie wydawałby ci się krwią oblaną i przesiąkniętą?...

Z porywającą wymową począł rozwijać przed swymi słuchaczami malownicze obrazy tych wszystkich katuszy, jakie sprawia człowiekowi zgryzota sumienia, tych nieszczęść, jakie ściagnąć może na jego głowę zbrodniczy uczynek, a wreszcie otchłani piekielnej, jaką dla swojej duszy na tamtym świecie gotuje.

Ciemny i nierozwinięty umysł biednego wieśniaka nie był w stanie objąć tego wszystkiego dokładnie, a jednak włosy z przerażenia stawały mu na głowie i gwałtowny dreszcz wstrząsał jego ciałem.

Orli wzrok pięknego nieznajomego tymczasem sięgał głęboko do duszy prostaczka, coraz wszechwładniej obejmując ją w swoje posiadanie. Potęgą tego wzroku nieszczęśliwy wieśniak czuł się przykutym do miejsca, ku ziemi coraz niżej pochylając głowę a strumienie zimnego potu oblewały mu czoło. Coś podobnego miewać miejsce musiało w arenach rzymskich z dzikimi zwierzętami, które skazani na śmierć męczennicy, jednym spojrzeniem u nóg swoich kładli.

— Więc wy nie jesteście winni powiadacie? — wyjąknął wreszcie z zadziwieniem wieśniak — zatem czegoż was szukają? Cóżście złego zrobili, panie!

— Kochałem tę ziemię! — zawołał młody człowiek z zapałem — i was wszystkich biednych, ciemnych, opuszczonych... ale tybys tego dziś jeszcze nie potrafił zrozumieć..

Zapanowało na chwilę kłopotliwe milczenie.

— A no, kiedy tak, to ostańcie z Bogiem — wymówił wreszcie wieśniak, kłaniając się z ciężkim westchnieniem, jakby pomimo zwycięstwa lepszych popędów, które się zaczynały budzić w jego duszy, nielawo mu było rozstać się z myślą o wymarzonej skarbie.

— Zaczekaj mój przyjacielu — wymówił nieznajomy z uśmiechem — kiedy zwyciężyłeś pokusę tego szatana, który cię chciał na drogę zatraty wprowadzić, a jesteś biedny, to nie mogę cię puścić bez pomocy... Nie będzie to wprawdzie tyle, ile się mieć spodziewałeś, zawsze jednak jakaś pomoc ci przyniesie. Podzielimy się tem, co mam po bratersku.

Wyjął woreczek ukryty na piersiach i wysypał z niego pieniądze.

— Cztery setki... Dwie dla mnie zostanie, a te dwie dla ciebie — powiedział, obliczając pieniądze i wręczając je włóścianinowi.

— Nie, panie, nie, one i wam może będą potrzebne — odparł broniąc się wieśniak, który jak to najczęściej bywa, wszedłszy raz na dobrą drogę, chciał się na niej bohatercko utrzymać.

— Bierz i nie pytaj się o to, ja jeszcze dam sobie radę. Tamte krwawe pieniądze byłyby ci paliły ręce i duszę przez całą wieczność, nie dając użyć ani jednej chwili spokoju i sprowadzając tysiące nieszczęść na twoją głowę. Te zaś przy-



niosą ci szczęście i zapewnią dobrobyt. Kiedyś jak wrócę jeszcze w te strony, to cię zastanę z pewnością szczęśliwym i bogatym.

Piękną twarz nieznajomego rozjaśnił wesoły uśmiech. Ponury wyraz zniechęcenia i zwątpienia ustąpił z niej zupełnie, pozostawiając miejsce ci chej radości i tajemnej jakiejś nadziei.

— Idź bracie mój — wymówił cichym głosem, kładąc na ramieniu wieśniaka białą swą rękę, którą tenże z głębokim uszanowaniem do ust przycisnął — idź spokojnie... a może też kiedyś jeszcze i do twojej biednej, ciemnej duszy jasny promień światła przeniknie...

— Kto wie — szepnął jeszcze do siebie ze wzruszeniem, oddalając się szybko i niknąc wśród cieniu ponurej puszczy leśnej — kto wie... może nie zupełnie napróżno życie swe niosłem w ofierze...

Wołczyznowice (Galicya).

## Grunt dobry.

PRZEKŁAD

Z JULIUSZA BARBIERA.

W lud wierz zawsze poeto, bo lud to ta niwa  
Żywna, bogata, dobra, co nie odpoczywa  
Nigdy wczasem ugoru, lecz wiecznie płodząca,  
Ma piersi soków pełne, a o wschodzie słońca  
Złotą parą się dymi przez bruzdy. To ona,  
Która najwyższe dźwiga — bo z jej łona  
Rosną dęby, wspaniale stojące pod niebem  
Rozdzierana lemieszem, odplaca się chlebem  
Zdrowych kłosów, lecz tylko za uścisk serdeczny  
Daje moc nieśmiertelną. Grunt to jest odwieczny  
Wszystkich wielkich pomników i pod wszelkie

[stopy

Wysokie to podpora mocna, a dla stopy  
Bożej, to podwalina ludzkości i biada,  
Biada temu, co na nią ciężarem opada!

Warszawa.

Maryja Ilnicka.



## Cóż to komu jest do tego?

Ach! już gniewy, burza nowa,  
Aż mię z tego boli głowa,  
Ot niechęć wypaplałam —  
Że.. że.. no, że coś widziałam,  
Coś czy kogoś, dość ładnego,  
Cóż to komu jest do tego?

Oczka spuszczać każe mama,  
Co mam począć nie wiem sama,  
Śpiąc to jeszcze, lecz na jawie  
Ja się chyba nie poprawię.  
Że popatrzę się na niego —  
Cóż to komu jest do tego?

Kiedy łezka niepocziwa  
Z pod powieki się wyrывa,  
On tak dobre ma serduszko —  
Zaraz coś mi szepnie w uszko,  
A że to jest coś miłego  
Cóż ma komu być do tego?

Czasem, czasem tak się zdarzy  
Że mi nieźle w czemś do twarzy,  
Wtedy patrząc, tak jest miły,  
Ciśnię rączkę z całej siły...  
Gdy nie gniewam się na niego,  
Cóż to komu jest do tego?

Albo nieraz tak w kąciuku —  
Ktoś tam słucha? — nie chcę krzyku,  
Nie chcę burzy: może mama?  
Próżny strach! toż ja tu sama...  
Usta moje... no to... jego...  
Eh! cóż to komu jest do tego?

On młodziutki, ja nie stara,  
Czyż to źle dobrana para?  
Wierzcie, jak mi Bozia miła,  
Będę dalej tak czyniła!  
A że nie chcę znać innego  
Cóż to komu jest do tego?

Lwów.

Kicia.



## JURYWKI Z WSPOMNIENIŃ O RZYMIE.

(Grób Cecylii Metelli, gdzie sławne echo).

Głużeśmy w górze — światła nam gasną...  
Znowu szafiry — zielenie —  
Znów świeci słońko nad nami jasno  
W domy, w nas, w pola — w przestrzenie...

Z cudów na cuda przechodzą oczy:  
Toż czy nam wąpić się godzi?  
Choć mówią ludzie, że wśród przezroczy  
Polakom „słońce zachodzi“! —

Nie! w górę serca! — Ot jakieś głosy...  
Nie dźwiękiż to naszej pieśni  
Z pół się wzbijają obcych w niebiosy?  
Tu o zwątpieniu nikt nie śni!

Śpiewamy:... „Wolność, Ojczyznę, Panię,  
Wróc nam! a echo zdaleka  
Wtórzy: „Wróc wolność, daj zmartwychwstanie!“  
Więc łzą nabrzmiewa powieka...

Więc serce rośnie w garstce tułaczy,  
Marsz Dąbrowskiego gdy nuci —  
I kiedy echo, wtórzając, tłumaczy:  
„Nie, nie zginęła“, — powróci!...

Umilkło echo, znikły widzenia,  
Lecz kiedy serce się wzruszy,  
Płyną wspomnienia, płyną marzenia —  
I pełno nadziei w duszy.

Kraków.

Maryja Kondracka.





## DWIE ISKRY BOŻE.

**S**prawiedliwość boża zamknęła bramę raję za grzesznym człowiekiem i życie jego oplotły nędze, choroby, ciemnota i kłęski różnego rodzaju, a jęki bolesne wielkim chórem płynęły z ziemi ku niebu. I usłyszał je Bóg, i ulitował się nad stworzeniem, „które był umiłował“ i wnet z serca jego strzeliły dwie promieniste iskry z tlejącą w nich litością i miłością bożą, i spadły na ziemię na osłode i ulgę bólów cierpiącej ludzkości, na szerzenie światła i ciepła, jakie ze swego źródła wyniosły.

Obie były promienne: lecz promienie jednej tryskały żywym światłem i tęczowymi barwami się lśniły; drugiej — były mgłą srebrzystą owiane, niby oko ludzkie zamglone lży kropelką; jedna — zdawała się śmiać do ludzi i wabić szczęścia powabem; druga — jakgdyby smutkiem się lubowała, bo tylko w łzach bólu odbita, potęgowała i rozsiewała swe światło.

Jedna — tyle pięknych obietnic dawała każdem drgnięciem promienia swojego; takie ciepło rozchodziło się od niej; takie światło z niej biło, że każde serce mocniej uderzało, gdy promień jej padł na nie, i każda dusza odczuwała w niej dar miłości Bożej, na osłode i rozweselenia życia jej danej.

Szczęśliwi, którym owa miłość udzielić się raczyła, nie patrzyli wcale na drugą niebieską jej siostrzycę; zajęci drogim gościem i szczęściem z nim przybyłym, zamykali drzwi przed ową rzewną i łzawą i odpychali od siebie myśl, aby ta blada i smętna miała im ową śmiejącą się zastąpić: a ona też z wejściem do nich bynajmniej się nie śpieszyła.

Bóg zesłał ją przez litość nad stworzeniem, „które był umiłował“, a stworzeniem jego były i muszki, i ptaszki, i kwiatki, i drzewa: więc nim do ludzi zbliżyć się miała sposobność, już rozciągnęła opiekę nad wszystkim, co cierpiało, a żalić się nawet nie mogło...

Patrzyli nieszczęśliwi na sprawy tlejącej w iskrze litości i czekali tęsknie, aż iskra rozpali się płomieniem, przy którymby i oni rozgrzać się i lży osuszyć mogli: a światło iskierki rosło i olbrzymiało, aż gdy płomień zeń buchnął, przy tych dwóch siostrach-iskierkach dwa obozy: szczęśliwych i nieszczęśliwych — stanęły.

Miłość szła z zamkniętymi oczyma do tych, co jej pragnęli: kto stał na jej drodze,

tęgo chwytala w ramiona; niosła mu skarby szczęścia, słodziła cierpienie, ozlacała biedy, opromieniała najcięzsze jego prace, wynagradzała wszystkie przykrości zkadinał ku niemu idące; niosła zapomnienie wszystkiego, co tkwiło cierniem w pamięci. Zająwszy serce młodzieńca lub dziewczęcia, zasłaniała przed niem postaci matki i ojca, i rodzinnę chaty, sama zastępowała im wszystkich; w sercu matki — czyniła z niej Anioła Stróża swych dzieci; dawała nadludzką siłę do pracy, gotowość do trudów i ofiar wszelkiego rodzaju; córki, synów uosobieniem poświęcenia czyniła; a gdy nie ku jednostkom promienie swoje zwracała, wtedy była tak wielką i świętą, że kazała się czcić i życie całe jęj celowi poświęcać...

Więc gdzie miłość weszła, tam nie żądano litości, i litość stała zdaleka, i czekała na chwilę wejścia sposobną: czekała nie próżno, bo miłość boża, zstąpiwszy na ziemię, ludzką naturę przyjęła...

Miłość w sercu matki zgromadzała wszystkie skarby dla własnych dzieci jedynie, a wtedy — litość cichutko się skradała i brała z jęj rąk częśćkę dostatków dla biednych małych sierotek; miłość — wszystkie swe promienie na jednej wybranej głowie skupiała; więc litość kładła swoje na pozostałych w pomroce; — miłość wymagała odpłaty w wzajemnem się jęj oddaniu — litość — nic nie żądała dla siebie, usuwała się z rozkoszą, gdy promień szczęścia gdzie wchodził. — Miłość odwracała się nieraz ze wstrętem i uciekała od wybrańca swego, gdy go ujrzała upadłym i splamionym brudem; a wtedy — litość przystępowała i im głębiej w kale kto leżał, tem niżej schylała się ku niemu; im więcej był skalany, tem więcej na jego obmycie przynosiła rosy anielskiej, przez oko ludzkie płynącej, i obmywała go, podnosiła, dźwigała, prowadziła, aż oczyszczony, o własnej sile stanął i śpiął się odważnie ku górze.

Miłość zamykała się w ciasnem kole swych wybranych, a litości koło było wielkie, jak wielkim jest świat; bo przyszła dla całej cierpiącej ludzkości i biegła wszędzie, gdzie była lża i ból. Miłość — często traciła siłę w zetknięciu z długą chorobą, kalectwem i ubóstwem, a litość — w obec cierpienia rosła, olbrzymiała i do nadludzkiej potęgi dochodziła wtedy; cicha, pokorna, kryła się pod grubą szarą suknią lub czarną ubogą sutanną; wchodziła na pokoje szczęśliwców i bogaczów, nie odstraszała się odmową, pogardą, a nawet i policzkiem.... i prawie cu-





Zosia bawi się w ogródku wśród domowego plastwa i dziatwy wiejskiej, a w ręce  
„Coś u niej rogatego, złocistego świeci,  
Zdaje się że naczynie do karmienia dzieci:  
Bo je zbliżała dzieciom do ust po kolei...”

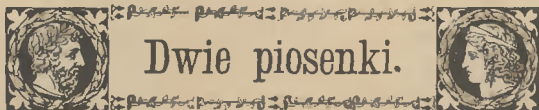
Z Pana Tadeusza.



downych rzeczy dokonywała na świecie. Wielka w uniżeniu, można w swoim ubóstwie, wyrwała złoto z serca i skarby bogatych; karmiła głodnych, odziewała nędzarzy, budowała szpitale, zakładała przytulki dla sierot i tych nieszczęśliwych, których się w powiciu i matki miłość zaparła... wdzierała się do więzień z słowem prawdy, oświecającem zblakanych, szukała nieszczęśliwych tam, gdzie ich nawet promyczek z własnego nieba nie znalazł, i z małej iskierki wyszedłszy, ziemię całą wielkim i jasnym płomieniem objęła.

I osuszyły się przy niej łzy dotkliwój niedoli; ciemnota się rozpraszala, serca się rozgrzewały nieziemskim jakimś uczuciem, a anioły, śledzące życie dwóch bożych iskieerek na ziemi, mówiły Bogu, że miłość skazona przyjęciem ludzkiej natury, samolubstwem się stała, a litość pięknymi zaświadczone czynami, przerodziła się w miłość i miłosierdzia pięknem się stała odbiciem. Stąd miłość na zawsze rozkoszą i szczęściem ziemi zostanie, a miłosierdzie, spełniwszy swe na niej zadanie, powróci tam, skąd iskra jego życie swoje wzięła, i błagać będzie o przebaczenie dla błędów swój siostrzycy, co boskie cechy w zetknięciu z światem straciła.

*Józefa Kamocka.*



### Dwie piosenki.

#### I.

Oj czemu ta Wisła, ta biała,  
Do morza wciąż płynie, a płynie?  
Oj czemu to serce, to smutne,  
Od żalu się krwawi i ginie.

Oj płynie ta Wisła, ta biała,  
Bo łzami wzbierają jej wody,  
Oj krwawi się serce, to smutne,  
Bo nie zna wolności, swobody!

#### II.

W pole, w pole po padole  
Buja sokół siwy...  
Kiedyż tobie wejdzie zorza,  
Kraju nieszczęśliwy?

Zapłonęła, zagorzała  
Jutrzenka na niebie,  
Wschodzi słonko, wschodzi złote,  
Ale nie dla ciebie!

Wschodzi słonko, wschodzi złote,  
Kalinowa zorza,  
A nad tobą nocka czarna  
Od morza do morza!

*Maryja Konopnicka.*

## Łakniemy!

(MODLITWA.)

Głodniśmy Panie, głodni Twej łaski  
I Twej pomocy nam trzeba,  
Kiedy nam szczęścia zagasły blaski.  
Zda się, że zblądźim w drodze do nieba

Łakniem o Panie, nie tylko chleba,  
Co wzmacnia siły na życie.  
Ale nam światła Twego potrzeba  
Gdy tyle wrogów czatuje skrycie.

Pragniemy o Panie, lecz nie napoju,  
Co zwilża spragnione usta.  
Sprawiedliwości szukamy zdroju,  
Bo droga życia tak sucha, pusta.

Łakniemy i pragniemy a Ty, o Boże,  
Ześlij nam zaspokojenie  
Twa łaska tylko pomoc nam może;  
Ty dajesz wolność, zbawienie!

Z pod Zbaraża.

*Izabela z Lipińskich*

*Конопачка.*



## ДУМКИ.

#### 1.

Цить серце мое, цить, о цить  
Тихенько, спокійно ще сні —  
Сні в грудяхъ солодко, о цить,  
Аж збудить тя голос любви.

Жизнь ніжну пряху чувств і мрій  
Нещадно розібе, зірве —  
Стемя, змаліє світ твій  
І в горю, тузі вік мине..

То-ж цить, ще хоч хвильку мовчи,  
Заким тя любов не збудить, —  
Грудей битом екорим не рви; —  
Цить серце, сні тихо, о цить!

#### 2.

Гір склони уснули в м'яккім мрак обвою,  
Птах скальній вертає спочать до кубла —  
Притихли й долини облиті росюю,  
Лиш невтишима, мисле, жажда твоя..

І легот, кинувши вялий листь, конає,  
В замовклій діброві дрімують куці —  
І з цвітів послідний головку склоняє,  
Прійде-ж хвиля спокою, мисле, й тобі?

І хмарка зніжаєсь на сон хутко мчить,  
Розкішний спокій не природа ціла —  
Лиш дума невинна в даль і в даль б'єжить  
О, мисле, чи-ж вічнов вандрівка твоя?



На хмарах, горів по над бурі тяжкі,  
Веселка чарівні барви розвиває —  
По скоро лиш сечзнуть проміння яркі  
Вона враз в крайшину незнапу сечзає...

Сонейко відкрива лязурную тош,  
Веде лук світляний крізь хмари мрачнети  
Так в серцю розтліва' чутя міць огонь  
Краски весельчані, блески золотнети.

Любов в ум холодний блеск и чар весь лле,  
Без неї, дух людскій нестійний: без тла, —  
Без неї, мов звоску етатъ, ломпть ся, гне  
I проступків легко пріймає клеіма!

*Зляна Ж.*

## DWAJ SMUTNI.

PIEŚŃ.

**P**od jaworem, pod zielonym,  
Stoi kozak z koniem wronym,  
Zasluchani w liści szumie,  
Obaj w smutku i zadumie.

Kozak mówi: „Bystronogi,  
„Stary druhu, koniu drogi,  
„Miło spocząć w chłodnym cieniu  
„Pod jaworem, przy strumieniu —  
„Jakiż smutek pierś ma gniece?  
„Czyż nam — druhu — źle na świecie?”

„Ja się, rzecze koń, nie żalę —  
„Dobry los mi wypadł w dziale,  
„Lecz — mołojcze — to mię boli  
„Żem zmarnował wiek w niewoli —  
„Żem w tabunie dzikich koni  
„Nie barcował pośród bloni.  
„Że mi stepu świat burzliwy  
„Nie zoczywał nigdy grzywy...  
„Kipi burza w piersi młodej:  
„Gdy niewolnik — syn swobody!...”

Szum jaworze — szum zielony,  
Perły lśnią na grzywie wronej  
Objął kozak konia szyję,  
W czarnej grzywie twarz swą kryje..  
Coraz ciszej jawor szumi —  
Smutek jeźdźca koń rozumie...

Niemirów.

*Adela Konieczna.*

## URYWEK.

Sprawy społeczne posiadają tę, co i nauki ściśle właściwość: tylko umysł nie uprzedzony, tylko słowo szczerze rzucić na nie mogą smugę światła. Pisać o ludzie, stało się dziś u nas potrzebą — ale też i modą. Zadosyć uczynienie pierwszorzędnej téj potrzeby spoczywa na przodownikach narodu, których obowiązkiem jest kwestyę tę badać, znać i rozświecać. Schlebianie modzie pozostaje tym, co z paru „na letniem mieszkaniu“ spędzonych miesięcy, biorą asumpt do mnożenia tłumnęj beletrystycznęj rzeszy: Stachów i Wojtków, Magd i Kasiek.

Pisać o ludzie, rzecz to nie tak łatwa. Fala to „wierna i niewierna fala!“ By poznać ją, pochyłać się nad nią trzeba codziennie, wpatrywać głęboko. Zwierzchnie, mniej więcej udatnie poetyczne rymy nie wystarczają. Nie wystarcza dyalekt tu i ówdzie, w celu „lokalności“ pochwycony i plastyka sama w takich razach pozostawia wiele do życzenia, bo bywa draperyą manekina, doktryny — rzadko kiedy człowieka. By odmalować olbrzyma — niemowlę, z wielkiem jak miłość a dziecięco prostem, z jasnym jak wiedza a głębokiem sercem, imać się trzeba pióra.

Umieją to niektórzy — wybrani. Niepowołanym w przybytek wkraczać — nie warto, gdyż nie przysparza to korzyści ni sprawie ni sztuce, ani też nie za swoje biorącym się kunstmistrzom. Zaś jeśli poznać lud rzeczą trudną, każdy, zwłaszcza z mieszkańców cichych, odległych zakątków kraju, z wrażeń powszednich gromadzi pewną dozę spostrzeżeń czy to ekonomicznęj, czy to artystycznęj natury, którymi ma prawo, a poniekąd obowiązek, podzielić się z współbracią, zamieszkującą inne okolice naszego kraju.

Grodno.

*Wila Zyndram Kościelkowska.*





## Osiatni uśmiech.

**B**ył ślepy i widział już tylko to, co mu przynosiły wspomnienia. Nazbierał ich po drodze żywota liczbę wielką, bo stary był już bardzo. Tak o nim wśród żyjących zapomniano, że dziwiono się, iż nie był jeszcze w grobie. On sam się temu dziwił, bo zostało mu to, co młodzi nazywają szczęściem starców, a co jest ich niedolą: zupełna przytomność umysłu. Pamiętał i rozumiał wszystko, czuł najłżejsze odcienie... Otaczała go wieczna noc, ale słuch jego zaostrzył się do tego stopnia, iż prawie nim rozróżniał przyjazne lub niechętne spojrzenia, prawie nim widział życzliwe uśmiechy lub lekceważące ruchy ramion. Nogami ledwo powłóczył, miano go za wpółumarłego, a on żył pełnią myśli, tęsknot, bólów, uczucia, co spycha duszę ludzką w najczarniejszą otchłań cierpienia, gdy na pociechę nie umie już ono wydobyć z siebie słonecznego promienia nadziei.

Promienia tego nie miała dusza pana Szczepana. Wszyscy ci, których kochał, leżeli już pod mogiłami cmentarzy, a trapiła go wieczna niepewność, czy duch jego połączy się z ich duchami i czy istnieje tajemnicza kraina pozagrobowa...

Siedział w narożnym pokoiku, który mu wnuki jego na mieszkanie przeznaczyły. Ruch domowy, bieganie zwinnych nóg, rozmowy, śmiechy, nuta granego walca — to wszystko dochodziło uszu jego powikłane, a jednak tworzące obraz wyraźny, obraz kipiącego życia, wesołego pośpiechu młodości, jej naiwnego egoizmu, ślepej wiary w jutro... Ta młodzież płynęła rażno samym środkiem prądu, a on, rozbitk tej przeszłości, która już cała pograżyła się w cień, patrzył z brzoza nieruchomy i smutny.

Drzwi się otworzyły, weszła Marya, wnuczka pana Szczepana.

— Dziadziu — ozwała się — tak nam przykro, że musimy... w sam dzień twoich imienin i urodzin zarazem...

— Ale owszem, moje dziecko, wiem, że musicie być dziś na balu w Miłoszynie.

— Mieli by nam za złe... liczą na nas...

— Jedźcie, jedźcie! Nieznośną byłaby mi myśl, żem wam był zawadą i przeszkodą do zabawy.

— Dziadzio tak sam zostanie...

Czyż on nie był zawsze sam? sam wśród swoich wspomnień, wśród swoich umarłych...

Przed odjazdem wnuki przyszły go pożegnać. Drażliwe ucho jego dotkniętem zostało niezgodnością wesołych śmiechów, budzących wszystkie echa domowe, z konwencyonalnem: „tak nam przykro dziadziu... chętnie bym została, gdyby...”

Pan Szczepan usłyszał dzwonki oddalających się sanek, wiedział, że służba po odjeździe państwa rozbiegnie się, że zabraknie opieki jego niedołęstwu; ale ani cisza, ani osamotnienie nie przestraszały go. Zawołał parę razy: „Baśka!” nie odpowiedziało mu jednak przyjazne miauknięcie. Baśka była właśnie na dalekiej wyprawie po myszy dla swoich kociąt. Pan Szczepan nie miał więc żadnej istoty żywej koło siebie; wspomnienia opadły go jak rój pszczół, należał do nich, jak łódź tonąca należy do morza. Nic ich nie przerywało, żaden odgłos nowego życia. Koło starca zaroilo się życie dawne, ubiegłe... Szarpnęły jego sercem cierpienia stare, stare bóle... Sumienie z dna duszy jak z grobu, wydobyło czyny i intencje... Żaden uśmiech szczęścia niezamąconego późniejszym bólem, zdradą, rozczarowaniem, nie wyrzał z téj przeszłości do pana Szczepana. Kochał niegdys całą potęgą uczucia kobietę, której mężem zostać nie mógł. Ożenił się potem bez miłości dla tego, że się czuł kochanym. Był pewien, że przywiązanie przyjdzie wraz z przyzwyczajeniem, że świętość zadzierzgniętego węzła, urok własnego gniazda zwycięży wspomnienia, zrodzi uczucie nowe... Ale ani przyzwyczajenie ani miłość nie przyszła. Pan Szczepan czuł dotąd niesmak udawanego uczucia... ciężar łańcucha. Tak, on przeżył długie lata męki u boku istoty, której pocałunki męczyły go i nudziły, której milczenie go niecierpliwilo, której rozmowa go drażniła, która się tem dalszą stawiała jego sercu, im mu ją bliższą czyniło życie. Była matką jego dzieci, a jednocześnie tak mu obcą, iż się siebie zapytywał często, co ta kobieta robiła w jego domu. Był przez wszystkich uważany za wzorowego męża i sam jeden tylko na świecie wiedział, co go kosztował każdy dany jej uśmiech, każde przemówione do niej słowo. Przez lat trzydzieści życie jego było pasmem kłamstw i udawania. O, w szlachetnym celu, ale kłamstwo choćby pobożne zostawia zawsze niezadowolone uczciwym ustom, które do niego zmuszone zostały. Pan Szczepan niezadowolone to odczuł nawet teraz, gdy już na mogile niekochanej małżonki miały czas wyrosnąć ogromne brzozy, zwieszające gałęzie aż do samej ziemi A dzieci? Kochał je z ca-



lój duszy, choć go zawsze raziło ich podobieństwo do matki. Kochał, ale mu przyszło, jemu — starcowi, oplakiwać je. Odeszły pierwsze zostawiwszy go wśród wnuków, których tylko dziecinne twarze pamiętał. Pan Szczepan zalkał cicho. Oczy jego nie widziały już nic oddawna, ale jeszcze łzy wylewać umiały. Płakał długo wśród ciszy pustego domu, a obrazy przeszłości przeciągały przed nim smutne, gdyż każde wyzierało z pod grobowego kamienia.

Nagle Pan Szczepan uśmiechnął się. Uśmiech nie odbił się wprawdzie błyskiem w zagasłych oczach, ale osuszył z nich łzy. Starzec, którego otaczał i dreszczem przejmował zimny grudniowy wieczór, ujrzał nagle piękne majowe słońce, zieloność drzew i trawników, uczuł przejmującą powietrze woń wiosennego dnia... Stał na ganku dworu, w którym płynęło mu życie małych, codziennych nędz, w którym krzątała się kobieta dobra, beztaktowna, nudna i wiecznie na ból zębów cierpiąca... Nie pamiętał o tem wszystkim w tej chwili. Na dziedzińcu dworu stała gromada ludzi wybladłych i wynędzniałych; ale z błyskiem nadziei w oku. Opoдал, z ogromnego, na wielkich wilkach żelaznych ustawionego kotła, buchała para, której woń radowała więcej pana Szczepana, niż ta, którą w ogrodzie rozlewały bzy całe w kwiecie... Patrzał. Każdy z wychudłych biedaków miał w ręku dużą miskę. Po kolei zbliżali się do kotła.. Każda miska napełniała się gorącą zupą, do której dodawano kawał chleba... Biedacy odchodzili, błogosławiąc głośno. Pan Szczepan rozróżniał twarze. Znał je, bo codziennie przez cały przednówek sprawiał sobie rozkosz asystowania przy rozdawaniu zupy. A, otóż jest i stara Maciejowa z wnuczka; i Bartek tak mizerny, tak osłabiony, że pracować niemoże choć się ziemia prosi o pracowite ręce... przybył niedawno z innej wsi; i Walkowa z bliźniętami, dla których w piersiach ma zaledwie kilka kropel mleka... Jakże ją te bliźnięta męczyć muszą okrutnie! Dla niej trzeba podwójną porcyę zupy... A... otóż i poczciwy Wojciech! lepiej przecie wygląda; a już tylko były skóra i kości. Wszystkie oczy zwracają się na pana Szczepana. „A niech też panu Pan Bóg da wszystko dobre! Niech da doczekać wnuków i prawnu-ków! Sto lat życia dla takiego dobrego pana!“ Sto lat! Może to owo życzenie sprawiło, że do grobu dójść było mu tak daleko! Ale ci ludzie dawali życzenie w przekonaniu, że było najlepsze... Pan Szczepan uśmiechnął się znowu. Na skraju dziedzińca spostrzegł Mikołaja owczarza, z ręką pod brodą, zadu-

manego smutnie. „Co tam Mikołaj powie?“ „A, dopraszam się łaski jaśnie pana... toć to zgroza... żaden pan na okolicę tego nie robi... codziennie daj barana! i to daj dobrego, tłustego!.. toć w końcu i baranów nie stanie... Grochówka przecie i bez mięsa być może... Każdemu miskę strawy, kawałek chleba... nacóż jeszcze i mięso? Czy to ja na rzeź barany z cienką wełną chowam? Jak ma tak być, to ja dziękuję jaśnie panu..“ „Tak, mój Mikołaju, tak ma być!“ „Ale w żadnym dworze tego niema; po co takie zwyczaje wprowadzać!“ „Wiesz, mój Mikołaju, to zwyczaj dawno wprowadzony... to jeszcze Pan Jezus taki zwyczaj wprowadził, że ten, co ma co jeść, powinien się podzielić z tym, co umiera z głodu“ „Ej, może by tam umarł kto a może by i nie umarł, a co owce wymarnujemy, to wymarnujemy! Niech se jaśnie pan od roku szuka innego owczarza“ Pan Szczepan słyszał oburzony głos Mikołaja; widział jego oczy rzucające iskry gniewu... Poczciwy Mikołaj; odprawił się rzeczywiście od Śgo Jana, wyrznawszy, dzień po dniu przez cały przednówek wszystkie prawie skopy owczarni pana Szczepana. Skór wisiało niemało pod strychem spichlerza, ale ludzie ze wsi mieli siłę ująć za sierp i kosę gdy przyszły żniwa...

Starzec marzył jeszcze długo nim mu sen skleił powieki. W osiemdziesiątą piątą rocznicę urodzin, gdy myślą żyjącą już tylko w przeszłości, gonił za wspomnieniem pocieszającym, za jednym uśmiechem słodzącym mu nędzę starości i opuszczenia, znajdował tylko czysty bez jednej plamki czarnej, bez jednej kropli goryczy znajdował dobry uczynek. Wszystko inne w piółun mu się obróciło, oplakiwać musiał to co kochał, tylko chleb dany łaknącym, w kamień mu się z czasem nie zamienił i miał moc kojenia nawet takich smutków, które już tylko grób za jedyną ucieczkę swą mają.

Józów koło Lublina. *Zofia Kowarska.*

## NA PRZEBÓJ.

*Powieść współczesna przez Maryę Szelię Kraków, nakładem dwutygodnika ilustrowanego „Swiat“, r 1889.*

Під таким заголовком вийшла дуже цікава а для жінок навіть дуже важка повість про життя студенток на університеті паризьким. — Перебіжнім зміст повісті в її головних чертах.

**A**рмуניתивна, донька сільського посесора, доста заможного, чоловіка, а однак не так заможного, щоб дати доньці значний посаг, не виходит замуж. Обожана еще недавно для своєї краси панночка, — коли їй минуло двацят



кілька літ — окричали її вже старою панною, і тоді, що її недавно обожали, беруть за предмет своїх жартів. Бідна дівчина щдіє і старіє ся на правду.

Серед такого заумераючого життя пізната ся она з Естеркою, студенткою париского університета. Повна життя, сили і енергії студентка робить велике вражіння на зломану і збиту неповодженем Дормунтівну, она витягає до неї руки і проєнт, щоби її ратовала з смутного положення. Дівчата укладають ся виїхати до Парижа, де Дормунтівна має записати ся на медицину. Найтруднійше лишає ся еще до переборення а то, переконати своїх и випроєнти у них позволене.

Родина Дормунтівної складає ся з батька, матери пра-цотуні Ловенцової і немолодої панни Анети, сестри Дормунта. Цілий дім жахає ся на представлення дівчат. Мати заливає ся слезами, батько кидає ся нетерпеливо, — одна лиш панна Анега захоочує сестрінку, і намавляє щоби не відступала від свого заміру, ставляючи її перед очі своє змаршоване житє.

Ломит ся нарешті нехить батька. Він сам відвозит доньку до Парижа, щоби придивити ся ближше тому новому житю, котрого боїт ся, і неустив би до него своєї доньки ніколи, як би бачив який пиний для неї виход.

Дормунтівна на медицині віджила, знайшла ціль життя і пересвідчена що стане ся колінь пожиточним членом суєспільности. Наука не мучит її не тужит за своїми, бо потішає її гадка, що поверне до краю ученою лікаркою оєяде на селі і буде серед своїх и буде нести поміж бідній людности, котра марно гине без лікарської помочи. В тих її замірах сильно сшрає пікій пан Вітолдович, суєд і наочний свідок її життя. Вітолдович, повдовівши, старає ся о руку Дормунтівної і обіщює, зреалізувати її думки, заложити в своїм селі шпиталь, при котрим она буде практиковати.

Повість читає ся скоро і приємно, темат свіжий займаючий. Перед усім муємо зазначити одну з головних думок авторки, — думку, котра може найбільше переражає консервативні часті суєспільности а переважно жіноцтво, т. е. виображення о моральности, котрі довгі літа держано пострахом протів усіх новійших подвигів поєступового жіноцтва. Тож авторка вірно старає ся представити тоту віками захвалєну моральність в теперішних, суєспільнім устрою, відносинах муєни до жінок і на відвороть, — де під покривкою скромности, сальпонової грєчности и в загалі принятих товариських звичаїв, криє ся купа неприличностей ображаючих делікатнійше чувство і впливає трійло зісєутья в молоду душу. З представлення авторки бачимо, що звичайна товариєска забава має далеко більше деморалізуючих свойств, як снідья наука молодіжи на університетах. Тут виступають глибоко декольтовані дами, різнородними способами підносячи свою поверховність, позаяк тут ціла жінка: то єї краса и молодість. Жінка не першої весни не має ніякої вартости, и як не замужна то стає ся загальним поєміховиском, як се трафляє ся Дормунтівні на бали в суєдєстві. Провінціальні Дон-Жуанн безперечно більше закажують чистість обичаїв, як поважні жінок з муєнними студія. Пан Оттон приміром залєцав ся до Дормунтівної, жєнт ся з другою богатишою панночкою, то єму однак не перешкадає все еще баламутити Дормунтівну, а заразом зводити гувєрнантку своїх дітєй. Але то все скриває ся під пла-

шем невних, а еще менше шкідливих приємностей товариєських. На медицині окружає Дормунтівну цілком ничий світ і атмосфера. Старий батько, що відвозив доньку на універзитет, спокійно вертає до дому, хоч там оба поди сходят ся частійше не стережені очима батьків и матери. — Поважне занятє, вимагаюче безвзглядно сильного напруження ума, регулює потужно відносини між студентами а студентками. Пасуиротів такої зацачи маліють пужденні захотінки наметности, готові завше зривати найєвятійші узли, де муєнина не бачит в жінці нічо більше, крім єї пола, щоби лиш неустанною зміною стосунків побільшати дозу змєлової утіхи.

Вельми старанно представляє авторка житє студенток, їх наукові и домашні занятя, а єсли еще чою можна бы жадати, то щоби воно було більше з реальної т. е. практичної сторони трактоване.

Поцгиві заміри авторки, щоби пове поле жіночої праці найкористнійше представити загалом, було би не стратило на тим, єсли би авторка представила єго без окрас, нічою незакриваючи.

Загалом звієтно, що по більшій часті студенткам на заграничних університетах гірко приходить ся бороти з матеріальними єредствами и муєнт провадити житє далеко скромнійше ніж то авторка представляє, бо хоч на однім місци и признає, що студенткам приходить ся нераз жити одною гербатю, але то не входить в змієтцїлої повієсти.

Єго авторка непотребовала закривати уже для того, що єї фєкта може найбільше підносяє потребу и змаганя жіночої натури до самостійности, коли ані тяжка праця, ані переборованє тисяєчних пересудів, ані матеріальне бідованє не відстрашує їх, и кожда з тих жінок воліє то бідованє як вернути до ролі „панни на відданю в родині“, що сама авторка скілька разів патякає. Запомогч товариєств, як „Аліанє Ізраїліт“ и других, єуть найліпшим доказом наших слів, муєнт вже якая бути потреба там, де дають запомогч.

Також пієсья нашої думки, авторка без потреби позорує уєякими можливими способами будьто би у студенток нема думки по при євої студія вишукувати собі мужів, пятаючи лиш деякі такими хибними замірами.

Не мож дійєтно сказати, щоби вишукованє мужів було головною цїлю студенток. I овшім, в теперішних часах, коли єрава жіноча муєнт еще гірко добивати ся признаня, знаходить ся не малє чїєло між студентками жінок правдиво ієйних, котрі, наборюють тяжкі універзитєцкі студія лиш для самої ієї, бажаячи лиш показати своїм поєєстрам нову дорогу життя Та все такі не було би в тім нічо вєтидного як би панна Дормунтівна, здобуваючи собі самостійність, здобула и мужа, як се робит єї приятелька Еєтерка и другії, тим більше, що жіночи лиш в однім тієнім кружку родини и суєєдєства, стратила вже була на то надю. Єє річ така природна, що може більше треба би єя вєтідати, як би у студенток не було тих ієєтнієктів. Здобуванє самостійности у жінки, як таке саме здобуванє у муєни не може ставати в дорозі загальному праву природи. I видитєя нам, що богато краєше и природнійше здобувати собі пару на широкій євіта протєстри, як сидіти дома за печєю, вздихати и безчично вшкєковати мєєєя, як той гриб, о котрім говорит руська поєловниця „чєкай грибе, доки тя хто здиблє.“



Дормунтівна повинна була знайти собі чоловіка між студентами або здобути якого університетського професора, бо се дійсно найчастіше трапляє ся, і доводить, що мущини, будучи ближше жінок еманципантик, борше позбувають ся усяких убliжачих студенткам упереджень.

Но коли авторка dokonьче вже хотіла віддати свою герсіну за пана Вітольдовича давнього сусіду і свідка прожитих літ Дормунтівної, то богато приємнійше було би нам читати як би той пан нічим не стояв више над кружок свого оточеня, живив ті самі пересуди і закиди протів усякого рода еманципаторк і доперва Дормунтівна студентка. Дормунтівна що вже заникала душею і тілом серед неприяних обставин житя, без ціли і занятя, — відроджує ся, набирає сили і енергії при тяжкій але допроваджуючій до саможостности і незалежности праці, переконує его инакше і переборує в нім давні пересуди. — Тут лиш то можно хіба закинути, що таке признане з сторони мущин в роді окресленого нами Вітольдовича не скоро еще наступит, і можна предвидіти, що при загальнім мало еще обясненім питаню жіночим, студентки еще довго будут жінками студентів або своїх професорів.

Та все-ж такі пороблені нами тут закиди не можна в числювати в вину авторки. Не авторка тут винна котра свідчит своєю повістею, що е горячою приклонницею жіночого поступу і добре понимає его стремліня, а радше загалу, суспільности, котра еще собі не зформоловала і не висвітила того питаня і відносит ся вєдовірчиво до цілої справи, як і єї піонерок.

О скілько ту нехить загляду, его страх перед мало звістним питанем відчуває авторка свідчит найліпше то, що рада би она суспільности для котрої инше стремліня поступового жіноцтва представити як в найневиннійшій світлі, підшиваючи їх під традиції, будьто би жінки завше займали ся ліченем. А лиш в тім ріжниця, що лічила на сліпо як бабуся Ловчичова, а тепер будут лічити уметно яко дилльомовані лікарки.

Зваживши затим все обставини серед яких виступає авторка, кожда поступова жінка лиш з вдячностею може приймити єї працо.

*Наталія Нєдприньска.*



Tak samo jak nazwa pewnej choroby uogólnia w sobie cały szereg patologicznych stanów i drobnych szczegółowych zmian zaszyłych w organizmie, tak samo termin, nędza — obejmuje całą masę pojedynczych dolegliwych cierpień ludzkości.

Dwa te pojęcia: nędza objaw stosunków społecznych, i choroba, przedmiot badania lekarza, nie tylko przez analogię zestawione być mogą: są one z sobą ściśle jako przyczyna i skutek związane.

W obec choroby stajemy do walki z naturą, uzbrojeni wiekowymi zdobyczami wiedzy, kierowani znajomością praw fizyologicz-

nego życia, dumni z wydartych tajemnic przyrodzie, często pewni nowych nad nią zwycięstw.

Zdobycze wiedzy jednak tylko dla wybranych istnieją, bo nędza nie wie o tem, że fizyologia zmierzyla za pomocą dynamometru ilość pracy, którą organizm ludzki w danym czasie wykonać może, — że wyliczyła ilość godzin potrzebnych na dobę do snu t. j. do odbudowania zużytych cząsteczek nerwowych; nędza nie wie, że fizyologia określiła ilość powietrza, potrzebnego w danym czasie do utlenienia naszej krwi i tkanek i ilość pokarmów, które w celu zastąpienia strat poniesionych przez organizm, na nowo do niego wprowadzonymi być winny.

Nędza gwałci prawa fizyologicznych czynności organów, tamuje ich rozwój, kradnie im konieczne do życia warunki, rodzi grunt żyzny dla całego szeregu chorób.

W obec tej nędzy lekarz staje do walki ze stosunkami ludzkimi cywilizowanych społeczeństw.

Genewa.

*Teodora Krajewska*

*kand. nauk med.*



Najśodsze pieśni te — co z smutnych myśli płyną.  
*Shelley.*

Zjawisko nowoczesnego pesymizmu w poezji określone nazwą filozoficznego romantyzmu, trafniejby może uznać należało za wielką i gorącą litość. Człowiek, — albo ufa swej sile — i goni za szczęściem, — albo nie wierzy w urzeczywistnienie swych ideałów — i łaknie pociechy. Poeta znowu, obdarzony subtelniejszym niezaprzeczeniem systemem nerwowym i bardziej rozwiniętą czułością, łatwiej spostrzega i pojmuje światła i cienie życia, żywiej przyswaja sobie tęsknoty i cierpienia ludzkości, a wynikający stąd stan wzruszenia, łączy go nierozzerwalnym węzłem braterstwa bólu z żebrzącą o słowo litości i współczucia rzeszą.

Rozkosz, jaką odczuwamy, czytając wzniosłe i smętne poezye, — odpowiadające wewnętrznemu naszemu nastrojowi — zmienia się stopniowo w jakiś serdeczny a mistyczny związek między wrażliwą wyobraźnią poety, a smutną duszą czytelnika. Tak więc poezya pesymistyczna jest rzewną i wspólną jałmużną, jaką wielcy mistrze pióra składają swęj cierpiącęj braci...

Warszawa.

*Jadwiga Krausharowa.*



# MORITURI!



ima okropna, straszna zima!

Naokół, jak wzrok zasięgnie, biało i biało. Zniknęły wzgórza, parowy, rzeki, stawy i drogi; wszędzie równo i biało, wszędzie śnieg i lód. Miękki, jak puch lekki i biały śnieg pada ciągle, nieustannie, a gęste chmury tak nisko nad ziemią płyną, że nieraz się zdaje, iż to one spadając, pokrywają ziemię.

Ten całun biały, taki niewinny kolorem, grobowego całunu czyni wrażenie, pod którym trup leży cicho, spokojnie i nigdy już zbudzić się nie ma.

Tak, zamarzło wszelkie życie w naturze; nie ma śladu gdzie zasiane zboże w jesieni, gdzie łąki roztaczały wzorzysty kobierzec kwiatów, a drzewa tak smutnie wyglądają, jakby nigdy już odrodzić się nie miały!

Człowieka nie widać na białym przestworzu. Skulony, zziębnięty i łzawy, siedzi zasypany zawieją w zimnej chacie, czekając zmiłowania bożego... Rozum dany przez Najwyższego ludzkiej istocie, ochrania ją od rozpaczki, żywi nadzieją. „Kiedyś to przecie skończyć się musi!” szepcą niejedni z rezygnacją.

I ten śnieg, ta zima trwa już czwarty miesiąc! Biedny wyrobnik w chacie za wsią pod lasem, któremu każdy dzień bez roboty nędzą grozi lub śmiercią głodową, ostatni sprzęt z izby do ognia dorzuca, chroniąc dzieci od zimna i pociesza się także nadzieją, że każda zima skończyć się musi...

Jednak nie kończy się! palić już nie ma co, chyba chatę rozebrać przyjdzie, a co strawy, to już całkiem zabrakło. Ostatni raz dzisiaj z reszty mąki wraz z otrębami zamieszkuje zrobiono; krowa mleko straciła, choć ją do chałupy zabrano, by nie zamarzała w stajence, gdzie wiatr co nocy śniegu po pas przez szczeliny namiecie. Jutro Maciej wraz z żoną stajenkę rozbierze i drzewem

z niej palić będą dni kilka. Jeść nie ma... no, to przeposzczą jeszcze dzień, dwa! u biednych ludzi to nie dziwota. Dla dwojga dzieci Maciejowa znajdzie jeszcze parę orzechów i bukwi, a oni sami mają szyszki jodłowe... czasem i to wystarczy.

Żeby tylko ten śnieg przestał padać!  
Upłynęło znowu dni parę.

Drzewa ze stajenki jeszcze trochę zostało, ale jeść już nie ma... Maciej zadumał się smutnie, dzieci cicho płakały, a matka snuje się jak cień po izbie, szukając czy nie ma gdzie jeszcze jakich okrucich... Biedna stara krowina zjadła już wszystko siano i słomę z barłogu, stoi patrząc żalostnym okiem na gospodarzy i beczy... Maciej wyjrzał posępnie na dwór i nagle z rozjaśnioną twarzą wrócił do chaty.

— Zadymka ustała! rzekł do żony. Pójdę do dworu, ta może nam dziedzic pomoże. Odrobię na wiosnę...

Pożegnał swoich; markotno mu było jakoś opuszczać chatę, ale poszedł.

Droga była nie daleka: dwór widniał może o jakie pół mili, ale ciężko było dostać się doń! Silny, barczysty chłop, uzbrojony w kij wysoki zapadał co chwila po pas, wydobywał się z trudem i dalej borykał się ze śniegiem. Gdy po kilku godzinach znalazł się u wrót dworu, pot oblewał go rześisty, a drżał cały od wysilenia jakie czynił, walcząc z zaspami śniegu.

Pan był dobroczynnym. Choć sam odcięty od świata wałami śniegu i także mający nie wiele, podzielił się resztkami z biedniejszym od siebie. Maciejowi oczy się śmiały na widok mąki, słoniny i chleba, które mu w torbę dla rodziny pakowano. Wypił kielich wódki, zakąsił chlebem i zabrał się do powrotu pokrzepiony pożywieniem i uciechą że oni tam jeść będą co mieli... Niechciał przyjąć ofiarowanego sobie konia do powrotu. Co by



z nim robił? Koń nie przebije się przez zasy, a gdyby się i przebił, gdzie go umieści kiedy stajenka spalona, co mu da jeść?

Dziedziec chciał go przez noc zatrzymać. Zadyraka zaczynała się znowu, wieczór był blisko: Maciej nie dojdzie za dnia do chaty; zmęczony był, a w nocy wilki mogły go napaść.

Daremnie! Maciej nie mógł ich przez noc w niepewności i głodzie zostawić; musiał iść!.. Z zawieszoną pełną sakwą przez plecy, z otuloną w opończę twarzą, z kosturem w dłoni, puścił się odważny ojciec w drogę.

Zawierucha rozpoczęła się znowu. Płatki śniegu igrały swobodnie w powietrzu jakby pływając w zabawie; z początku śnieg padał cicho, ale wiatr się zerwał straszny, straszniejszy niż wczoraj. Burza mścić się zdawała nad śmiałkiem, który odważył się stawić jej czoło, i miotała nim tak, jakby go zniestwić chciała.

Maciej szedł zwolna, odmawiając pacierze, a wiatr urywał z ust słowa i rozwiewał po polu, jakby pragnąc, by odgłos ich nie doszedł do Tronu Najwyższego.

Nagle światełko jakieś zabłysło przed nim jaskrawo w oddali... Światełko migając, zamieniło się raptem w płomień czerwony, który to przygasał, to snopem iskier wraz z podmuchem wiatru buchał ku niebu. Na szarem tle nieba łuna zapłonęła krwawo, lśniąc brylantami po śniegu...

— Pali się... szepnął biedak wysilony, bezprzytomny prawie i znowu brnął w śniegu dalej i dalej, myśląc drogę, wracając po kilka razy na to samo miejsce, nie świadomy niczego tylko, że mu trzeba iść naprzód, wyrwać się z tej białej pustyni, która ogarniała go coraz więcej.

Kostur wysunął się z zeszywniałej dłoni i darmo Maciej schylony szuka go po śniegu... ten śnieg tak mroczy, taki zimny!

Ciemno w okolo tylko ten płomień błyska od czasu do czasu... pali się: gdzie to się pali? Biedak ani przypuszczał, że to jego chata, jego rodzina dusi się w ogniu...

Ostatnie blaski dogasającego w śnieżnym kraterze pożaru oświecają twarz bladą i gorączką zapalone oczy człowieka, pasującego się ze śmiercią...

Za chwilę, ciemno i cicho; nie słyhać już ani słów pacierza ani oddechu Macieja.

Ogień strzelił raz jeszcze do góry, a snop iskier rozsypał się po białym śniegu w okolo i zasypał wszystko...

Marya Krecowiecka.

## NIEPODZIELNI... CHOĆ PODZIELENI.

Głód, powódź, pożar! Trzy hasła niedoli,  
Trzy jęki, złożone z jęków tysiąca,  
Trzy łez potoki, płynące powoli.  
Jak fala lawy pałaca.

Głód; powódź, pożar, w tej samej krainie,  
Gnębi i trapi nieszczęsnych trzykrotnie,  
W bratniej Galicyi lud bez chleba ginie,  
Pomoc więc nieśmy ochotnie,  
Niech wśród niedoli, wśród klęsk i boleści,  
Wśród mąk głodowych, powodzi lub zgliszcza,  
Jedna, lecz silna pociecha się mieści,  
Złote nadzieje nam ziszcza.

Ze choć nas burze losu rozdzieliły,  
Choć w oddaleniu wieki nam przeminają,  
Wspólnymi będziemy ratować się siły,  
Bośmy wciąż jedną rodziną!

Warszawa.

Anatol Krzyżanowski.  
(Pseudonim).

## Kołysanka matki polki.

Spij mój maleńki na mojem łonie,  
Wszystkie od ciebie muszki odgonię,  
Zakryję oczki, od blasku słońca,  
Będę śpiewała piosnki bez końca —  
Spij o mój mały, spij o mój miły,  
Nabieraj mocy, zdobywaj siły,  
Bo choć cię tulę, chociaż cię pieszczę,  
Choć ty maleńki, jak kwiatek jeszcze,  
Już byli ludzie z głazu czy stali,  
Co mi już Ciebie jakby wyrwali!  
Twe słodkie imię już zapisane,  
I obcą mową powykrywane, —  
Już masz Swe miejsce w szkole, gdzie Boga  
Ma Ci wskazywać ich mowa wroga,  
Już pod ten sztandar cię zapisali,  
Z którym ojczyznę Twą zdobywali,  
Są na nim plamy krwi Twojej bratniej,  
Są na nim ślady walki ostatniej.  
Pod tą chorągwią przysięgać zmuszą,  
Że służyć będziesz ciałem i duszą.  
Choć im poświęcisz krwi twej strumienie,  
Chociaż Cię zamkną w ciasne więzienie,  
Polska wraz ze mną tylko Ci matką,  
Bóg Ci tehał duszę pod polską chatką.  
Teraz nie słyszysz słów mojej pieśni,  
Ale się później Twój duszy przyśni,  
Gdy mieć nie będziesz, skrzywdzon od losu,  
Ojczyzny złotój, ni matki głosu,  
Ta pieśń uspiona na dnie twej duszy,  
Którą Ci obcy żywioł przygłuszy,  
Kiedyś jak potok zwolna wezbrany,  
Wstrząśnie Twą duszą, zerwie kajdany;  
Tak ją rozbudzi dumną i hardą,  
Że śmierci spojrzy w oczy ze wzgardą.

Taką to straszną piosnkę bez końca,  
Gotowam śpiewać do wschodu słońca;  
Całując rączki, całując nóżki,  
I opędzając drobniutki muszki!

Marya Kwilecka.

Oporów pod Poznaniem.





Zosia wyznaje Tadeuszowi, że wszyscy jej doradzają wyjść za mąż za niego, ona zaś „zawsze się zgadza z wolą nicba i z wolą starszych.”

Z Pana Tadeusza.



## Na nutę „Z dymem pożarów“.

Panie! o panie! ludzkość jęcząca  
Od wieki wieków wylewa łzy;  
A jednak pragnie szczęścia bez końca,  
O niem wciąż marzy i o niem śni. —  
Czyżby to szczęście było złudzeniem  
Dla udręczenia gorących dusz?  
Oświeć nas panie Twoim promieniem.  
Bo świat w ciemnościach zaginie już!

Daj nam o panie, męstwo i siły,  
By nie płynęła z ocz naszych łza;  
By nam starczyły aż do mogiły,  
Wiara, nadzieja i miłość Twa. —  
Jeżeli burza w świecie szaleje,  
Jeżeli w duszach panuje noc,  
Niech duch Twój jasny duszę owieje,  
Niech stłumi burzę Twa święta moc!

Oporów pod Poznaniem.

Maryja Kwilecka.



## O KAWAŁ DREWNA

stara bajka wnukowi opowiedziana

przez

BELINĘ - LUBICZ.

„Barwą złotą i błękitną  
„Tęczę w okół niech rozkwitną  
„Wszystkie ludu mego skaski.“  
J. B. Zaleski.

I.

Było to tak, jak w bajce. „Za rzekami, za lasami“ wśród odwiecznych puszczy Ameryki, leżała obszerna i żyzna polana, odwieczna siedziba indyjskiego plemienia, któremu w obrazowej mowie dzikich ludów nadano I. wa - Skrzydła tego nazwisko.

Dzielne to było plemię: lud w polu bitny, a w domu bogobojny, tylko wodzom i prawu niekarny i bardzo w obradach burzliwy, a słusznie I. wem - Skrzydłatym nazwany, bo iście lwią cnotę miał w boju i skrzydła fantazyi bardzo lotne. Czynił też nimi wicher ciągły wśród siebie i szum głośny, który mu słyszeć przeszkadzał, że tuż po za ścianą puszczy odzywa się łoskot siekiery karczowników, którzy puszcę ościenną trzebili, miejsce sobie w niej robiąc na siedzibę...

Niewiasty plemienia, przy obradach nieobecne, w domu rej wiodły wszechwładny. Ognistymi Duszami je zwano, bo chociaż gospodarne i ciche, jednak podań i obyczajów narodu swego pamiętne, nigdy o krew dzieci i mienie rodu nie targowały się z wodzami, nigdy synów nie żałowały im w potrzebie, a w sercach córek umiały niecić ten ogień, co je z kolei na matki lwiego narodu sposobił.

Pewnego dnia, gdy, jak zwykle, kłócili się pomiędzy sobą indyjskiego plemienia wodzowie, jeden z nich — zanadto znać ufny w rozum własny a cudzą uczciwość — udał się z prośbą o pomoc

do obcego karczownika, który coraz to bliżej sąsiadując z polaną, wielką miał chętkę ją zagarnąć i na sposobność tylko czyhał.

Przyszedł wezwany sąsiad; zrazu układny i greczny, i niby tylko za chwilowego uważający się gościa, a potem coraz butniejszy, nietylko głos na obradach plemienia zabierał, ale jeszcze przewodzić na nich począł. Sprowadziwszy sługi swoje, gwałty czynił na polanie, porywając przednie mężę narodu — czego nie wzbraniał mu wcale Ciołek - Pełzający, podówczas najwyższym wodzem plemienia obrany. Znikczemiały ten I. w ó w - s k r z y d ł a t y c h] wyrodek zmwiał się nawet na szkodę ludu swego z karczownikiem, który też wkrótce powinowatych do pomocy sobie przybrawszy, podzielił się z nimi polaną i obwołałszy się panem najpiękniejszej jej części, z karczowiskiem ją swoim połączył.

Rozpacz tedy wielka ogarnęła ten naród lekkoduchów nieopatrznych, ale szczerze ojczystą siedzibę miłujących; napiętnowali zaborcę Wilka Zbójckiego przydomkiem i niektórzy — jak przed wilkiem — uciekli przed nim z polany...

Wywłaszczeni ojczyce stawali się na obczyźnie tułaczami... szli szukać wolnej ziemi i znalazłszy... marli na niej — tęsknotą tułacza strawieni!

Innych unosił Wilk-Zbójcki w dalekie nory swoje, kędyś po puszcach rozrzucone... i marli tam wygnańcy bezdomni, bezdomnych zabici żałobą!

A byli też i tacy, którzy służbę u karczownika przyjąwszy, jedli z jego ręki chleb upokorzenia i podłości... tych struła pogarda, w którą poszli u plemienia swojego!

A najwięcej było takich, którzy pozostawszy na miejscu, ugięli pod przemocą karki, co przed prawem uchylić się dawniej nie chcieli. Ci, pilnując się starych cmentarzysk i trzymając się siedzib starych, płacili z nich daninę wiernikom Zbójckiego - Wilka.

A tym najcięższa padła dola, bo nie strawiła ich tęsknota, ani zabiła żałoba, ani struci zostali pogardą — lecz żyli... Zabiło ich życie samo!

A gdy wymarło pierwsze zwyciężonych pokolenie, synowie ich i wnuki przestali nosić u plemion pokrewnych miano I. w ó w - S k r z y d ł a t y c h. Nazwano ich I. w a m i - S p ę t a n y m i, i oni też sami siebie tak zwać zaczęli, a niektórzy z nich, usiadłszy na rozpamiętywanie przeszłości, słać poczęli bez miary cnoty ojców, — lub kłać ich winy i pamięci ich — także bez miary — złorzeczyć!

I kłócili się znowu jak dawniej. Kłócili się o przeszłość, nie wiedząc czy przyszłość jeszcze mają przed sobą i niepomi, że zgubiły ich kłótnie, przez które z I. w ó w - S k r z y d ł a t y c h — I. w a m i - S p ę t a n y m i się stali!

Kobiety ich tylko zatrzymały dawną nazwę Dusz - Ognistych, bo zawsze uczyły synów, że I. e w choć S p ę t a n y, lwią mieć cnotę powinien, a w piersi córek zawsze nieciły ten ogień, który życie podsycał w plemieniu.

I wróżyli pieśniarze narodu, że one ogień ten przechować potrafią niewygasty, i z pokolenia w pokolenie go przekażą, aż kiedyś... kiedyś... najdalsze ich prawnuczki matkami wolnych zostaną!



## II.

O! najcięższa tym padła dola. co na polanie pozostali..

Zrazu nie tracąc skrzydlatej przodków fantazy, każde świeżo dorosłe pokolenie rwało się w górę szumnym a śmiałym lotem... szaleńcy, którym powodzenia tylko brakło, by ich jako bohaterów sławiono! Ale Ikarowe były to loty! Kończyły się zawsze upadkiem śmiałków i znęcaniem się karczownika nad plemieniem niepoprawnych marzycieli.

I nieraz nawet obwiniano o to Dusze-Ogniste, oraz pieśniarzy narodu. bo jak jedne, tak i drudzy karmili lwięta młode wspomnieniami dawnej sławy plemienia i budzili w nich fantazyę niepotrzebnie.

Na polanie coraz gorzej się działo!

Spanoszony cudzą krzywdą, tak zhardział Wilk-Zbójecki, że pomiatał dawnymi panami polany, a nawet dowodzić im począł, że nieprawdą jest, jakoby oni ojczycami tu byli od wieka...

Oburzeni fałszem tak jawnym, piśmienni i mędrce plemienia powołali się na rycerskie powieści narodu, obrazami na korze drzewnej spisane, lub cięciem szabel ryte na głazach pogranicznych i uczyli lwięta młode prawd przeszłości.

Ale Wilk-Zbójecki milczeć kazał piśmiennym, a sługi jego i najemniki bezczelnie wpierać począli w pacholeta, że fałszem są ojców powieści, matek płomienne natchnienia i fałszem gędźba pieśniarzy.

— Plemienników to naszych ziemia — powtarzali nieustannie a głośno — przywłaszczyli ją sobie niegdyś ojce wasi, gdy siłę mieli po temu, a wy bezsilne, L.wy-Spętane, wy dziś jeszcze upieracie się przy tem, że ziemia ta odwieczną własnością waszą. Ale my tu ład domowy przywrócimy!

I ład ten przywracając, zabronili pacholetom używać mowy ich plemienia. a gdy które z nich znieważyc chcieli i zbezcześcić, wtedy chlubne praojców miano ciskali dzieciom w oczy jak obelgę, wołając z naigrawaniem: — Wy, L.wy-Skrzydlate! wy.. wy podłe śmiecie indyjskie!

Wtedy już nawet Ogniste-Dusze zatrwożyły się bardzo i o przyszłości świętego ognia zwątpiły.

— A cóż będzie — wołały łamiąc ręce — jeżeli synowie nasi, fałszom tym uwierzywszy, wyprą się ojców imienia i zapomną tej mowy starej, co z sercem cuda czynić umie? Czy córki nasze potrafią ogniem dusz swoich podtrzymać życie w tych, dla których tajemnicze zaklęcia i święte hasła będą już tylko niezrozumiałym słów hałasem?

I strwożone i smętne, wznosiły ręce ku Wielkiemu-Duchowi, co był bóstwem opiekuńczem ich plemienia i czyniły ofiary obrzędowe, a potem synów tuląc sobie do piersi, szeptem wrażały im w pamięć zaklęcia, hasła i czarów słowa przemożne. a pieśniarze wtórowali im z cicha i nawet piśmienni odzywać się już teraz zaczęli, że prawdziwą jest mądrość matek i że Ogniste-Dusze synów na L.wy chowają — jak przystało!

## III.

Coraz gorzej działo się na polanie!

Pokolenie L.wy-Spętanych po dawnemu bogobojne, miało święte pamiątki swoje — widome znaki wiary — i strzegło ich pobożnie a pilnie.

Jedną z takich był kawał prostego drzewa, odłamany pono przed laty z drzewa Cudu i Łaski, które — jak to mówili wierzący — rosło niegdyś na ziemi z woli Wielkiego-Ducha, a dziś, choć połupane na drzazgi, w każdym swoim odłamie moc mając cudotwórczą puszczało korzenie w ziemię każdego ludu, który trwał wiernie przy czci Wielkiego-Ducha i święte pełnił obrzędy. Bili mu niegdyś czołem wodzowie i mędrce plemienia, a i dziś jeszcze na twarz padali przed niem pobożni i mieli je we czci tem większej, że świętością było plemienną — i razem pamiątką onych czasów, kiedy korzyli się przed niem L.wy-Skrzydlate, dziękując Wielkiemu-Duchowi za zwycięstwa, którymi rośli w potęgę. — na znak dziękczynienia zdobiąc ściany skórami zdartymi z czaszek nieprzyjaciół.

Straż nad czcigodnem drewnem trzymali ofiarnicy narodu, starcy bogomyślni, nauk czasu i pokolenia swego nieświadomi, ale umiejący przemawiać do serc prostaków, przez co mieli moc wielką nad nimi i wielkie u wszystkich poszanowanie.

Pewnego dnia przysłał do starców Wilk-Zbójecki najemnych swoich, którzy rzekli; — Oddajcie nam drewno cudotwórcze pod straż waszą złożone; drzewo, z którego pochodzi, dla wszystkich wywiódł Wielki Duch z ziemi. Choć inaczej służył jemu, nie znieważymy świętości waszej, lecz uczynimy z niej sobie sprzęt do obrzędów naszej wiary potrzebny, a w świątyniach naszych padać przed niem na twarz pozwolimy.

Ale wiedzieli ofiarnicy, że Wilk-Zbójecki czyha tylko na sposobność obałamucenia prostaczków, którzy dotąd od świątyń jego stronili, choć je gwałtem do niego napędzał, nauczając, że w takich to właśnie modlili się przed laty ich ojcowie.

Więc, czy to wstąpił w sędziwych starców duch młodzieńczy, czy-to zagrała w nich dawna L.wy-Skrzydlatych fantazyja, czy też na wiernych sobie Wielki Duch wionął siły swej tchnieniem, dość, że najemnikom Wilka-Zbójeckiego odpowiedzieli ofiarnicy:

— Nie wydamy wam świętości plemienia i stać przy niej będziemy na straży, na to nas tu bowiem postawiono.

— Zobaczymy, jak długo wystoiacie — z naigrawaniem odparli słuźalcy. Panem nad wami Wilk-Zbójecki: ten zetrze was jako słomki kruche.

— Wielki-Duch panem jest tylko nad nami — odpowiedzieli starcy siwi — skoro zechce, sam oddać potrafi w wasze ręce drzewo cudotwórcze, które w ziemię polany głębokie puściło korzenie.

— Dlatego, że plemienników to naszych ziemia! — odparł jeden z wysłańców, więcej znać w piśmie uczony.

Ale ofiarnicy, nie wiodąc już dalej sporu, wrócili do świątyni, kędy trwał lud na ofiarach, czołobitne zanosząc modły. I jeli cieszyć lud strwożony i tłumaczyć mu, że Wielki-Duch obrońcą jest zawsze nad polaną i tak L.wy-Skrzydlatych, jak i Zbójeckiego-Wilka panem i sędzią najwyższym.

A oto, gdy lud nauczali i pełnili przerwane ofiary, otoczył świątynię hufiec słuźalców karczownika, którzy pojмали starców cichych, wołając:

— Lud przeciwko nam podburzacie! I wiedli z świątyni bezbronych, siwowłosych ofiar-



ników, którzy byli strażnikami pamiętki i życie na usługach prostaczków spędzili.

Wtedy prostaczkowie owi zawrżeli gniewem i zakipieli żarem wściekłym, a męże, niewiasty, i niedorośle nawet pacholeta porwały się bronić ofiarników, którym włos siwy za puklerz starczyć nie zdołał. Podniósłszy więc lament wielki i głośną skargą bijąc w niebo, rzucili się na odsiecz ofiarnikom tłumem całym... ogromnym, rozkrzyczanym tłumem — bezbronnych!

A tłum ten, odgrządzający się bez broni, słuzalcy Zbójeckiego-Wilka kłóc poczęli żelazcami dzid i puszczając weń celne strzały z łuków swoich, a gdy padł trup jeden i drugi, wtedy tłum rozszedł się przerażony... I w em-Spętanych się uczu!

Czy przeto święte drzewo — krwawego zartargu przyczyna — dostało się w ręce zbójeckie!

— Nie! — powiada stara baśń indyjska, która dotąd żyje w ustach starców plemienia. Choć podobno coraz gorzej dziać się potem miało na polanie, święte drzewo trzyma się mocno korzeniami ziemi, która jest L w ó w - S k r z y d l a t y c h i D u s z - O g n i s t y c h siedziba.

A gdyby kiedy podstępem lub gwałtem wyrwał je z polany Wilk-Zbójecki, to nie zginie podanie o niem, tak samo jak nie zginęła dotąd pamięć hasel i miłość świętości plemienia Ogniste-Dusze wzięły je pod straż swoją i w wier-nem przechowują wspomnieniu i synom je swoim przekaza, a córki znać je i pamiętać naucza..

Bo nie co innego, jeno niewygasły ogień dusz niewieścich jest ową mocą nad moce, co L w ó w - S p ę t a n y c h kruszy pęta, dłonie ich bratnim wiąże uściskiem i wolnych a zgodnych na śmiałe podmawia loty, aż z L w ó w - S p ę t a n y c h znowu L w a m i - S k r z y d l a t y m i zostaną!

I na tem kończy się bajka — zupełnie jak w bajce!

Warszawa.

## EFEMERYDA.



— Tak pani! Wolalbym żeby mój przyjaciel wyjeżdżał w podróż do którego z biegunów, niż to, że się żeni.

— Nie rozumiem. Przecież żeniąc się zostanie w Warszawie, możesz go pan widywać codziennie, jak dotąd.

— Niestety! Z podróży się powraca, małżeństwo jest niepowrotne.

— Więc pan byś chciał...

— Ja nie nie chcę. Wolno mi przecież ubolewać.

— Nad szczęściem przyjaciela?

— Nad moją stratą.

— Powiedz pan otwarcie. Masz coś przeciw pannie Anieli?

— Nie znam jej wcale. Pierwszy raz nawet słyszałem jej imię, złączone z imieniem mego przyjaciela.

— Więc obdarzasz ją na kredyt zazdrością, żądzą panowania...

— Broń Boże! gdyby nawet była aniołem, to nie zmieniłoby położenia...

— Jesteś pan więc z zasady przeciwny małżeństwu?

— Jestem tylko przeciwny małżeństwu moich przyjaciół.

— Ale dla czegoż?

— Pani! traci się przyjaciół z wielu powodów, małżeństwo jest w tym razie najpewniejszym.

— Wszakże przyjaźń jest wieczna? Widzę na ustach pana sceptyczny uśmiech, wyznaj, co myślisz?

— Ach pani, są to rzeczy tak oklepane, iż wyznaczyć ich nie umiem. Wolę posłużyć się poetą. Poeci mają dar oblekania powszednich myśli w niepowszednią szatę. Wszak pamiętasz pani te strofy:

Przy nich wszystko konało: ptak wśród liści cienia,  
Kwiat uszczknięty i owad stopą rozdeptany,  
Źródło wysychające, gdzie wśród fali drżenia  
Widniały rysów ich zmiany.

A wśród tego cmentarza, łącząc wątle dłonie,  
Oślepieni rozkoszą jednej szczęścia chwili,  
Z tej potęgi niezwanej, która śmiercią zionie,  
W swem upojeniu sztydziłi.

Prawda że Musset mówi tu o miłości, ale słowa te stosują się tak samo do niej, jak do każdego innego uczucia.

— To ma znaczyć w dobrej prozie, że pan jesteś szkaradnym sceptykiem, że bluźnisz najświętszym uczuciom, że w nic nie wierzysz!

— Miłosierdzia pani! Wszakże to Musset.

— Wszystko jedno!

— Porozumiejmy się przynajmniej.

— Tu nie ma porozumienia. Albo się wierzy albo nie! Nie odpowiadasz pan!

— Słucham!

— Cytata świadczy wyraźnie, iż według pana przyjaźń nie istnieje.

— Któżby o niej śmiał wątpić. Ja sam przecież, gdybym nie miał przyjaciela, nie ubolewałbym nad jego stratą.

— Nie pojmuję...

— Zaraz się wytłómaczę. Wszak teraz mamy dzień, nieprawdaż.

— I do tego słoneczny.

— Musset...

— Znowu Musset...



— Tak pani, Musset mówi:

Czyliż to nie jest prawdą, że światło istnieje  
I zaprzeczyć mu mamy za nocy nadejściem...

— Rozumiem, raczysz pan wierzyć w uczucia, ale tylko na chwilę. Prawdziwy mężczyzna!

— Człowiek. Patrząc, przekonać się trzeba że wszystko na świecie przemija. Winą naszą jest to właśnie, iż nie umiemy zgodzić się na żadną efemeryczność, choć sami jesteśmy najmarniejszą z efemeryd. Szalony tylko zaprzecza uczuciom, ale szalony także ten, co chce je wiekuistymi uczynić.

— W takim razie zerwana przyjaźń nie będzie przynajmniej rzeczą niespodzianą.

— Rzeczy spodziewane nie przestają być bolesnymi.

— Skoro jednak według pana inaczej być nie może.

— Pani! Niech ta konieczność przyjdzie jutro, pojutrze, kiedyś — byle nie zaraz. Drogiego gościa zatrzymać chcemy choć dzień jeden, choć godzin parę, jakkolwiek wiemy, że odjechać musi. Tak samo z uczuciem. Niech się ono zresztą rozwiąże w naturalny sposób! Niech dwoje ludzi dotąd złączonych ściśle, rozejdzie się zwolna coraz dalej, siłą rzeczy, niby przecinające się pod ściśnionym kątem linie, które z razu biegną niemal równolegle, aż oddalając się stopniowo nikną w odmiennych przestrzeniach. Niech nie roztrąca ich żadna obca ręka!

— Gdybym miała pańskie przekonania, nie byłabym w stanie pokochać nikogo.

— To tak samo jakbyś pani nie żyła, dla tego, że umrzeć musisz.

-- Nie, jest to, jak mówicie w waszym uczonym języku, odmienna kategoria faktów. Śmierć jest rzeczą od nas niezależną.

— A zapomnienie?

— Jest ono w naszej mocy.

— Pozornie tylko. Moralna istota ulega zarówno jak fizyczna, nieubłaganym prawom, ale tych praw domyślamy się za ledwie...

— Wiem, wiem. Wynaleźliście teorie, uniewinniające szkaradne czyny i wyraz na to równie szkaradny — determinizm.

— Oburzenie pani rzeczy nie zmienia. A przytem, łatwiej nieraz zachować uczucie dla oddalonych, jak dla blizkich, kiedy ci każdym słowem, każdym czynem, przekonywają nas, iż w oczach naszych zmienili się z gruntu. Codziennie pod postacią dobrze znanych sobie spotykamy obcych ludzi. Noszą oni tylko maskę ukochanych, przedrzeźniają ich głos, ich spojrzenie, ich słowa. Ukochani ci istnieć prze-

stali, są to tylko ich larwy, a my krwawimy sobie serca o ich obojętność. Czyś pani choć raz w życiu tego nie doświadczyła? Milczysz, spuszczasz smutnie głowę. Znak to wymowny. Życie dało ci widać poznać, iż największym bólem nie jest stąta umarłych ale żywych.

— Chociażby tak było, to nie upoważnia mnie do uznania prawa tam, gdzie dostrzegam smutny przypadek. Prawu temu ja się nie poddam, ja go praktykować nie będę.

— Mówisz pani z przekonaniem, a przecież ile setek przesunęło się już przez twoje życie i zapomnianymi zostało.

— Przez życie, nie przez serce.

— Masz je pani w takim razie dumniejsze, wierniejsze niż ogół.

— Więc przyznajesz pan stopniowanie?

— Nigdy mu nie przeczyłem.

— I nie zdarzyło się panu spotkać dwojga ludzi, coby przeszli przez życie dłoń w dłoń, niezachwiani w przyjaźni lub miłości?

— Gdyby tak było...

— Musiałbyś pan uznać się zwyciężonym.

— Dłoń w dłoń! A czy pani wie, ile razy dłonie te słabły lub zaciskały się kurczem rozpaczy, ile razy wola ciągnęła ich w przeciwnie strony, a ta ręka na której się wspierali, wydawała im się jarzmem ciężkiem. Ludzie nieraz pozostają przy sobie, choć przysły dawno łączące ich uczucia, z przywykniecia, z lenistwa, z obawy skandalu.

— To już niedowiarstwo dla prostej przyjemności niedowierzania. Ale gdybyś pan znalazł niezmiennie uczucie, o którymbyś wątpić nie mógł, uznałbyś się zwyciężonym? Mów....

— Przez grzeczność?

— Cóż znowu! Stawiam pytanie na seryo.

— A więc uznałbym, że... że...

— Że... dokończ że pan. Czy to tak trudno?

— Że wyjątek stwierdza reguły.

Warszawa.

Walerya Marzeńi.



Świat takim będzie, jakim go jutrzejsza kobieta uczyni.

Paryz.

Maryja Czesława Szewowska.





Wojski pragnąc obwieścić myśliwym o zabiciu niedźwiedzia w puszczy litewskiej,  
„Chwycił na taśmiec przypięty  
Swoj róg bawoli, długi, centkowany, kręty  
Jak wąż boa; oburącz do ust go przycisnął,  
Wzdął policzki jak banię; w oczach krwią zabłysnął  
I zagrał...”

Z Pana Tadeusza.



## PLA GŁODNYCH!

Nie znam rzeki ja smutniejszej  
Od naszej Wisłki. —  
Co swe łezki do Warszawy,  
Toczy jak perełki.

Nie płacz Wisło, swej sromoty:  
Ostrzą nasi groty...  
Oj nie długo, w armat pługu,  
Pójdziem do roboty!

Oj kto patrzy w Wisły wody,  
Blade ma jagody;  
W oczach straszny ogień płonie,  
Kurczem ściska dłonie. —

Bo już to w niej jest moc taka,  
Że kto na dno spojrzy,  
Okutego Sybiraka  
W łożysku jej dojrzy!

Wisły wody  
Polak młody  
Spija: gorycz czuje!  
Szkaplerz kropi,  
Olów topi,  
I strzelby próbuje!

Przykląkł młodzian.  
Czoło sklonił,  
I ziemię całował,  
Być Jej wiernym,  
Synem dzielnym,  
Na wieki ślubował.

Lwów.

Marzy.

— ● —

## W ZIMOWY WIECZÓR.

Jechałem na bal. Znużony umysł mój nęciły te gwarliwe, rozbawione tłumy; nęciła ta zabawa, której przyglądałem się chętnie; siedząc samotny w przyćmionym gabinecie, patrzyłem na suwające się pary i lekkie jak senne widziadła kobiety, migocące blaskiem drogich kamieni, rozsiewające dokoła subtelne wonie i uśmiechy! Lubilem tę muzykę, co płynęła z sali balowej szaloną kaskadą namiętnych tonów... Droga nieznośna! Co chwila sanki wpadały w wyboje, wiatr hulał mi za kołnierzem, mróz szczypał bezkarnie, obezwładniając wszystkie członki. Daremnie wyglądałem z upragnieniem resursy — jechałem bardzo wolno; obok mnie przelatowały ręce konie, mknęły powozy, ja tylko jeden pozostawałem zawsze w tyle, cel mój zdawał się być nieosiągnionym. Woźnica ciągle przynaglał swoją szkapę, a mnie zdawało się, że co parę minut robimy krok jeden. Stanowczo byłem zły i straciłem wszelką cierpliwość! — Człowiek wydawał mi się bezecnym, dla konia nie miałem dość energicznych słów na wyrażenie mojej pogardy.

Myślałem już zakląć głośno a dobitnie, lecz ujrzałem jaśniejący gmach sali balowej i od razu straciłem wszelki żal do konia i do człowieka. Gdy wysiadłem, ogarnął mnie dobry humor i dając mu hojnie na piwo, wyrzekłem, otrzepując się ze śniegu:

— Nie bardzo mnie dobrze wiozłeś bracie... no! ale masz — tu będzie i dla ciebie i dla konia... może z powrotem lepiej mnie powiesziesz...

Chciałem odejść lecz wiatr rzucił mi w twarz ogromny tuman białej kurzawy, kapelusz spadł mi z głowy, zachwiałem się na nogach — pomógł mi człowiek, którego przeklinałem przed chwilą. W jaskrawem świetle latarni twarz jego czerwona od wiatru z oszronionymi rzęsami, z dużą rozłożystą brodą, z jakimś łagodnym pocziwym wyrazem uśmiechała się szczerze i dobrotniwie — uśmiechnąłem się do niego nawzajem.

— A będziesz tu na mnie czekał? nie odjedziesz?...

Machnął ręką.

— A gdzie mam odjeżdżać?... Che, che! Tam panowie bawią się, a my tu musimy stać i czekać... Tak zawsze bywało...

Zaśmiał się z cicha, spojrział w niebo iskrzące się gwiazdami i mruknął jakby do siebie:

— Tęgi mróz dzisiaj!... tęgi!...

Słychać było w słowach głęboki podziw dla tego mrozu, który umie być tak nieubłagany, a po za tym podziwem i poddaniem się przemożnej sile dźwięcząca tęskna skarga jakaś... Zawrócił powoli chudą szkapę, zachrzęścił śnieg pod płozami skrzypiących sani, na ich czarnym wytarzonym grzbiecie mignęły białawe cyfry numeru, a po chwili zniknął mi z oczu... W duszy mojej powstało jakieś niewyraźne smutne uczucie i długo snułem się z niem wśród migotliwych tłumów, owiany duszną atmosferą łaźni, wśród tych niepochwytnych gwarów i szelestów, jakie wyrzuca z siebie każde zbiorowisko ludzi!

I były dziś wstętnie dla mnie te jaskrawe twarze bachantek, ten bezwstyd nagiego ciała, ten zapach, co zmysły odurzał... Zapragnałem choć na chwilę usunąć się od rozbawionej zgrai i poszedłem na zupełnie puste galerye. Chłodne powietrze wpadało otwartymi oknami, gdzieś w przeciwległej stronie muzyka grała smętnego walca — wyjrzałem przez okno. Wiatr ustał, niebo iskrzyło się gwiazdami; szafirowe, przejrzyste, ogromne było w swym spokoju!... A na dole w złotych promieniach światła gazowych, szarzał wielki łańcuch równo ustawionych powozów; dalsze ogniwa tego łańcucha tonęły w mrokach zupełnie, zlewały się z niewyraźnym tłem ulicy. Gdy muzyka cichła, gdy tłum przestawał szumieć, dolatywało mnie stamtąd rzenie koni i jakieś stłumione echa przyciszonych rozmów, podobne do mruczenia sennego olbrzymia... Tam były setki ludzi, którzy musieli czekać na rozbawione masy — bo tak było zawsze... Czy będzie?... Spojrzałem w niebo: szafirowe, ogromne drżało tysiącami gwiazd migotliwych, a w tem drzeniu zdawało się spadać na ten drobny punkt zawieszony we wszechświecie, tonący w mrokach i półcieniach...

Warszawa.

Helena Miaczyńska.



Piołunów sznurek naniże długi,  
Kto rad oddaje bliźnim przysługi.

Zofia Kellera.

Warszawa.



## WIARA W OJCZYZNĘ.

Przy dzisiejszym systemie wychowania, siła jedna, jedno uczucie pozostawia się martwym w dzieciach naszych.

Tą siłą, tem uczuciem jest wiara.

Wiara w Ojczyznę!

Tej wiary nam brak. Bez niej pozostaniemy bezsilni i mali; nią przejęci, spotężniemy, wzrośniemy na duchu.

Potrzeba nam wiary!

Wszystkim bohaterskim czynom, każdej wielkiej myśli, w urzeczywistnieniu onej przewodniczyła wiara.

Czyżby Leonidas zwyciężył pod Termopilami czyżby Kolumb, mimo tysięcznych przeszkód dotarł do Nowego świata, gdyby nie posiadali obaj niespożytej wiary?

A tych dwunastu rybaków, ubogich a prostych, czemże zdobyło świat dla ukochanego Mistrza? — Wiarą w boskie jego pochodzenie.

Wiara głęboka i prawdziwa jest sama w sobie potęgą tak wielką, iż pobożny filozof drży na myśl, jakieby spustoszenia uczynić mogła w świecie, do przewrotnych użyta celów.

Matki polskie! W waszej jest mocy uzbroić w tę potęgę dzieci wasze.

Wszczepiajcie w nie wiarę w przyszłość Ojczyzny.

Uczcie je modlitw za Ojczyznę!

Niech codzien powtarzają z Wami akty Wiary, Nadziei i Miłości!

Wiary: w przyszłość Polski; Nadziei: że zdołają pożytecznie Jej służyć; Miłości: gotowej nieść życie w ofierze dla tej Świętej Pani.

Układajcie same te modlitwy, bądźcie twórczyniami katechizmu, zawierającego zbiór obowiązków wiernych dzieci Ojczyzny.

A gdy na całym obszarze Polski, dzięki staraniom waszym, rozżarzy się w sercach młodzieży wiara taka — niespożyta, niczem nie zatarta — wówczas staniemy się silni i pewni siebie. Nie skorzy do niewczesnych

porywów — staniemy do apelu, gdy godzina dobrze obmyślonego czynu wybije...

Sztandar Leonidasów i wszystkich tych, co z wiarą zwyciężali, i nad nami powieje.

Zofia z Wróblewskich

Nilkowska.

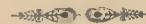
Genewa.



Niebo rodzinne, Ziemio ukochana, Ojczyzno moja! do Ciebie tęsknię od chwili, jak myśleć i czuć zacząłem. Myśl o Tobie zachęca mnie do pracy. Nadzieja służenia Tobie osładza tęsknotę.

Genewa.

Hanna Nilkowska.



Cel, zasady i wola: oto własności, których posiadanie stanowi moralną istotę człowieka.

Cel — bo bezcelowość odejmując ochotę do pracy, łamie energię.

Zasady prostują nam drogę życiowego pochodzenia.

Wola silna i nieugięta łamie przeszkody, czyni człowieka nieugiętym i stałym w obronie własnych przekonań, doprowadza do wytkniętego celu.

Pracujmy nad wyrobieniem w sobie silnej i nieugiętej woli.

Genewa.

Helena Nilkowska.



Głód jedych doświadcza miłości i sprawiedliwości drugich.

Lwów.

Wanda Modzelewska.



## Kto kocha.

Szczęście dać może miłość wielka, cała, która ogarnia wszechświaty. Bo tylko ona jedna doskonała. Szczęśliwy kto w nią bogaty!

Sucha.

Franciszka Nowakowska.







## NA STANOWISKU.



Wiedzieli nad brzegiem rzeki na stosach belek tam, gdzie zwykle siadywali. Gwar dnia umilkł, aż umilkł zupełnie, dokoła robiło się coraz ciszej, coraz ciszej i ciemniej. Wieczór zapadał powoli. Przeźroczysty zmierzch pełen niedogasłych blasków owijał ziemię, tłumiał jaskrawe barwy, zaokrąglal kontury przedmiotów. Rzeka pod nim ciemniała, część jej powierzchni której szarżająca coraz bardziej osłona mroków nakryć nie zdołała jeszcze, mieniła się srebra polyskiem, złote smugi światła rozpalaly się na niej, drgały, i gasły ciemniejącą nakryte falą... Ostatnie blaski dnia skonaly, ostatnie jaśniejsze barw odcienia wsiąknęły w szary mrok. Przez chwilę było ciemno... Augusta deklamowała. W powietrzu cichem, napojonem świeżością wieczora, brzmiał jej głos dzwiczny, melodyjny:

Czemu ta przepaść, która braci dzieli  
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli,  
Tak jest bezbrzeżną?

— Czemu?... pytała smutna...

Maurycy pochylał się ku niej i dziękował gorąco. Helena słuchała, patrzyła na piękną głowę Augusty, skąpaną teraz w strudze srebrnego światła, widziała jak blada jej twarz płonila się od słów, które młody szeptał i szczęśliwą była jej szczęściem.

Wysyłając wzrok stęskniony daleko przed siebie w wieczorne mroki, przetkane nitkami księżycowego światła, powtarzała za Augustą nadziei pełna ostatni wiersz:

Wszak tylko światło zwycięża otchłanie!..“

— „Tylko światło!“ powtórzyli wszyscy troje.

Mówili o owej wielkiej chwili, kiedy zwycięski, a jasny dla wszystkich rozbłyśnie świat.

Tymczasem pracowali dla jej przyspieszenia.

One były nauczycielkami i całe masy biednych, żydowskich dzieci wiodły do światła; on miał być lekarzem i wypowiadał walkę drugiej niszczącej sile: chorobie.

Wtedy? — — Wtedy życie leżało przed nimi pełne wzniosłych zagadnień i świętych obowiązków, w sercach płonęło miłości tak wiele i wiary, że starczyło jej na objęcie całego świata, na podniesienie i rozgrzanie mas cierpiących i biednych — świat roił się od wielkich, szczytnych ideałów, a ku nim wiodła droga życia prostym, jasnym szlakiem.

Dziś?

Parę lat ledwie minęło...

Na piaszczystym brzegu tak samo, jak wtedy, stosy sterczały belek. Jak wtedy rzeka płynęła cicha, odbijając na swem ruchomem zwierciadle drzew gałęzie i niebos błękitny... tylko ich trojga nie było. Augusta poszła w świat z cudzym, niemiłym sobie człowiekiem i pisała Helenie:

...Wierz mi, jestem starsza i doświadczeńsza, głupstwem są wszelkie marzenia i porywy młodości, rozpryskuje się to jak bańka mydlana, przeznaczeniem naszym przecieź jest tylko małżeństwo... a utrzymanie, byt materyalny, jaki mężczyzna zapewnia kobiecie to grunt — reszta?... to głupie mrzonki niedowarzonych głów... Zobaczysz, za rok, za dwa tego samego będziesz zdania...“

Maurycy był lekarzem, skutecznie walczył z chorobami, trapiącymi ludność brudnego, ży-



dowskiego przedmieścia i królował tu w swych pysznie urządzonych apartamentach. Biedacy cisnęli się do niego, on — dawno wytrzeźwiony z swych młodzieńczych uniesień, przyjmował ich z wyciągniętą ręką:

— *Ot ir Geld, zuerst zahlen* — targował się w żargonie.

Na stanowisku została tylko Helena. Błada, znękana niosła w rękach oświaty pochodnię, choć płomień złoty smażył i gryzł jej palce, nie upuściła jej — — pracowała na jasny świt, pewna, że „światło zwycięża otchłaniać.“

Kraków

E. Mirowska.

## Sprawa honorowa.

Do białym śniegu muskały blade promienie księżycy, a w dali czerniała ściana sosnowego boru, przez którego poprzecinane luki wiatr świszczął dziwnie złowrogo. — Z dwóch przeciwległych stron wysunęły się jednocześnie sanki, mknąc cicho, bez najmniejszego szelestu ku sobie. Zdawało się, że jakaś niewidzialna siła je porusza, nie dźwięczał bowiem wesoły dzwonek, — po lekko zamarznętym zaledwie śniegu nie słychać było stukotu kopyt końskich, — sanki mknęły jakby dwa złowrogie duchy.

Pod sosną osamotnioną, wysuniętą na przód lasu, sanki jednocześnie się zatrzymały. Z każdego wyskoczyło po dwóch młodych ludzi, którzy zostawiając bogate niedźwiedzie szuby, brnęli w lekkim ubraniu po śniegu.

Zbliżyli się do siebie, w milczeniu podali sobie dłonie, a nie przemówiwszy i słowa, poszli w głąb lasu na pobliską polanę. Cisza złowroga zawisła w powietrzu, księżyc świecący dotąd bladym światłem, nagle poczerniał, przypatrując się przybyłym wykrzywioną ironicznie pyzatą swą twarzą.

Dwaj z przybyłych byli jeszcze bardzo młodzi, szli jednak naprzód z dziwną obojętnością, tuż za nimi dwaj nieco starsi postępowali z taką powagą, jakby losy całej ludzkości spoczywały na ich barkach. Po chwili jeden ze starszych zatrzymał się i odchrząknawszy, począł z namaszczaniem:

— Panowie! obowiązkiem moim, jako świadka nakłonić was do zgody: rzecz tak błaha nie wymaga rozlewu krwi...

— Bić się będziemy! przerwał stanowczo jeden z owych obojętnych.

— Daliście dowód, iż nie lękacie się pojedynku, przybyliście na plac boju śmiało, — począł drugi ze świadków. Sprawę honorową możnaby zakończyć innym sposobem...

— Sprawa honorowa krwią tylko może być zmyta, przerwał drugi z idących naprzód, a po jego młodej, bardzo młodej lecz bladej i zmęczonej twarzy nerwowe przebiegło drganie.

— Więc nic nam nie pozostaje?.. zapytał świadek.

— Jak wyznaczyć metę, przerwał jeden z mających się pojedynkować.

— W takim razie: raz, dwa, trzy,... począł świadek, odmierzając kroki, gdy tymczasem drugi wyjmował z pochwy pistolety.

— Wilki! ozwał się donośny głos z sanek, a konie rwać się niespokojnie i prychać zaczęły.

Odmierzający kroki jednym susem dopadł sanek, drugi świadek nie dał się wyprzedzić, dwaj zaś nieprzejednani przeciwnicy pierwszej jeszcze niż świadkowie stali na sankach, a jeden z nich wołał:

— Marcinie, co konie wyskoczą!

Marcin nie dał sobie powtórzyć, sanki mknęły, iż zda się, żaden wilk nie byłby zdolny ich doścignąć.

— Pędzisz wprost na całą gromadę! — ozwał się cichy głos z sanek, wskazując maleńkie światełko wśród czerniejącego zdala punktu.

— To chałupa, — wilki za nami i ot. tam, na lewo! — ozwał się Marcin, wskazując na czarną, wśród śniegu zdającą się poruszać masę.

— Wal do chałupy! ozwał się znów głos z sanek.

Marcin rozpuścił lejce, konie w szalonym pędzie dotykając brzuchami śniegu, w kilkanaście minut wpadły w małe rozgrodzone podwórko; młodzi ludzie nie troszcząc się o stangreta i konie, tłoczyli się jeden przez drugiego w niskie drzwi chaty. — Dym jakiś gryzący i zgniłe cuchnące wilgocią i brudem powietrze uderzyło ich zaraz od progu. Nie zważano na to, wołając:

— Hej, jest tam kto?!

Żaden głos nie odpowiedział, — kilka zaś okopconych głowni tlejących w kominie i dym włóczący się po izbie, nie dozwalał im rozejrzeć się po jej wnętrzu.

— Ależ to jama! ozwał się któryś z przybyłych, a pochwycając głownię z komina zaczął się rozpatrywać w tymczasowym przed wilkami schronieniu.

— Psy lepsze mają schronisko! wołano. — jak tu przebyć do rana.

Ciche kwilenie i jęk ozwał się z kąta izby...

Skierowano tam tlejącą głownię, ktoś sobie przypomniał, że ma zapałki. Przy ich świetle w najciemniejszym kącie ujrano rozciągniętą na resztkę przegniłego barłogu kobietę z niemowlęciem u piersi i dwoje kilkoletnich wynędzniałych dzieci. Dalej pod ścianą o zsiniałej twarzy i rozwartem oku leżał mężczyzna...

— To jakaś zbrodnia! — zawołał jeden z przybyłych.

— To głód! ozwał się Marcin, który przyszedł za panami do chaty.

Młodzi ludzie spojrzeli po sobie.

— Trzebaż ich ratować! — ozwał się któryś.

— Temu cztery deski a trzy łokcie ziemi ino się już należą, — rzekł Marcin, a odstąpiwszy od trupa pochylił się nad barłogiem, gdzie leżała kobieta z dziećmi.

Panowie ciekawie lecz nie bez wstrętu na nieszczęśliwych spojrzeli.

— Żeby tak trochę zaświecić, — rzekł Marcin, — możeby się dało im jako pomódz.



Przybyli mimowolnie zaczęli spełniać żądanie Marcina, — zapalano więc zapalki jedna po drugiej, szukając, czemuż można izbę lepiej oświetlić.

Marcin tymczasem znikł, a dzieci na barłogu kwilić poczęły.

A gdzież go diabli wzięli! syknął niecierpliwie chlebowodawca Marcina.

W miejsce odpowiedzi usłyszał kichanie i krztuszenie się wśród dymu krzątających się towarzyszy.

Zjawił się też i Marcin.

— Nie przydało się na zgodę, przyda się dla głodnych, — rzekł, nalewając w przyniesiony wraz z butelką kieliszek złotawego płynu. Poczem podniósł głowę kobiety i wlał wino do jej ust spieczonych.

Kobieta przełknawszy wino, westchnęła, Marcin zajął się kwilącymi dziećmi.

— Cóż to za nędza, syknął któryś z panów.

— Ba, — siedzi ona tera w każdej chałupie! mruknął Marcin.

Młodzi ludzie znowu spojrzeli po sobie. — Nieprzejednani pojedyńkowicze sięgnęli do bocznych kieszeni i... wyjąwszy pugilares, złożyli barwne papierki na ręce świadka, uściskawszy sobie w milczeniu dłonie.

— Jak się rozwidni, sprowadź doktora i żywność! zawołał właściciel sanek.

— Ii, — możnaby i z a r a śmignąć po kaszę i okrasę, — wtrącił Marcin, patrząc na migocące przy świetle łuczywa papierki.

— Jedź, ja zostanę! — rzekł mu pan.

— I ja z tobą! dodał pojednany przed chwilą przeciwnik.

— My z Marcinem po pomoc! zawołał świadkowie.

— Przyniosę butelki, nie będzie panom tak kuczno, — rzekł Marcin, — a potrochu trza wlać i tym niebożętom, dodał odchodząc.

O świcie chata była zaopatrzona we wszystko, co potrzeba do życia, nieboszczyk wyniesiony, około kobiety i dzieci krzątał się doktor.

W kilku pobliskich chatach, dzięki papierkom godzącym honorową sprawę, płonął wesoły ogień, a wynędzniałe twarze mieszkańców świeciły radością.

A wilki?

Dziwna rzecz, ani siedzący na drugich sianach Paweł, ani nikt a nikt w okolicy zgoła tej nocy wilków nie widział.

Warszawa.

S. Morawska.

Nieprzejrzana równina, pokryta białym puchem śnieżnego całunu... nad nią w bezbrzeżnych przestworach zamieć igieł lodowych, a w ich kryształach migoce promień księżycy, bładą uwieńczonego koroną.

Przyrodzenie wydaje się zwycięsko piękne w tém złodowaceniu!

Ostry podmuch mrozu ubezwładnił naturę, porwał wszystko w bezlitośny uścisk martwoty... oniemienie przyrody przeraża jakoś duszę...

Czy wymarł świat cały? czy sama jestem jeszcze istotą żyjącą?

Ale oto wyrwa mię z odrętwienia ponury jakiś odgłos... od strony lasu daje się słyszeć rozpaczliwe beznadziejne wycie: głód wypędził wilczycę mroźnej nory... Wycie jęczy, urywa się niby pytaniem: „gdzie, dokąd się udać?!“ To wycie wilka, zgłodniałego wilka! a jednak na jego odgłos serce rwie się w kawały... myśl zaś szepce: „on głodny... biędne głodne stworzenie!“

\*

\*

\*

Prawie tak blisko jak las ów w morzu śnieżnem zatopiony... nie daleko od nas tyśiące istot ludzkich dotknęła klęska głodu...

Starców, kobiety, niemowlęta szarpia straszliwe kurcze głodowe — ich usta spalone łakną okruszyn chleba, ale w wieśniaczej komorze oddawna już ostatnie ziarenko, ostatni pyłek mąki wyszukano... W mękach śmierci głodowej żądają chleba, błagają współbraci o życie... Czy wielu usłyszysz ten jęk, nim zamrze on w bezsilnem wołaniu?... Czyżby miał on budzić mniej współczucia, mniej przerażać serca ludzkie od wycia zgłodniałej wilczycy?!...

Bukareszt.

Zofia Nadejde (Nadeżda).



## BEZ CHLEBA.

Splowiała swiątą osłonił ramiona,  
W dłoń twardą ujął kij gruby, sękaty, — —  
A pierś -- koszulą zgrzebną osłonią :  
Z całej chudoby plon niesie bogaty:  
Mały obrazek częstochowskiej Matki  
I zasuszone — od dziewczęcia kwiatki.

Na progu chaty stanął zadumany;  
Straszliwa rozpacz poszarpała serce!  
On dzisiaj rzuca ten kąk ukończony,  
Za chlebem pójdzie, w strasznej poniewierce  
Zarobku szukać, którego mu miła  
Ziemia ojczysta w wiosce odmówiła.

Daremnie czysty plon rzucał na role,  
Stwardniała ziemię rozorywał pługiem;  
Ona czerwone rodziła kłakole. —  
Bławatów kwiaty cingnęły się smugiem...  
Lecz choć modlitwa szła w niebo ofiarna,  
Z roli złotego nie pozbiarał ziarna.

Gdy białym śniegiem przypruszyła zima  
Zmrożone pola, łąki i zagrody,



W pocie się czoła ciężkiej pracy ima  
I kopie łąki — i sprowadza wody;  
Błysnęło słońko weselęj na niebie,  
Lecz powódź płucze plon na wczesnej glebie.

Wiatr mu rozerwał dach słomianej strzechy,  
Bydełko padło wśród skwarne lata;  
Czyż Bóg za ojców pokarał go grzechy...  
Czy winą jego naznaczona szata:  
Nie wie — i w bólu, opuściwszy ręce,  
Wił się jak robak w strasznej ducha męce.

Mróż owiał kości, dreszcz piersi przenika,  
Nędzarz się łamie, jak targany burzą  
Dąb ponad drogą. Żadnego promyka  
Ciemnie w około ponure nie wróżą:  
Straszną nocą dusza osłonią,  
Próżno w męczarni wiję się — nie skona.

Jak liść burzami oderwany z drzewa —  
Zbłąkana gwiazda upadła wśród nocy, —  
Wicher, co pieśni swe po polach śpiewa,  
Tak ów samotny!... Zbrakło w piersi mocy  
Do tej pielgrzymki poprzez życia głogi,  
Co ostrym cierniem pokaleczą nogi.

Gdzież on się schroni, by widmo przeszłości  
Nie doścignęło bezlitośnym tchnieniem...  
Cóż z sobą pocznie, by echo miłości  
Nie omroczyło duszy jego cieniem...  
Gdzież jest ten kącik, w której stronie świata,  
Gdzie go utuli dłoń druha lub brata?

Lecz mniejsza o to, jakie tam tułacza  
Popłynie życie... Jakie widma czarne  
Gonić go będą... On tylko rozpacza,  
Że przeszłość brała daniny ofiarne  
Chciwie od niego — i wznosi do nieba  
Modły, — by nadal nie zbrakło mu chleba.

Poznań.

Helena Neyman.

## PROBNE CEGŁY.

Bracia! ach! rzućcie samobójcze noże!  
Czyż nikt dziś zgonu doczekać nie może?  
Czemu umykać przed trudem i pracą,  
Wszak tylko bólem dusze się bogacą.

Bracia słuchajcie — baśń opowiem starą,  
Niegdyś z dziecięcą słuchałam jej wiara,  
Bo w baśni gminnej często prawda żywa  
Jak perła w fali na dnie się ukrywa.

„Przed wieków setką — był mistrz nad mistrzami;  
„Co z drobnych cegieł gmach stworzył wspaniały;  
„Szczyty lekkimi — upiękzył wieżami,  
„Nie szczędził ozdób na gmach wiecznotrwały.

„Ale niebawem cegielkom się zdało,  
„Że podłe miejsce w budowie zajęły,  
„Że im się trudów zbyt wiele dostało,  
„A oczy mistrza na szczytach spoczęły.

„Więc chociaż wola Twórcy je przykuwa,  
„I wiąże z sobą, u budowy łona,  
„Jedna po drugiej cegła się usuwa,  
„I wstrząsa gmachem... i w przepaściach  
[kona.

„Biedne cegielki! — czyliż zapomniały,  
„Że szczyt choć zdobny, ale i nietrwały.  
„Że tylko cegła jest budowy duszą,  
„Gdy ona padnie, gmachy runąć muszą!“ —

O Bracia moi! czyliż wy nie wiecie,  
Żeście cegłami w budowie wszechświata  
Na wspólną dolę — czyż przeczuć możecie,  
Jakimi węzły mistrz wielki was brata.

Więc się niewolno usuwać bezkarnie  
Od wspólnych trudów i ginąć tak marnie,  
Bo mistrz, gdy ujrzy nietrwałość budowy,  
W prochy was zetrze i gmach stworzy nowy!

Kair.

Anna Neumann (Kałina).



Wiele już uczynionem zostało w dziedzinie pracy kobiety, lecz jakże wiele do wykonania jeszcze pozostaje!

Gdy słyszę głosy rozprawiające o emancypacji niewiast i wyższym ich kształceniu, w prostocie i pokorze ducha wołam z głębi serca: „O, panie, daj nam w pierw odrobinę zdrowego rozsądku!“

Ponętną, zaszczytną jest droga nauki, okupiona nieraz zdrowiem całego życia, nieraz życiem całym, przez te nawet, co wchodzą na nią z odpowiednim uzdolnieniem, lecz w tem to właśnie uzdolnieniu tkwi zdaniem mojem, jądro całej sprawy.

A więc faktem jest, że wpatrzone w świętą gwiazdę wiedzy i umysłowego światła, zachęczone powodzeniem, głośnie sławą i uznaniem rzetelnej pracy społecznej, zdobytymi przez jedne lub kilka ich towarzyszek, kobiety tłumnie i rojnie spieszą ku tej gwiazdzie, nie obliczywszy w pierw ani sił swoich, ani zdolności.

Stąd tysiące nieudolnych nauczycielek, a taki brak kobiet, któreby umiały porządnie i systematycznie kierować zarządem domu.

Stąd tysiące zapoznanych mądrości, które przeszły przez życie, nie zaznajomiwszy ani jednego ubogiego dziecka z abecadłem i piórem.

To ostatnie jest bodaj najsmutniejszym objawem.

Sięgamy po rzeczy wyższe, dla maluczkiej tylko garstki nie kobiet już, lecz ludzi w ogóle, dostępne, a pomijamy pozorne dro-



biazgi doczesnego życia i pozostajemy obce najszlachetniejszym prądom chwili obecnej.

Gdyby każda z nas, najpierwszém i najważniejszém. — nawet w obec tak ważnej kwestyi, jaką jest zamążpójście, — zadaniem swego życia uczyniła wyuczenie dwojga tylko dzieci ubogich czytania i pierwszych zasad etyki, ileżby biedne społeczeństwo nasze utraciło przez to ciemnych, narodowości nawet swój nieświadomych, ludzi.

Gdyby każda z nas, stojąca na straży domowego ogniska, mniej czasu poświęcała od czytaniu błahych oryginałów zagranicznych powieści lub ich przekładów, a bardziej systematycznie wertowała książeczkę domowych swych wydatków, o ileż mniej posiadalibyśmy może bankrutów majątkowych — i hańbą przez to bankructwo okrytych głów obywateli.

Gdybyśmy zamiast bujać w sferach marzycielskiej, niepochwytnej miłości, głęboko do serca wzięły najważniejsze potrzeby chwili bieżącej i serdeczną miłością ukochały tych maluczkich, ciemnych, którzy jednak są krwią krwi, kością kości naszej, ileżby prawdziwie obywatelskich, choć skromnych czynów naszych z miłości tej wypłynęło!

Gdybyśmy jeszcze i dla tych, którzy od wieków na ziemi naszej przebywając, mową i obyczajem obcymi dla nas pozostali, a z dniem każdym coraz bardziej obcymi stawać się będą, albowiem uobywatelonych już i na równi z nami ziemię naszą kochających, zbyt często, zaiste, pogardą i nienawiścią odtrącamy, gdybyśmy tedy i względem tych obcych, a przecie od wieków swoich, braterską życzliwość i pomoc, słowem, czynem, przykładem okazywały i szerzyły, o ileż prędzej społeczeństwo nasze bardziej jednolitem, a więc i potężniejszym staćby się mogło!

A więc, wyjątkowo tylko i w razie istotnej możności ku zaszczytnym i słynnym wyzynom, lecz tłumnie i rojnie na skromne doliny, gdzie powszednie troski, żmudne, monotonne prace nas czekają — śpieszmy. A igłę czy szydło, miarę czy wagę, rachunkową księgę, czy też wodze nauczycielskie w dłonie swe ujmniemy — każde z tych zadań czynimy ochotnie i skrupulatnie, a przedewszystkiem wytrwale i systematycznie i z okiem ku wyższemu celom sięgającym. Cześć tym, których imiona jaśnieją w świeczniku ludzkości, lecz szacunek i uznanie tym także, które z kroplą wiedzy zbliżają się ku maluczkiemu i od ożywczego źródła światła odtrąconym, — któ-

rych żywot pracy fizycznej poświęcony — nie pozbawionym jest przecie jasnych promieni — niesienia społeczeństwu swemu pracy uczciwej i roztropnej.

Grodno.

Maryja Obrębska.



## MISERICORDIA

CZYLI

BRACTWO MIŁOSIĘDZIA.

(Wyjątek z obszerniejszego studyum).

Włochy przechowały niejedne instytucje z wieków średnich. Organizacja tych instytucji jest wielce ciekawą i dla człowieka myślącego przedstawia cenne wskazówki społeczne i obyczajowe. Z tego, co się dotąd przechowało, poznać możemy pojęcia i obyczaje ludzi owych, tak bardzo spotwarzonych średnich wieków i zrozumieć ducha, jaki ich ożywiał. Był to duch, który miłością sięgał wysoko w niebiosa i we wszystkich kształtach społecznego bytu, nawet w organizacyi miłosierdzia przypomina wieżyczki, rozety, szkarpy, figurki i owe tysiące drobnych, ornamentalnych szczegółów architektury gotyckiej! Owcześni ludzie byli przedewszystkiem ludźmi fantazyi i siła ich twórcza, nawet przy spełnianiu czynów miłosierdzia, wyraziła się w formach pięknych, przysłonionych urokiem niezgłębionej i niezbadanej, a więc przerażającej tajemniczości.

Organizacja jednej z tych instytucji miłosierdzia pokaże nam głęboko pocztą potrzebę obrzędów i symbolów. Była ona istotną i nic w jej objawieniu się nie było sztucznego, skoro nawet czyny z serca płynące i miłosierne wzruszenie na widok nędzy i cierpienia wyrażało się u ówczesnych ludzi z okazyłością obrzędową.

Ale zobaczymy, jak dziś wygląda bractwo, które najmniej uległo wpływowi czasu i najwierniej przechowało dawne formy.

Niejednym z cudzoziemców, zwiedzających Florencyę lub Pizę, ze zdziwieniem spotykać musiał na ulicy pojedyncze przesuujące się postaci, w długą, czarną, zakonną suknię przyodziane, z różańcem u pasa i kapturem na głowie, od którego nisko zwieszająca się zasłona z dwoma na oczy otworami zakrywa twarz całą. Postaci te, w głuchym milczeniu zbliżając się do przechodniów, potrzęsaniem skarbonki proszą o jałmużnę.

Więcej jeszcze zwraca uwagę widok procesyi, w której kilkunastu, lub więcej owych zakonników niesie w pośrodku siebie do szpitala chorego, złożonego w Cataletto, pokrytem czarnem sukniem, lub umarłego pod całunem, ze świecami w ręku do pośmiertnej izby, a z pochodniami na cmentarz, wyłącznie do nich należący.

Niemym ten pochód, żałobnym kirem mistycznie powleczoney — bez śpiewów, bez głośniejszej modlitwy, smutno i bojaźliwie ustraja wyobraźnię.

Rzeczy można, że się widzi złe duchy, niosące swą ofiarę w bezdna piekielne, a przecie te złe na pozór duchy tworzą jedną z najszczytniejszych i najużyteczniejszych instytucji miłosiernych, jakie kiedykolwiek istniały w Europie.



Jeszcze w 1357 r. 23. lipca powstała ona we Florencyi.

W 1425 r. w tym samym duchu utworzyło się drugie stowarzyszenie pod nazwą „Misericordia“ z wielkim pożytkiem ogółu, szczególnie w czasie zarazy, niejednokrotnie nawiedzającej Włochy.

Nie ma instytucyi, któraby tyle pożytku przyniosła Florencyi, jak to stowarzyszenie w czasie strasznej morowej zarazy, kilkakrotnie od r. 1499 do 1509 nawiedzającej Toskanią.

Druga podobno kłeska nawiedziła to miasto między 1522 a 1528 rokiem. Był to mór jeszcze straszniejszy od poprzedniego, zabrał bowiem 60.000 ludzi na tamten świat. Członkowie Misericordii w czasie téj ogólnej kłeski odznaczyli się prawdziwym heroizmem, również jak w czasie zarazy, srożącej się w 1630 roku.

Jak zawsze w takich razach, byli oni i wtedy przeznaczonymi do przenoszenia ciał zmarłych na cmentarze. Chorych zaś na zarazę przenosili do lazaretów.

Zarażonych odprowadzali do bram miasta. Skoro tylko Towarzystwo otrzymało bilet z oznaczeniem imienia i miejsca pobytu zarażonego, natychmiast jego członkowie udawali się tam wraz z tak zwanym „Cataletto“, które zwykle bywało niesione przez dwie osoby. Przed „Cataletto“ postępował jeden braciszek z laską i dzwoneczkiem w rękę i dzwoniąc, dawał znać przechodniom, aby ustępowali z drogi.\*)

Szlachetne czyny Braci della Misericordia zjednały im najlepszą u całej ludności opinią. Jak byli popularni, przekonać można się z tego, że W. książę Ferdynand II, jeden z najlepszych monarchów dynastyi Medycejskiej, wychodził sam z pałacu swojego, gdy oni przechodzili i mieszał się z ludem, który im i nieszczęśliwym niósł pomoc.

Gdy w powodu nieurodzajów w 1767, 1816, i 1818 powstały febry zaraźliwe i tyfusy plamiste w Toskani, wielu z braci Misericordii przy ratowaniu chorych, nie szczędząc swego życia, stało się ofiarą swego poświęcenia.

Stowarzyszenie czyli bractwo Misericordii składa się obecnie z 72 tak zwanych przewodzców straży, i z 203 dyżurnych, z 150 kancelarzy i z nieokreślonej liczby kolegów, których nazywają „dobrowolni.“ Wszystkich razem członków w bractwie Misericordii jest około 1.200.

Trudno opisać, z jaką pieczołowitością i miłością prawdziwie chrześcijańską obchodzą się z chorymi i jak zręcznie i delikatnie wkładają ich do Cataletto.

Są to ludzie rzeczywistego poświęcenia, jakiem tylko duch wiary i serce, przepełnione miłością bliźniego natchnąć zdolne.

Nie mogłam nigdy bez głębokiego wzruszenia patrzeć na tych ludzi milezących, cichych i skromnych, którzy chowają swoje oblicze w kaptur czarny i zakrywają je, ażeby przechodzący nie poznali, kto spełnia ten akt czynnej miłości bliźniego. Ten kaptur, ten czarny habit chroni od pychy, w jaką wpadają nawet ludzie dobrzy i szlachetni, gdy ich inni za dobre i piękne czyny przesadnie chwala. Nieraz pod tym kapturem chowa się wielki i bogaty pan, może książę, lub hrabia, spełniający dla miłości Chrystusa obowiązki prostego posługacza. Częściej jednak, niż bogaczy i wielkich panów dopatrzećby

\*) Dotąd ściśle ten zwyczaj przechował się. W takim samym porządku przenoszą się i dziś chorzy z ulicy lub domu, do szpitala, jako też i ciała zmarłych na cmentarz.

można pod kapturami Misericordii ludzi średniej za-  
możności, lub ubogich nawet, którzy, znając z wła-  
snego doświadczenia nędzę i cierpienia, usiłują skwa-  
pliwie zaradzić nędzy i cierpieniom swych bliźnich.

Średnie wieki niestłusznie ogadane zostały i przedstawione, jako wyłącznie czasy fanatyzmu, ciemnoty, egoizmu, rozpusty i rozboi. Ci, co o nich piszą, wyciągając na jaw tylko nadużycia i zbrodnie, zapominają, lub umyślnie pomijają wielkie instytucye, jakie w tych wiekach wytworzyły głęboka wiara i miłość.

Jedną z takich instytucyi starałam się tu skreślić. W tych kształtach społecznego jój bytu mieszkał duch wielki, który, zapaliwszy się płomieniem miłości bliźniego, dotąd nim przyświeca, łagodząc nędzę i cierpienia ludzkie.

U nas, w Polsce, były także podobne instytucye, lecz wyjąwszy téj, którą utworzył wiekopomny Skarga, wszystkie one runęły pod ciosami nieprzyjaciół, którzy, opanowawszy naszą ziemię, z namiętnością szatańską zcierają i niszczą na niej ślady kultury i cywilizacji chrześcijańskiej.

Miejmy nadzieję, że z tych ruin powstaną jeszcze piękniejsze instytucye. Potężniejsza bowiem siła moralna, niż ta przewaga fizyczna, co nas gucie, działa w polskim narodzie — siła ofiary i twórczości ducha, która wyda nowe kształty społeczne, więcej odpowiednie idei Chrystusowej wiary i miłości, niż wszystkie dotychczasowe instytucye.

Malwina Ogonowska.



## Gdzie Szczęście?

**P**iękna, dumna, bogata Cecylja Metella, pragnąc odetchnąć świeżością letniego wieczoru, rozkazała ciemnym Numidom spuścić z ramion pożąconą lektykę i z nięj, na bazaltem usłaną Apijską drogę, zstąpiła. Wnet otoczył ją świetny rój przyjaciół i wielbicieli. Nic bowiem zaszczytniejszem ani pożądanyszem nie było w ówczesnym Rzymie nad gościnność, przyjaźń, miłość spadkobierczyni imienia i bogactw wielkiego rodu Metellów. Niewiele też tam istniało zjawisk tak wspaniałych, jak opłynięta haftowaną Stollą kibić téj kobiety i tak ponętnych jak jój oczy, które blaskiem i pięknocią przewyższały drogie kamienie, rozsiane w misternym dyademie jej złotych włosów. Zaledwie też wychylającą się z purpurowych osłon lektyki, otoczyły ją pełne radości i czci powitania. — Bogini lekką stopą ziemi dotknęła! Szczęśliwa ziemi! — z zapałem i niskim pokłonem wołał podstarzały lecz wystrojony i z konsularnego rodu pochodzenie swe wywodzący Kutiljus Taosus.

Mniej wysoko uredzony lecz bogatszy i młodszy Pomponjusz, ręce na piersi złożył i z miodem w oczach mówił. — Ilekróć widzę cię, Domina, myśl moja wikła się w zagadnieniu, u której z bogiń najszlachetniej zazdrość obudzać możesz: Dyannę bowiem wyniosłością postaci przeniosłaś, Wenere przyćmiłaś wdziękami, a minerwa...



Tu zręczny dworak i ulubieniec panującego Augusta, Pompeusz, patetycznemu Pomponjuszowi mowę przerwał.

— Ziemskie nowiny, o dostojna, miłszymi może ci będą nad niebieskie. Wczoraj przy wieczerzy, u stołu pana Rzymu i świata wiele o twoim nieporównanym dowcipie mówiono, a sam Cezar, — niech wiecznie żyje! — tyle wychylił czar wina, ile twe imię liter zawiera...

— Sławne wielkie, a rzymianom drogie imię! pochwycił uczony Blandus; Dalmacyę i Numidyę Rzym twoim przodkom zawdzięcza, a krew ich zmieszana się w twoich żyłach z tą, która ożywiła najdosłojniejszy na ziemi ród Scypionów.

— Więc z dwu pni tak wspaniałych wyrósł cud świata! — dodał świetny, wesół Haterjus, a najmłodszy, nieśmiały lecz piękny jak Apollo Lucjusz Maniljusz wzdychał i trzymany w dłoni pęk róż obrywając, wonne ich płatki pod stopy jej sypał.

Niby garść dyamentów, Matella rozsypała na cziecieli swoich mnóstwo przelotnych, zalotnych uśmiechów, spojrzeń, ale wzrok jej na żadnym z nich nie zatrzymywał się z upodobaniem lub przyjaźnią i nie zajaśniało w nim uczucie szczęścia. Owszem, około koralowych ust jej bładziło szyderstwo, gdy piękną rękę, ku zachodniej stronie nieba wyciągając, zapytała.

— Czy ani jednego słowa podziwu i zachwycenia nie macie, domini, dla tego cudu natury, który ukazuje się wam w tym świetnie zachodzącym słońcu?

— Gdy na twoje oblicze spoglądam, najjaśniejsza, dla wszystkich świetności nieba i ziemi ślepym się staję, zadeklamował Pomponjusz.

Inni, w zmienionych słowach to samo powtórzyli, poczem światowy Haterjus zapytywał Metellę, czy dobrze czas epędziła na wczorajszej uczcie u konsula Labea; dworak Pompeusz przyciszonym głosem uwiadamiać ją zaczął o najświeższych plotkach obiegających dwór i miasto, w czem ze złośliwym dowcipem dopomagał mu podstarzały Tarsus; uczony zaś Blandus błagał ją, aby raczyła zostać patronką świeżo ukonzonego przezeń dzieła, a piękny, młodzieutki Maniljusz śpiewnym głosem deklamował wiersz, który na cześć jej ułożył.

Tak za powoli i wyniosłe postępującą szli ścięsnioną, gwarną, od strojów błyszcząca, od perfum wonną gromadą, lecz ani z ust jej przychylnego słowa, ani z oczu błysku szczęścia wywołać nie mogli. Owszem, im dłużej znajdowała się w ich towarzystwie, tym widoczniejsze chmury przepływały po jej białem, dumnie wzniesionem czole, tym dalej, głębiej kędyś pod sklepienie przedwieczornego nieba, ku skrajom równiny, świętymi gajami usianej, sięgał wzrok jej burzliwy i smutny.

Nagle, iść nie przestając, mówić zaczęła:

— Daleko więcej niż wysławianiem zalet moich, którego słucham odkąd żyję, ucieszylibyście mię, Domini, gdybyście rozwiązać chcieli zagadkę, która w tej chwili myśl moje udreęca.

Gdy zaś jednogłośnie i żarliwie ją błagali, aby im conajprędzej tej sposobności przypodobania się jej udzieliła, rzuciła krótkie pytanie: — Gdzie szczęście? — Natychmiast z ust otaczających ją mężów sypnęły się odpowiedzi.

— W możności oglądania cię, najpiękniejsza!

— W tak wesółem i wszelkich trosk próżnem życiu jak twoje, ulubienico bogów i ludzi!

— W krwi tak szlachetnej jak ta, która napełnia szlachetne twe żyły!

— W takiej jak twoja sławie, najpowabniejsza z niewiast rzymskich!

— W takim bogactwie, jak twoje, spadkobierczyni numidyjskiego Metella!

— W miłości twojej, o boska!

Odpowiedzi tych wysłuchawszy, po raz pierwszy stanęła i twarzą ku nim obrócona, z uśmiechami, które jak wyostrzone sztylety po całej jej twarzy drgały i migotały, zawołała:

— Jutro... albo nie, na wszystkich bogów! dziś jeszcze przywołam jednego z najuczestniejszych prawników rzymskich i u dołu testamentu mojego napiszę każę rozkaz, aby gdy umrę, tu, na tym miejscu zbudowano dla mnie grobowiec, którego kształtu nie oznaczę — niech sobie nad nim architekci głowę łamią! — lecz żądać będę, aby u szczytu otaczały go wyobrażenia głów oślich albo wołowych...

Słowy tymi głęboko zasmuciwszy swoich cziecieli, lecz nie zdolawszy ich obrazić — bo któż mógłby się gniewać na taką jak ona ziemską boginię! — Metella, ku jednemu z rozsianych po równinie świętych gajów rękę wyciągnęła i znacznie weselęj zapytała:

— Co tam, pod tymi starymi dębami tak wesołego i uroczystego się dzieje? Słyszę gwar wołań i pieśni, widzę wystrojony tłum mężów i niewiast.

Jeden z cziecieli jej lekceważąco podchwycił.

— Jest to zapewne motłoch, który obchodzi święto jednego z gminnych bóstw swoich...

— Pójdę tam! zawołała Metella, może pośród motłochu znajdę z czego się uśmieć, bo oddawna już tylko jawnie lub skrycie poziewam!

Kaprys jej był dla nich rozkazem; więc ze starannie utajoną niechęcią opuścili szeroką, a w tej porze przez świetne towarzystwo napełnioną drogą i szli za nią ścieżkami, które wśród pola wiodły ku wskazanemu przez nią miejscu. U końca orszaku, nad kwitnącymi laktusami i niskimi płótkami bukszpanu sunęła połocona lektyka, przez kilku ciemnych Numidów niesiona.

Wśród licznych, czei bóstw różnego rzędu poświęconych gajów, które olbrzymi Rzym otaczały, ten do najmniejszych i do najmniej ozdobnych należał. Nie było w nim, tak jak w innych rozległych i tajemniczych głębi, drogocennych portyków i świątyń, ani tłumy posągów mistrzowskimi dłońmi rzeźbionych, ani łańców najrzadszych i wonią upajających roślin. Nic, tylko kilka dębów odwiecznych, tak może jak sam Rzym starych, a połączonymi konarami swymi tworzących głębokie sklepienie, pod którym na piedestału grubo z prostego kamienia wyciosanym, wznosił się jeden tylko, może jak te dęby stary, grubo przez twarde znać ręce wykuty posąg niewiasty. Żadnych kunsztów i ozdób, tylko źródółko, które z miękkiej murawy tryskając, srebrnym promykiem wilo się u potężnych pni dębów; żadnych bogactw, tylko nieustannie zmieniające się i ruchome, to ku polu i miastu odpływające, to przybywające od nich gromady ludzi świątecznie ale prostaczo ubranych, z rozmodlonymi i zachwyceniem zdjętymi, lecz prostaczymi twarzami. Były to tłumy prostaków, których jakieś uroczyste i do głębi ich wzruszające święto, od powszednich, ciężkich prac i trosk oderwało. Proste także, tanie, ubogie przynosili tu oni ofiary: wieńce z leśnych i polnych kwiatów, kosze napełnione wonnym rozmarynem, placki owsiane, dzbany z mlekiem i płynnym miodem. Z wieńców wnosząc dokoła posągu barwne, trawami rozczochrane, dziką wonią wybuchające wzgórza, a pod stopy mu sypiąc gałązki



rozmarynu i z czar glinianych białe lub złote płyny rozlewając, starcy, mężowie, młodzieńcy, niewiasty, ogromnym chórem, z którego wydobywały się i śpiewem zawodem szeroko rozbrzmiewały najgoręcej zachwycone i rozmodlone głosy, wołali:

— Anno Perenno! Anno Perenno! Miłośnico biednego ludu, matko karmicielko, bądź błogosławiona! Anno Perenno, z sercem niewieście, a rozumem męża, ze słodyczą gołębiczy, z lwią odwagą, z czynnymi dłońmi, ze stopą chyżą, ze skromnymi ustami, a ognistą mową, bądź błogosławiona! Anno Perenno, przez którą dobrodziejstw życia używamy, bądź błogosławiona!

I ciągle, jak strofa nieustannego hymnu, jak hasło namiętniej chwalby, to imię niewieście i gminne rozbrzmiewało pośród odwiecznych dębów i mnóstwem ech rozbiegało się po polach. Nigdzie żadne bóstwo nie było głośniejsze, rzewniejsza, tryumfalniejsza, nad tę śmiertelniczkę, której pamięć dziś te prostacze tłumy obchodzą. Tuż, tuż prawie, u stóp wyniosłych, wyrzeźbionych, w marmur i złoto ustrojonych pałaców, w których słygnęła i królowała Cecylja Metella, obchodziły one z miłością, wdzięcznością i czcią pamięć i chwałę Anny Perenny.

Starca na uboczu nieco u stóp dębu stojącego, z zadumy wywołało pytanie, wymówione głosem wyniosłym i do rozkazowania nawykłym. — Kimże była ta jakaś, której nieznane nikomu imię tak wychwalacie? Z jakiego rodu pochodziła? Co zasługującego na nieśmiertelną chwałę uczynić mogła?

Starzec podniósł powieki i ujrzał przed sobą postać, bardziej do rozgniewanej bogini, aniżeli do śmiertelniczki podobną. Namiętna chwalba oddawana inną niż ona kobiecie, gniewała Cecylję Metellę; szczere, rzewne, głębokie uczucia, którymi dla tej nieznaną przejętą był ten motłoch, budziły w niej niepojęte, lecz dotkliwe żale. To też dumne jej nozdrza rozdymały się gwałtownie, z oczu wybuchał płomień, a drogą kamieniem nad wysoko podniesionym czołem i barwne hafty owijające królewską kibić, drżały, migotały, płonęły w smudze słonecznego światła, wśród której przed starcem stanęła. Ale on trwogi, ani zdziwienia nie uczuł. Zatrudnieniem jego było wyładowywanie statków, Tybrem od morza przybywających i roznoszenie towarów do bogatych sklepów stolicy; znał więc dobrze jej mieszkańców. A teraz z uprzejmym skinieniem głowy odpowiedział: — Bądź pozdrowiona, najjaśniejsza, poznaję cię, — jesteś córką Numidyjskiego Metella, najbogatszą panią w Rzymie. Jacyż bogowie przywiedli cię w to miejsce, tylko przez biedny lud nawiedzane? Nie wiesz kim była Anna Perenna i czem sobie zdobyła nieśmiertelną chwałę? Nie dziw! Na nieścignionych okiem wyżynach zasiadły córki konsularnych rodów i żaden bóg nie wykrzesał jeszcze takiego promienia, po którymby ich dusze spuszczały się ku nam. Teraz także nie pojmuję, po coś tu przyszła; dla czego mię zapytujesz o to, co nie obchodzi cię wcale. Historia długa jest i nim ją opowiem, może wspaniała jaka biesiada, bez ciebie, clarissima, smutnie wlec się będzie, jak dzień bez słońca!

— To nie, opowiedz ją! Zuchwałym jesteś i innym razem skarciłabym cię srogo! Teraz jednak, mów — rozkazuję!

Z cienia dębowych splotów, w którym widać było krzepką postać i mleczone włosy starca, zaszebrał cichy śmiech, któremu towarzyszyły słowa:

— O, najjaśniejsza, jakżeś ty do Anny Perenny niepodobna, jak niepodobna! Zabawi cię jej historia najpewniej, bo ciekawą jest zawsze rzeczą dowiadywać się o czemś tak do nas niepodobnym, jak ty najjaśniejsza, do Anny Perenny niepodobną jesteś... Jakby ją i ciebie, najjaśniejsza, wcale inni bogowie stwarzali... jakby jej duszę i twoją, niby dwa dzbany różnej wartości i formy wcale innym winem życia napełnionymi były... Ale już dobrze! dobrze! Mówić będę, skoro mi rozkazujesz... i dla czegożbym nie miał, na Kastora i Polluxa! córce konsularnego rodu tej drobnej oddać przysługi?

Szerokie plecy nieco przygarbił, obie ręce, które od pracy przybrały pozór ciemnych i powęzłonych gałęzi, na grubym kiju oparł i mówić zaczął:

— Dawno to było, daleko dawniej niżeli początkiem swoim sięga ród Metellów. Na ubogi lud rzymski zemsta Jowisza wypuściła hyenę głodu. Za co Jowisz mścił się na ubogim ludzie? Czy za jego pokorę i poniżenie? Czy za te gorące strugi potu, którymi on rolę niewdzięczną oblewał? Za twardość rąk spracowanych, czy za serce wiecznych łez pełne? Nikt odgadnąć nie mógł, lecz wszyscy czuli, że cierpią i giną. Darmo, o konsularna córo, malowałbym przed tobą męczarnie głodu, nie zrozumiałabyś nawet najstarszego ich początku, ty, która czujesz się pokrzywdzoną, kiedy ci kuchmistrz podał za mało tłustą przepiórkę, albo barwną nie dość obficie aleksandryjskim sosem oblaną. Oni łaknęli żytnich i owsianych placków tak, jak ty łaknąć możesz chyba nektaru bogów, bo wszystkie ziemskie nektary pijesz tak długo i ciągle, że z młodością na podniebieniu zapytujesz dna swojej czary, gdzie szczęście!...

Kobieta do ziemskiej bogini podobna, która teraz w białych i dyamentami błyszczących palcach szarpała i gniotła bogate wisiory opasującej ją wstęgi, zawołała.

— Ostrą jest mowa twoja, stracze, lecz mądrą. Codziennie wschodzące słońce to zapytanie na dnie mej duszy oświeca i przy biesiadnych lampach zgłoski jego nie gasną, lecz owszem sroczą pałą... Mów dalej, mów dalej! Ostrą jest mowa twoja, lecz mądrą!

— Dawno to było, daleko dawniej niżeli początkiem swoim sięga ród Metellów, ale istniały już i podówczas podobne temu z potęgi i bogactw rody. Te nie cierpiały głodu, bo dla nich codziennie z Sy-cylii, z Afryki, z wysp greckich i wybrzeży Azji przybywały okręty przysmakami naładowane i nigdy pomiędzy nimi nie panowała taka, jak właśnie wtedy szczerą i huczna wesołość. Stara kronika przekazała nam wiadomość o Saturnaljach, które odbyły się w ową porę z niesłychaną przedtem wspaniałością biesiad i strojów. Na Janikulu, Suburze, nadybrzańskich przedmieściach ludzie jak sine mary chwili się, mdleli, ginęli... Na Palatynie ucztą, którą Kwink-cyusz Walerjus obchodził zaślubiny swoje, kosztowała 50.000 sesterce, a podawano na niej sto dań najrozmaitszych i tyleż gatunków wina. Na Janikulu, Suburze, nadybrzańskich przedmieściach ludzie jak sine mary chwili się, mdleli, ginęli. Na Palatynie Klaudya Flawja, Pomponja Apja i inne sprowadzały sobie z Miletu suknie i perły z Koryntu. Na Janikulu, Suburze, nadybrzańskich przedmieściach ludzie jak sine mary chwili się, mdleli, ginęli.

W palatyńskim teatrze grał najsłynniejszy cytarzysta, a upojeni grą jego słuchacze cytrę mu opasali dyamentowym sznurem i w gardło tyle najdroższego z greckich win wleli, aż biedak upił się i długo po-



tem grać nie mógł. Na Palatynie Saturnalje huczały, tańczyły, piły, na Janikulu Anna Perenna rankiem ze snu wieszczego powstała i rzekła: „Skorom takiego snu była godną, więc wrzeczywistość go zmienie! „Śniło się jej, że od hyeny głodu obroniła lud...

— Kim ona była? Starcze, mów prędzej, kim była?

— Niczem wielkiem, clarissima, niczem wielkiem... ot, niech mi wspaniałe uszy twe przebaczą, piekarką ona była, przez całe życie owsiany i żytni chleb ona piekla, dla tego miała zapasy maki... Więc drew uzbierała, płomień roznieciła, wody przyniosła i chleb mięsić i piec zaczęła, a co upiekła, to wnet chyża jak sarna pomiędzy głodnych rozniosła. Spieszyła, spieszyła! Pot oblewał jej czoło i ból dolegliwy zmęczone członki przejmował, lecz ona nie spoczywała, snem zajęczym usypiając wtedy, gdy w czar-nym płaszczu nocny ponikły sine mary; ze świtem dnia wstawała i znów drebka nosiła, ogień nieciła, mięsiła, piekla... Aż dnia pewnego w dłonie z rozpaczą klasnęła... pod cienką warstwę maki ujrzała twarde, drewniane dna swoich beczek. Czy ona nadal tem twardem drewnem głodnych karmić będzie? Czy wieszczy sen jej przerwie się w połowie — niedokończony? Nie; płomieniem z chaty swojej wybiegła i widziano ją, jak boskim wichrem unoszona, wdzie-rała się na Palatyn, z portyku do portyku, z pałacu do pałacu lecąc, wszędzie gdziekolwiek togi purpurą lub stolle złotem świecące spostrzegła, swoje zczerniałe ręce i swój piekarski fartuch nastawiając. Tam jedni, na jej widok ze śmiechu za boki się brali, inni na sługi swoje krzyczeli: „wygnać tę wściekłą oślicę!“ niektórzy zdala już ją ujrawszy, krzywili się jak po hauście octu, lecz byli też tacy, którzy pozwalali, aby ze śmietnisk szczątki ich uczt zbierała, a Kwink-cyusz Walerjusz, mowy jej wysłuchawszy w głębo-kim zamyśleniu, tyle garści maki dać jej rozkazał, ile dań było na jego weselną ucztę i Klaudja Flawja ze swego sznura koryneckich pereł jedną w jej fartuch rzuciła. Nie wiem co tam więcej czyniła Anna Perenna na tych wspaniałych wysokościach, co się z nią działo i jakie cuda czy czary sprawiała; stara kronika prawi tylko, że plecy miała od czarów sine i na wsze stro-ny poranioną duszę, lecz zawsze ręce i fartuch pełne. Snem zajęczym usnąwszy, ze świtem wstawała znowu, drebka nosiła, płomień nieciła, mięsiła, piekla, a co upiekła, to chyża jak sarna pomiędzy głodnych roz-niosła, aż różowe strumienie z rąk jej spływały w pobladłe żyły mężów i niewiast i drobne dziatki, jak w skwarze zwiędłe kwiaty, odkwitły. Tak trwało długo. Nakoniec z wysokich niebios spłynęła jasna, dobra, urodzajna wiosna i Jowisz na jej cuglach ściągnął ze świata hyenę głodu. Nie Jowiszowi je-dnak pierwszemu lud składał dziękczynne ofiary, lecz wielkim tłumem chatę piekarki otoczył. „Anno Perenno! — wołano do niej zewsząd. — miłośnico biednego ludu, matko karmicielko, bądź błogosławio-

na!“ Ale ona, przed lud, który ją tak wysławiał, wyszła znużona i cicha: „Sługą waszą jestem, — rze-kła, — i czyniłam to, co wieszczy sen mój czynić mi rozkazał. Teraz chętnie z tej ziemi zstąpię, bo u wierchołka jej szczęścia już byłam i nic lepszego nad to, com zaznała, posiadać nie mogę!“ Pomiedzy te dęby poszła i w cieniu ich spoczawszy, w boskim zachwyceniu rozstała się z życiem. Wdzięczny zaś lud na tem miejscu posąg jej wzniosłszy, od niepa-miętnych czasów i niezliczonych pokoleń jeden dzień w roku pamięci jej poświęca.

W głębokim cieniu dębów głos prawie niewi-dzialnego już opowiadacza umilkł. Zmrok wieczoru pogasił blaski okrywających Cecylję Metellę dya-mentów i haftów, lecz cóż sprawiło, że czoło jej po-chyliło się nisko, ręce bezwładnie opadły i cała królewska postać zmalęła?

W głębokim cieniu dębów głos przyciszony ozwał się jeszcze.

— Nie znałaś dziejów tych, clarissime! na Bo-gów, zkądżebyś znać je mogła? Kronika, która je przechowała, to pamięć ludu, a miłość, w której Anna Perenna, spłonęła, to dusza świata. Wy, córy kon-sularnych rodów naszych, kroniki tej nie czytacie i duszy tej nie nosicie w sobie. Może dla tego, bo-gom tylko ambrozji zazdrościć mogąc, w dna czar swoich zapatrzone, czytacie na nich wiecznie neod-gadnione pytanie: Gdzie szczęście?

Ona jeszcze nie mówiła nic; milczała, może w czarę swojego życia zapatrzona. Potem szybko podniosła głowę i do burzy podobna, zawołała:

— Numidzi moi!

Wtedy też wierni czciciele otoczyli ją znowu strojnem, gwarnem, wesołem kornem gronem. Lecz ona z pobladłem czołem pomiędzy nimi przeszła i w śród purpurowych osłon lektyki z przed ich oczu znikła.

Na ciemnych ramionach Numidów niesiona, nad łanami kwitnących kaktusów i niskimi płótkami z bukszpanu, mrocznym powietrzem sunęła lektyka, a wierni czciciele z bliska otaczać jej nie przestali. Najśmielszy Popeusz najrychlej zniecierpliwiony, giętkim ruchem dworaka firanki nieco uchylwszy, wzrok ciekawy do wnętrza lektyki zapuścił, a gdy go znowu ku towarzyszom zwrócił, na twarzy jego mało-wało się zdziwienie bez granic. Co on ujrzał! Bogo-wie, co on ujrzał! Tożto ciekawa wiadomość, którą dziś jeszcze po wszystkich pałacach Rzymu roznieśli! Z dyamentami, jak marny piasek u stóp rozsypanymi, ze starganymi włosy i twarzą w dłoniach, piękna, bogata, dumna i uwielbiana Cecylja Metella płakała.

Grodno.

Eliza Orzeszkowa.







# PANNA BERTA.

NOVELLA

PRZEZ

O S T O J Ę.



W bardzo smutne horoskopy stawiano mi w dzieciństwie! Szpetna twarz, krnąbrność i brak wszelkich talentów salonowych skazywały mię na smutną dolę dzieciniego proletaryatu, rekrutującego się przeważnie z nieudałych dzieci w liczniejszych rodzinach. W pośród ładnych wypieszczonych siostrzyczek i kuzynek, którym Bozia dał wszystkie przymioty przyszłych panien na wydaniu, wyglądałam jak nietoperz w gniazdku białych gołąbków! Najgorliwsze szorowanie w środy i soboty nie mogło zmienić zbyt śniadłej cery, płaskiego nosa i ust szerokich od ucha do ucha!

Służba opowiadała nieraz, że mię zamieniła cyganka... Ach, jakże często rozmyślałam o tój zamianie, siedząc wieczorem, w kącie, za dużym zegarem w jasionowej szafce. Żałowałam serdecznie tamtęj biednej ładniutkięj dziewczynki, którą uniosła cyganka, ukradzione dziecko stało mi przed oczyma jak żywe, zawsze głodne i zawsze malutkie, chociaż prawdopodobnie było w moim wieku, łązy miałam w oczach myśląc o tem, jak gdyby to mnie, a nie jęj wyrządzono tak straszną krzywdę, postanowiłam nawet odszukać ją gdy dorosnę, tymczasem z heroicznym spokojem znosiłam nazwę cyganki, do której wkrótce dodano smutny epitet „nieuka“. Byłam leniwą tylko, czy niezdolną... nikt tego stanowczo określić nie mógł, zaledwie jednak zaczęłam się uczyć, zwątpiono ostatecznie o mojęj wartości i zawczasu zaczęto szukać jakiegoś bicia bożęgo, któryby mi wszystkie dary Ducha świętego zastąpił.

Było to w jesieni; z okien pokoju przeznaczonego na klasę, widniały cieniste szpalery ogrodu, poźółkłe trawniki i klomby z resztkami georgiń i nasturcyi. Słońce dogrzewało jak w lecie, pachło sianem, jabłkami, z sąsiednich ogrodów wróble zlatywały się całymi stadami, szczebiotały na gałązkach wśród poźółkłych liści. Całymi godzinami siadywałam w otwartem oknie, wpatrzona w ogród; śledziłam wzrokiem liście spadające z gałęzi, ruchy motyli i ptaków, znikających gdzieś w niebieskiej przestrzeni ponad drzewami. Przez kilka dni byłam zupełnie szczęśliwa; francuzka wyrzekła się mnie ostatecznie, nauczyciel muzyki oświadczył, że na bębnie możebym potrafiła wybijać pałkami, ale na fortepianie stanowczo nigdy grać nie będę.

— Ach, żeby jeszcze ksiądz umarł! powtarzałam jakby w sekrecie przed samą sobą! Z religii zawsze miałam kiepskie stopnie. W domu tymczasem spiskowano przeciw mnie energicznie, z rozmów podsłuchanych zrozumiałam, że bicz boży jest już w drodze. Wspomniano o jakiejś istocie, której nazwiska jednak nie wymieniano. Matka moja chrząkała znacząco w chwili, gdy ktoś po wyrazie „panna“ chciał dodać imię, ściągała brwi zlekka i rzucała na mówiącego to znaczące wejrzenie, po którym zwykle nas dzieci wysyłano z pokoju pod jakimkolwiek pozorem... Tajemnicza osobistość zaczynała mię interesować, wiedziałam, że nie spotka mię nic dobrego w tym kierunku, wszelkie zmiany mało mię obchodziły... Nie ta, to drugie, a przy każdej trzeba będzie pracować sześć godzin... żeby można było skrócić czas chociażby za pomocą trzęsienia ziemi... było by





*Maciek nad Mačkami, dawny konfederat barski, karmi króliki, których  
„cała trzódka białopucha  
Bieży do starca liśćmi kapusty zęcona,  
Do nóg mu, na kolana skacze, na ramiona.“*

*Z Pana Tadeusza.*



mi może trochę lżej na duszy! Czekałam tedy co dalej będzie, przechodząc przez pokój, usłyszałam jak ksiądz w obecności matki rozwiązywał jakąś kwestyę wątpliwą.

— Dla starszych, prawil, jabym sam nie doradzał, ale dla takiej małej, tymczasem można. Pracowita i cierpliwa... z djabłem dała by radę, więc może i z tą krnąbrną duszyczką radzić sobie potrafi.

— Wolałabym jednak kogoś innego, odrzekła matka z rezygnacją.

Na drugi dzień, kiedym sobie w najlepsze kruszyła bułkę przez okno dla ptaków do klasy weszła matka z młodą kobietą w czarnej sukni, w czarnym kapeluszu bez rękawiczek; wysoka, koścista pani odrazu rzuciła na mnie przeszywające spojrzenie, tak wyglądałby Herod, żeby był kobietą. Zasiadliśmy do lekcji. Musiało coś zajść między nią a moją matką przed drzwiami klasy. Zaledwie bowiem doczytałam do końca stronicy, na książkę spadły dwie duże łzy, tuż prawie przy moim palcu, którym pokazywałam sobie litery... Podniosłam oczy na Heroda; po szerokich żółkłych policzkach łza za łzą spływała zwolna! Taka duża, taka groźna i płacze! Straciłam rezon, uspokoiłam się i przez całą lekcję siedziałam jak trusiątko. Odprawiając ją do drzwi, sama nie wiem dlaczego, pocałowałam jej kościstą rękę — a wróciwszy do stołu, długo patrzyłam na dwie mokre plamy na książce. Łzy się nie powtórzyły; p. Berta była surowa i wymagająca, miała przenikliwe oczy, gruby głos i nie lubiła jednej rzeczy dwa razy powtarzać, potrafiłaby może dowodzić rotą żołnierzy, imponowała mi powagą i stanowczością. Czasu też tracić nie lubiła; przyszedłszy z rana, od progów prawie zaczynała lekcję; przez dwie godziny nie spoczęła ani na chwilę, i mnie też odczynać niepozwoliła; wykładając lekcję, słuchała czytania, jednocześnie z szybkością parowego młyna robiła koronki, patarafka, trzewiczki włóczkowe, wełniane pończochy i szkarpetki, pracowała myślą, wzrokiem, słuchem i rękami zarazem.

Po lekcji robotę związywała w chusteczkę wraz z bułką i kawałkiem cukru, które zostawiała sobie od drugiego śniadania, spieszyla zawsze; nędzny, wiatrem podszyty palto-cik zapinała po drodze, żeby czasu nie tracić; przez całe trzy lata nie widziałam u niej ani jednej pary rękawiczek, kapelusz nosiła stary filcowy, pokłuty szpilką jak sito. Przy tej niestrudzonej maszynie stopniowo nauczyłam się myśleć, pracować, ba, nawet polubiłam naukę! przedewszystkiem jednak za-

wdzięczam jej treściwość w mowie i piśmie: przez całe trzy lata nie przemówiła do mnie jednego banalnego słówka, a ja mimowoli dostrajałam się do jej tonu. Raz tylko kiedy na lekcji posadziłam obok siebie nowiutką lalkę dużą jak dwuletnie dziecko, spojrziała na nią z ukosa i uśmiechnęła się nieznacznie.

— Co robisz ze starymi lalkami? spytała.

Na razie nie wiedziałam, co odpowiedzieć, właściwie starą była tylko jedna, walająca się po kątach z pękniętą czaszką, nazywała się „Madame Suze“ na pamiątkę ostatniej francuzicy, która dowodziła, że „od nasza krzyka głowa ją pękala“.

— Daj mi tę madame Suze, rzekła z dobrotnym uśmiechem.

Nazajutrz, zamiast lalki z pękniętą czaszką, dałam jej śliczną nowiutką w niebieskiej sukni, w białej koronkowej chusteczce, przygotowałam trochę zabawek, blaszaną kuchnię i kilka filizanek ze spodeczkami. Przechywałam, że to dla jakiejś biednej dziewczynki, uczennicy może. Cieszyłam się, że chociaż raz w życiu mogę coś zrobić dla mego Heroda. Ucałowała mię w czoło, a podczas lekcji znowu dwie łzy spadły na moją książkę, tym razem jednak nie miałam odwagi spojrzeć jej w oczy. Szanowałam ją i kochałam po dziecinnemu, to jest z całego serca; gotowa byłam jak dzika kotka rzucić się do oczu każdemu, ktoby śmiał obrazić ją chociaż jednym słówkiem w mojej obecności. Niestety, uszczypliwe, niezrozumiałe dla mnie przymówki i uwagi pochodziły od mojej matki, od ciotek i całego aeropagu poważnych osób, w obec których musiałam milczeć; uciekałam wówczas z pokoju ze łzami w oczach!

— Czego oni chcą od niej? zapytywałam nieraz w duszy; widziałam, że wszyscy w domu traktowali ją z góry, z odcieniem pogardliwego lekceważenia. Zagadkę tę rozwiązałam dopiero w lat kilkanaście, gdy bawiąc przejazdem w mieście, spotkałam na ulicy mego poczciwego Heroda. Nie zmieniła się wcale, nie postarzała nawet, owszem utyla, wypiękniała, na twarzy niegdyś smutnej, zakłopotanej, malował się teraz prawdziwy spokój i zadowolenie. Ubrana była dostatnio w czarnej kaszmirowej sukni, w czarnym kapeluszu z atlasowymi wstążkami i w rękawiczkach. Zdaleka już wyciągnęła do mnie obie ręce.

— Żyję po dawniejszemu, odrzekła na wszystkie moje pytania, teraz lepiej mi trochę, a nawet znacznie lepiej niż dawniej, mam pomoc w pracy.

— Czyżby się Herod ożenił? pomyślałam zdumiona.



Może odgadła myśl moją, a może tylko chciała pogawędzić ze mną dłużej, dawne czasy przypomnieć. — Zaprosiła mnie na chwilę do siebie. Mieszkała w starym klasztorze; wyprzedziwszy mnie na ciemnym długim korytarzu, otworzyła drzwi do swego mieszkania. Czysto tam było, jasno, przez roztworzone okno wpadał snop słonecznego światła, białe ściany, białe firanki, białe kapy na dwóch łóżkach, stojących na przeciwko przy bielonych ścianach! Teraz już nie wątpiłam, że Herod się ożenił. Przysiadłam na ceratowej kanapie przy oknie, przedemną, na stole przykrytym niebieską serwetą w białe kwiaty, stos kajetów w różnokolorowych okładkach i stara niemiecka gramatyka, którą bodaj znalazłam osobiście...

— Zawsze jeszcze kajety i książki? pytałam, spoglądając na djeno to na drugie łóżko.

— Mniej teraz pracuję, córka mnie pomaga! Mądra, pracowita dziewczyna! Chowałam ją we łzach, ha, cóż było robić! teraz zato kochamy się jak siostry! odrzekła.

Oniemiałam na chwilę; p. Berta siedziała naprzeciwko mnie, ręce splecione położyła na stole, patrzyła mi w twarz jakby pytając: i cóż ty na to? Uciekniesz oburzona, czy zostaniesz? Objęłam rękami jej obie dłonie; milczaliśmy przez chwilę. Powiodłam wzrokiem po izbie. Nad komodą, przykrytą ceratą, wisiała jedyna w całym pokoju fotografia mężczyzny w czarnych owalnych ramkach; pyzata twarz na grubiej szyi, wylupiające oczy i kędzierzawa czupryna składały się na całość, która tylko dla bardzo brzydkiej kobiety mogła być niebezpieczną.

Berta wciąż patrząc na mnie, skinęła głową w stronę fotografii:

— Głupi, szepnęła, żeby on wiedział jaki to skarb ta moja pocziwa, mądra dziewczyna, nie wyrzekłby się jęj raz na zawsze! Głupi! nie miał litości nad dzieckiem niewinnem! Ścisnęłam ją serdecznie za ręce. — Biedaczko, pomyślałam, on nie ocenił twego stałego serca, a miałby się ulitować nad twem biednym dzieckiem!

Przesiedziałam z nią z godzinę. Odżyło we mnie dawniejsze uczucie. Będąc dzieckiem przeczułam w niej uczciwą kobietę, teraz przekonałam się, że była to może najuczciwsza istota z pośród moich bardzo licznych znajomych.

Warszawa.



**W** epoce gdy przyszły twórca odrodzenia Łużyc, Jan Ernest Smoler, uczniem gimnazjalnym (nazwanym będąc\*) zachęcał towarzyszy do poznania i pokochania ojczystej mowy, na Łużycach w szkołach zaledwie czytało uczone po serbsku. Chaty wieśniacze były jedynym przybytkiem, z którego nie wypędzono serbskiego języka. W domu też tylko Smoler wsłuchiwał się w jego dźwięki, a matka — skromna, zadomowiona żona wiejskiego nauczyciela, była jego pierwszą i najlepszą mistrzynią. Znany w całej Słowiańszczyźnie ks. Michał Hornik, dzisiaj ojciec i opiekun serbołużyckiego ludu, którego cnoty oceniamy nawet Niemcy, z domu rodzicielskiego wyniósł zawiazki przyszłych swoich zasług. Podobnie jak Smoler i ks. Hornik kształcili się i rozwijali uczucia narodowe wszyscy patryoci Łużycy. Pacierz odmawiany w języku ojczystym, nucone na przazy\*\*) pieśni, legendy o dawniej świetności ojczyzny — oto pierwsze iskry zapału, rzucone w pierś młodzieży, która z młodzieńczą gorącością i wiarą w własne siły, z nadzieją, że wytrzymała praca zawsze coś dokonać może, rwała się właśnie do pracy narodowego odrodzenia.

Wspomnienie domu, tkliwych pieśnyczot matki, jej modlitw i pieśni, towarzyszyło młodym serbom wszędzie, przebijało nawet wyniosłe mury uniwersyteckich auli Lipska, głużyło brutalność ośmieszających Łużycką mowę Niemców. Wytrwała praca jednostek zbudziła naród z uśpienia Łużyce skazane przez sąsiada na zagładę, żywotnością swoją zwracając uwagę słowiańskiego świata. Myśl wskrzeszenia z popiołów nieszczęśliwej ojczyzny dzięki tytanicznym wysiłkom i ofiarności patryotów, znalazła urzeczywistnienie. Śmiało do dać można, że skromne wieśniaczki Łużyckie, pielęgnując dawne zwyczaje i mowę ojczystą, bezwiednie kładły pierwsze podwaliny do budowy odrodzenia. Dzisiaj dla garstki inteligentnych Łużyczanek obce są odgrywane się na szerokiej arenie świata walki pro i contra emancypacji kobiet, lecz w zamian znane im są dobrze własne sprawy i losy.

Żona Jana Ernesta Smolera, zapatrzona w działalność męża, w ów ideał obywatela, była najlepszą, najwierniejszą towarzyszką pracy i ofiarności wielkiego patryoty. Przez matkę serbka, z ojca Niemka, wychowana w otoczeniu niemieckim pod wpływem szlachetnej miłości, zbudziła w sercu uśpione uczucia narodowe. Jakkolwiek poziom jęj wykształcenia nie mógł iść w porównanie z nauką męża, olbrzymiej działalności człowiek, znalazł w niej rozumną, pojmującą jego wzniosłe aspiracje i cele towarzyszkę. Potęgą uczucia umiała wszystko odczuć i zrozumieć.

Smoler na redaktorstwie i wydawnictwie pism nic nie zarabiał, przeciwnie, tracił, wypuszczając je za darmo prawie, dochody z drukarni były bardzo skromne, Smolerowa wyszedłszy za mąż nie trzymała nigdy służącej, sama prała, szyła i gotowała.

\*) W 1830 r.

\*\*) Wieczornica.



Obsługiwała nie tylko ukochanego męża, lecz i dzieci z jego pierwszej żony, zecerów i dom cały. W jednej sukni i w jednym kapeluszu, przerabianym na wszystkie strony, chodziła całe lata, lecz przy małych funduszach tylko w ten sposób ułożywszy życie, mógł Smoler oszczędzone grosze składać na cel narodowy. Kiedy w roku 1881, Smoler i ks. Hornik przybyli do Warszawy kołatać do serc bratnich o pomoc, Smolerowa towarzyszyła mężowi. Mieszkając w hotelu kilka miesięcy, do minimum musieli zredukować już i tak skromne wydatki. Codziennie rano, aby oszczędzić mężowi pieniędzy, Smolerowa z Długiej ulicy chodziła nad Wisłę i tam z pierwszej ręki czyniła zakupy. Od przybywających wieśniaków kupowała wiązki drzewa i pod okryciem niosła do hotelu. Niejedna z strojnych, przechodzących ulicą dam nie przeczuwała, że ta skromnie ubrana kobieta, spełniała wówczas najszczytniejsze dzieło małżonki człowieka, oddanego sprawom ogółu. Dziś niepokieszona po stracie męża, idzie dalej wskazaną przez niego drogą. Zna wszystkie chaty w okolicach Budyszyna, wie gdzie mieszka dobry w o t c z i n c \*) i jakimi słowami przemówić do serc swoich rodaczek. Żona zasłużonego pastora Imisza, jedna z nielicznych autorek Łużyckich, dzieli wszystkie trudy i prace społeczne swego męża. Wzorowa, oszczędna nawet w drobnostkach gospodyni, słynie z ofiarności w całej parafii. Niezamożna młodzież gimnazjalna i uniwersytecka, spędzająca na plebanii w Hodziju wakacje, z wdzięcznością wspomina macierzyńską opiekę i serce zacnej Łużyczanki. Wykształcona, dobra serbka Łużycka, z całą serdecznością podaniem ręki wita wieśniaczkę, łączy je jedna wspólna miłość ojczystej ziemi i języka. Żona patrioty, doktora, nauczyciela lub pastora, bez wyniosłej arogancji zasiadła do wspólnej biesiady w wiejskiej chatce, pamiętna, że ogniska czystych, białych chat ogrzały najszlachetniejsze uczucia. Na s c h a d z o w a n k a c h \*\*) poważny doktor filozofii z należnym szacunkiem rozmawia z wiejskim dziewczęciem, wiedząc dobrze, że z jej piersi z uczuciem popłynie melodia „Hiszce Serbstwo njezhubjene.“ Według ostatniej mody ubrana Łużyczanka, nie wstydzi się, gdy w tańcu suknią jej dotknie szaty wieśniaczki lub żony nauczyciela wiejskiego, który oszczędności domowe składa na rzecz Towarzystwa Macierzy lub Pomocy naukowej. Towarzystwo Macierzy, instytucja, stanowiąca dzisiaj punkt ciężkości dla całych Łużyc, powstała wyłącznie i utrzymuje się z drobnych groszowych oszczędności i ofiar. Dzięki takim stosunkom, najmniejszy naród słowiański, na którego systematyczne wyradawianie składa się pieniądz, prawo i pickelhauba pruska, mimo dziesięciu wieków niewoli żyje i żyć będzie zawsze.

Kalisz.

Melania Sarczewska.

\*) Patriota.

\*\*) Na zebraniach.



## Odpocznij!

**S**pocznijcie już, me dłonie! Prawda? wyście marzyły,  
 że kobiecym i drobnym, nie zabraknie wam siły  
 Do pracy — do tej dzielnej, co spaja domu węgły?  
 Że, co w jednych zmarniało, a co drugie rozprzegły,  
 To wy — wątle — odzyskać, sprzedaż zdolacie  
 [w kształt nowy..  
 Przyszłości rzucać posiew — płomień żywic zniczowy —  
 Głaskać, — karcieć — rwać w górę — że dobrze  
 [potraficie  
 Zdawało się wam zawsze... Odrętwiło was życie!  
 Ni giezła domowego, ni świątecznej odzieży  
 Nie utkacie już nigdy... Spoczynek wam należy!  
 Niewielki plon niesiecie, choć twarde znacie znoje...  
 Spocznijcie, dłonie moje!

Odpocznij, myśli moja! Dzień może niedaleki,  
 W którym pytać przestawszy, spocznieś wreszcie na  
 [wieki...

Badawcza i ciekawa, pewna swojej potęgi,  
 Szerokie śmiałem skrzydłem chciałaś ty widnokreśli  
 Oblecieć i tam dotrzeć, kędy prosta i naga  
 P r a w d a stoi — jak filar, na którym świata waga.  
 Nie dotarłaś... nic nie wiesz... Nadaremna twa praca!  
 Jak ptak jesteś zdrożona, co na gniazdko powraca,  
 Nie doleciawszy celn... Wstyd swój, o! nieś w ukrycie!  
 Choć jeszcze w zwątpień mroku, w pół-prawd bładym  
 [rozświecie  
 Zagrobowej przyszłości zagadka ci się kreśli,  
 — Spocznij już, moja myśli!

I ty, serce, odpocznij! Gorąco's było, długo,  
 Wszystkich celów szlachetnych wiernym było's ty sługa,  
 I miłośnikiem szczerym... Miłości ogień złoty  
 Chciało's krzesać we wszystkim, co drzemie snem  
 [martwoty!

Nie wystygło's ty jeszcze — lecz samo widzisz, serce,  
 Że na nic się nie przyda rozrzucić po iskierce  
 Wewnętrznych płomieni żary.., bo cóż ci przyjdzie z tego,  
 Że ciebie na wskrós prądy ostrych bolów przebiega,  
 A ty męki ofiarą nic nie dokażesz zgoła?  
 Wierz mi, przestań uderzać! Rozsądku to głos woła:  
 — Zrzuć tęsknot i miłości z ciernia zwitą koroną.  
 Spocznij już! Tyś znużone!

J. Brażmowska.



**Z** długiego letargu przecie się budzicie,  
 I braciom włościanom z pomocą spieszycie. —  
 O ratujmy szczerze niewolą znękanych  
 Żywicieli naszych dotąd zaniedbanych.  
 Bo dziś już nie starczy łez i krwi ofiara,  
 Ni sarmacka dzielność, — ojców zbroje stara,  
 Ani samo męztwo co do korda sięga,  
 Lecz w tym biednym ludzie dziś nasza potęga.  
 Odkąd Matka w grobie, trzech synów koleją  
 Chociaż rozłączeni, lecz silni nadzieją,  
 Krząta się wytrwale wśród ciężkiej niewoli,  
 Siejąc ziarno cnoty, wytrwałość w złej doli.  
 Dziś kolej na ciebie, Halicki Sokole,  
 Równością, wolnością roś ojczyste pole  
 I z losem przeciwnym idź śmiało w zawody,



Dzieciom jednej Matki podaj dłoń do zgody.  
 Niech karmazyn poda rękę rolnikowi,  
 Mieszczan dłoń uściśnie w siermiędze chłopkowi,  
 Do wspólnej budowy wszyscy razem staną,  
 Miłością połączą kontusz ze sukmaną,  
 Wówczas nam zaświeci szczęśliwe zaranie.

Lwów

Bohka.



czytała — czytała książkę  
 pełną łez ze łzami — ze  
 skrzydeł cudnych motyla,  
 z blasków tęczy — z upajającej różanej  
 woni — na paletę branyimi, odmalował  
 poeta szczęście — tych dwojga — co  
 niebawem miało prysnąć jak bańka my-  
 dlana — jak sen; — czytała — wątkiem  
 poematu — była jak świat stara, a wie-  
 cznie nowa i urocza — miłość — mi-  
 łość — nazwał ją, poeta szczęściem  
 — to dziwne. — Ale i ona — był  
 czas — takim szczęściem żyła — wspomnie-  
 nie tych chwil ubiegłych niby dawne prze-  
 śnione marzenia — padło na jej duszę i serce  
 — ovladnęło ją nagle uczucie niby nieokre-  
 śloną tęsknotą za czemś niepochwyconem  
 — za promienną marą chwil minionych —  
 ręka z książką opadła — i wzrok jej napo-  
 tknął kolebkę — w niej spoczywała uśpiona  
 mała dziecina. — Wnet niby za dotknięciem  
 różdżki czarodziejskiej — pierzchy złociste  
 dumania — przed szczęściem rzeczywistem  
 pierzchy szczęście wymarzone — poezya wy-  
 braźni — ustąpiła przed poezją czynu —  
 zachwyty cierpiącej kochanki — zbladły w o-  
 bec poważnego wielkiego zadania — matki.

W téj kolebce spoczywa jej szczęście  
 ziemskie jej duma i nadzieja — która stać  
 się może kiedyś nadzieją, a wreszcie dumą —  
 całego kraju — społeczeństwa; — ona je nato  
 wypielegnuje — wychowa. — Słusznie w o-  
 bec tego doniosłego zadania rozplynał się  
 cień tęsknoty, co padła na jej duszę — na  
 twarzy zagościł uśmiech spokoju — jest  
 szczęśliwą!

Smardzew.

Ignacja Siątkowska.



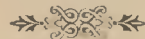
## ХЛІБА КРИШИНА

присвячене

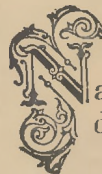
голодуючим в Галичині 1890 р.

І на жертвенне зерно складаю  
 Душі частину —  
 І частку серця на хліб міняю  
 Для тих, що гинуть.  
 Для тих, що дармо потом справляли  
 Неplідні скиби.  
 Для тих, що с поля назад вертали  
 С плачем — без хліба!  
 І на до слез тих — мою найчистшу  
 Слезу долию..  
 І чашу щастя — і що найглибшу  
 Ними залію.  
 І подам ситим, що більш с трапези  
 Брати не годні.  
 І скажу: „начі ще є й тверезі!..  
 І є голодні!“  
 І піду с тихим зітханєм в лоні,  
 Де усміх грає —  
 Там, де пустота плеще в долоні..  
 І піснь співає —  
 І вплету жалість в той спів і нуду —  
 Плакучих стони —  
 І до веселих клікати буду:  
 „Є їх мільйони!“  
 І внесусь з блідим чолом в пороги,  
 Де блищит кришталь,  
 І багатому веніму: „є вбогі!  
 Пад ними ся зжаль!“  
 А на золото — на шовк-альмази  
 Упаду якъ тіль —  
 Ніби той засуд, що вбогому каже;  
 „Ти з голоду гинь!“  
 І низше знайду — руку простягну —  
 Мольби тихійші —  
 І по „вдовиний гріш“ тоже сягну —  
 Для ще біднійших.  
 І так обійду серце від серця  
 І кожду душу —  
 І де ми совість — чувство найдеся,  
 Іа его зрушу! —  
 І міх жертвенний с плечей не зложу  
 І не спочину,  
 Доки в голодні уста не вложу  
 Хліба кришину!

Климента Писевич.



## W ANTRAKCIE.



Najciekawsze przedstawienie zaczyna się  
 dla mnie w... antrakcie.  
 Wówczas wydaje mi się jakoby cały  
 ten tłum różnobarwny, noszący pretensyo-  
 nalną nazwę „toute la ville“ wysilał się  
 na jakąś wielką, konkursową sztukę. Widzę,  
 jak z chwilą spuszczenia zasłony każdy przy-  
 biera swoją pozę, wraca do swojej roli,





*Mohort orze ziemię, uzasadniając pracę swą przed nadjeżdżującym rycerstwem tem, że „z czego czelek powstał,  
o tem myśleć trzeba”.*

*Z Mohorta.*



przyjmuje na się wystudyowany z góry charakter.

Pierwsze naiwne szybkim poruszeniem nadają grzywkom pełen prostoty i zaniedbania układ, zaciśnięte usteczka nakładają do skromnego pół uśmiechu, błyszczącym oczkom każą spoglądać obojętnie, według formułki nakazanej przez dobry ton...

Istne modele na aniołki!

Nikt by nie przypuścił, iż w spojrzenie „à la vierge“ lub w uśmiech „à l'enfant“ można się stroić tak samo jak w modne plusze lub etaminy, że istnieją na nie gotowe szablony, nie przeszkadzające bynajmniej eterycznej Idalji, (łoża pierwszego piętra) uderzyć pokojówkę za niezręczne karbowanie „falujących“ splotów, ani skromniutkiej Wandzi (łoża parterowa) trzymać na uwieży sześciu konkurentów dla zmuszenia do oświadczyn... siódmego, ani idealnej“ Rózi (drugie piętro) od „karotowania“ papy na kosztowne stroje.

Obok nich spostrzegam primadonny dramatyczne, reprezentowane zwykle przez dojrzałe panny i młode wdowy.

W oczach ich połyskują łezki, wywołane pierwszą lepszą sytuacją danego widowiska; drżącym ruchem obnażonej do łokcia rączki (ach! jak utoczonéj!...) pospieszają obetrzeć je wonną, koronkową chusteczką, przyczem pierś (w staniczku wyciętym w coeur) faluje rytmicznie, zwracając uwagę na nader interesujące szczegóły, a twarz zdaje się wyrażać tkliwość, czułość i słabość niewieścią...

One tak pragną kochać — cały świat, a przynajmniej jego atom (oczywiście przystojny i „usytuowany“) przytuliłyby chętnie do szlachetnego łona.

Grają dla pierwszych rzędów krzeseł, a nie radzę gościom z dalszych lub (broń Boże) z amfiteatru starać się o podbicie „litościwych“ ich serduszek. Zresztą rodzaj ten przy ogólnem zmateryalizowaniu ustępuje z towarzyskiego repertoaru i tolerowanym bywa zaledwie przy klasyczności rysów i kształtów.

Więcej miejsc zajmują przedstawicielki tak zwanéj haute comedie: „les grandes coquettes.“

W ustach — ironia, w oczach — płomienie, w postaci całej wyrafinowana wykuintność, połączona z pełnem swobody zaniedbaniem.

Nie tyle zachwyca, ile drażni i zachęca wyzywającym uśmiechem, obiecującym tyle werwy, dowcipu, humoru i nerwowej przenikliwości.

Widzę pomiędzy nimi młode żony starych mężów, rozwódki i przekonuję się, że większa część wizyt, cukrów i ukłonów im się dostaje w udziale...

Daléj roztaczają się zastępy matek charakterystycznych, powiernic i wszelkiego rodzaju utilités.

Tu pani hrabina wzrokiem pogardy i zgrozy, na jaką musiał się zdobyć jej antenat w walce z poganami, obrzuca w sąsiedniej łoży siedzącą dyrektorową.

Shocking aby „tacy ludzie“ ośmielali się zajmować miejsca, które winny być zachowane dla „herbowych“... „nieobecnych“. Nie. Gdyby to od niej zależało niepozwoliłaby sprzedawać pierwszego piętra tym, którzy się nie wylegitymują z kilku co najmniej pokoleń.

Dyrektorowa cały odpychający chłód „ignorującéj“ ją arystokratki przenosi z procentem na sąsiednią łożę pani bankierowéj.

Ta „parwieniuszka“ którój ojciec handlował tandetą, pnąca się do pierwszych miejsc, oburza ją niesłychanie, odwraca się też z miną obrażonéj królowéj.

A i pani bankierowéj należy się „szmerek“ uznania. Quelle contenance! Zdaje jéj się, że wraz z kosztownościami po księstwu Z. wszystkie ich tytuły nabyła! Jak uważnie przegląda łożę, jak pilnie szuka téj małej baronowéj, od którój radaby się nauczyć mrużenia oczu i tysiącznych odcieni dystynkcyi, reprezentowanego przez nią „high-life'a.“

A pani Laura z jaką skwapliwością ukazuje swój profil, choć wie, że jéj najlepší en trois quart! I to dla czego? Bo na prawo na galerji siedzi jéj niezamożna petite cousine, uderzająco do niej podobna. Anużby się jéj ukłoniła! Cóżby na to powiedziała dumna mecenasowa, którą z takim nakładem pracy i sprytu pozyskała do swéj łoży.

Jeden ukłon z galerji a pani mecenasowa stracona!

Widzę jeszcze ojców szlachetnych, amantów lekkich, komicznych lub bohater-skich, całe zastępy czarnych charakterów; (ponieważ jednak nawet miara zwykłych tolerowanych nudów w tym „antrakcie“ przekroczoną została) zapuszczam na nich zasłonę.

(Almawiwa) Melanija Rajchmanowa.

Warszawa.



## DROBIAZGI.

**M**ałe, liczne krople wody  
Połączone,  
Tworzą mórz potężnych nurty,  
Niezgłębione.

Marne pyłki, ziarna piasku  
Też powoli,  
Uścielają ciemne łąny  
Żyźnój roli.

Krótkich chwilek rój skrzydlaty  
Wciąż przed nami —  
Składa lata — lat szeregi  
Są wiekami.

Drobne błędy, często błahe  
Przewinienia,  
Z czasem plamą czystość duszy  
I sumienia.

Miłe słówka, proste czyny,  
Ciche cnoty,  
Tworzą wielkie życia skarby  
I klejnoty.

Skromne dary, liche grosze  
Razem wzięte,  
Zasilają miłosierdzia  
Zdroje święte.

Paryż.

R. R.



śródm\*) gór okrytych smętnym świerkowym lasem, który wiatr do rozmowy pobudzał, w krzakach nieznacznego amalo osłoniętego parowu uścieliła para małych ptaszków gniazdko. Zawiesiła je nisko między gałązkami, ukryła pod listki przed orłem i jastrzębiem — i wiodła ciche spokojne życie. Strumyk sąsiedni dostarczał wody — na brzegach rosły wonne kwiaty: górskie srebrniki białe, szafirowe goryczki, dzwonki, dzikie mieczyki i goździki różowe, — nad

\*) Z powodów niezależnych od Redakcyi nie mogło być w alfabetycznym porządku zamieszczone.

nimi kołysała się rzesza motyli i muszek. Codziennie rodzice czworga piskląt mordowali wiele owadów, żeby głodne nasycić gardła. Długo chodzili koło gniazdka ludzie, bo było przy samej prawie ścieżce, jedni nosili tamtędy chrust z lasu, inni jagody, inni wreszcie szukali tam samotności i ciszy. Nieraz pewno małe serduszka ptaszków rodziców niepokojem były o domowe szczęście, — może poznały, że zbudowały mieszkanko nie w bezpiecznym miejscu. Gniazdko stało spokojne, aż przyszedł raz w to miejsce samotnik, by po dniu pogodnym podziwiać piękny zachód słońca. Samotnik miał serce tkliwe, kochał naturę i ptaszki, — ale jego czarny pies nie posiadał tych przymiotów. Kiedy bowiem zatonął w dumaniach nad ciszą, spokojem i pięknem natury, kiedy podziwiał świetliste promienie słońca i chmury różnoksztaltne, stała się tuż obok niego zbrodnia, on pośrednio zburzył szczęście ptaszków. Czarny, krwi chciwy towarzysz jego wskoczył w krzaki i buszował długo, — za chwilę odezwały się tęskne, przeciągłe jęki starych ptaków, które krążyły i odlatywały, błagalnym głosem prosiły o coś. Zerwał się samotnik z swój zadumy i poskoczył, przeczuwając coś złego. Niestety zapóźno! Delikatne z traw nadwodnych uwite gniazdko leżało rozszarpane, nagie pisklęta rozpacznie otwierały dzióbki, oddech pospiesznie pochwytując; jedno było rozgryzione, inne zabijał przestkach i brak ciepłych macierzyńskich skrzydeł. Naprózno samotnik brał je do ręki i tulił, wszystko wołało na niego: zapóźno! Dotąd brzmiały mu w uszach żalosne głosy ptaszek rodziców, odlatujących od miejsca zbrodni; do tej chwili widzi drobne dzióbki piskląt, które zdawały się wyrzucać mu śmierć przedwczesną, zanim sprobowały lotu w przestworzach powietrznych, zanim użyły słońca, nieba i rozkoszy życia. — Jak dwaj zbrodniarze wracali do domu, pies spuścił ogon i patrzył na pana z podelbą, widząc go smutnym i zagniewanym, pan zaś dumiał, że spokój i harmonia świata są tylko pozorne, a wszędzie wre walka i bój o dobro, spokój, szczęście, które w naturze i ludzkim świecie trwa chwilę tylko!

Lwów.

A. Mandyburowna.





## KARTA Z PRZESZŁOŚCI.

**Z**łote słońca promienie ślizgały się po błękitnych falach Zbrucza, który wartko toczył swoje wody wąskiem, głębokiem w tem miejscu korytem.

Po lewym jego brzegu zarosła były wycięte; o kilkadziesiąt kroków dopiero czerniały gęste krzaki, do samego lasu biegnące. Brzeg prawy zaś był gęsto zarosnięty łożami, które łączyły się bezpośrednio z ogrodem dworskim.

A dwór był to szlachecki, murowany, obszerny.

W otwartych drzwiach jego ukazała się uroczą postać dziewczęcia, w skromnej, długiej, czarnej szacie.

Dzisiaj w tym domu było święto rodzinne: obchodzono siedmnastą rocznicę urodzin ukochanej jedynaczki.

Zosia po raz pierwszy dziś długą suknię przywdziała, ale suknia ta była czarna... podówczas każda polka nie tylko w sercu żalobę nosiła... przywdziała także szaty żalobne...

Młoda dziewczyna powoli zeszła do ogrodu, po drodze bezwiednie zrywając wonne, różnobarwne kwiaty... pogrążona była w głębokiej zadumie.

Pasowano ją długą suknią na dorosłą osobę i ona szukała w sobie zmiany... ale była tą samą Zosią, co wczoraj... tylko rozbudzona wyobraźnia świetlane obrazy przed oczyma jej rzuciła...

Wszak długa suknia do innych marzeń daje prawo!...

Dotąd Zosia słyszała często, myślała czasem o miłości, ale nie marzyła o niej nigdy, teraz — rzecz dziwna — tłem marzeń, kanwą, którą wzorzystym haftem zapełniała bujna wyobraźnia młodego dziewczęcia była — miłość.

Zosia nie znała jej dotąd.

— Kiedy ją poznam? — rzuciła cichym szeptem zapytanie.

Nagle wśród nadbrzeżnych zarośli dał się słyszeć szelest, ktoś przez ogrodzenie przeskoczył i nim Zosia ze swojej zadumy otrząść się mogła, stanął przed nią nieznajomy młodzieniec.

Chciała krzyknąć — przerażona — ale oko jej padło na mokrą, błotem zwałaną odzież młodziana; głos zamarł jej w piersi... Zrozumiała, że tu potrzebnem jest milczenie...

— Ukryj mię, pani! — wyszeptał zbieg. Jestem ścigany!...

Ona skinęła tylko ręką.

— Chodź pan za mną!

Przebiegli część ogrodu — Zosia stanęła... przed nimi wśród drzew, zarośli i chwastów dzikich wznosił się mały, mchem porośnięty wzgórek: była to stara, nie używana już, nawpół waląca się lodownia. Dziewczę rozgarnęło krzaki i pchnęło drzwi, także zarosnięte: przykre, wilgotne, zatęchłe powietrze ich obwiał.

— Dzięki ci, pani! odejdz, bądź przeczerną! — rzekł młodzieniec i zniknął w ciemnej szyi lochu... drzwi się zawarły; Zosia zsunęła staranie gałęzie; ku domowi jak sarna spłoszona pomknęła.

Z dala jeszcze spostrzegła przed drzwiami żandarmów... szukano już u nich zbiega!

Nadto była zmieszana, wzruszona, żeby wejść do pokoju. Kwiaty trzymała dotąd w ręku, zaczęła więcć ich zrywać, żeby zyskać na czasie, zapanować nad sobą; musiała być przeczerną, strzec wiernie tajemnicy.

Kiedy po kilku godzinach odeszli nieproszeni goście, ukończywszy bezowocne poszukiwania, dopiero wtedy mogła Zosia rodzicom o zbiegu powiedzieć.

Wzruszeni, zaniepokojeni do ogrodu pospieszyli. Gdy po otwarciu drzwi od lodowni



nikt się nie ukazał, szlachcic zapalił małą latarkę i wszedł do ciemnej nory.

W głębi, na garstce przegniłej słomy, leżał młodzieniec w zniszczonym odzieniu. Jasne włosy w nieładzie spadały mu na czoło, wynędzniałą twarz rumieniec gorączkowy krasił... Spał tym snem kamiennym, jaki daje młodość i znużenie.

Obie kobiety weszły cicho i milczące wpatrzyły się w tę młodzieńczą postać. Młodem dziewczęciem dreszcz wstrząsnął, z długich rzęs dwie perełki na wilgotną ziemię spadły.

Śpiący westchnął ciężko i obudził się; otworzył szeroko oczy — zdziwiony.

Leżał w ciemnym podziemiu, do więzienia, z którego umknął podobnym, ale przed nim, zamiast wroga, stał typowy szlachcic wiejski z latarką w ręku, a obok niego poważna niewiasta i cudna dziewczica w czerni...

Na widok Zosi młodzieńcowi wnet przytomność i pamięć wróciła; powstał szybko.

W kilku słowach opowiedział swoją historię... nie nową... oni wszyscy przez to piekło przechodzili...

— Nazywam się Stanisław D\*\*. — Zakończył.

Oczy mu się przyćmiły — o ścianę oprzeć się musiał.

Nie minęła godzina, Stanisław przebrany w suknie szlachcica, przy posilnym obiedzie siedział. Ale nawpół zagojone rany, tyłomiesięczne trudy, więzienie, ucieczka, przeprawa przez Zbrucz, a po tej kąpieli kilkogodzinny sen w lodowni, zachwiały zdrowiem młodzieńca.

Kilka tygodni chorował.. Jak opiekuńcze anioły, czuwały nad nim obie kobiety... Dotkliwie cierpienia koił mu widok słodkiej twarzyczki Zosi... Serce jego, przepełnione goryczą, teraz biło rozkosznie, kiedy patrzył w cudne oczy dziewczęcia.

Kiedy powracał do zdrowia, najwygodniejszy fotel przysuwano mu do okna, które fale ciepłego powietrza napływały do pokoju; Zosia śpiewała mu przy fortepianie piosnkę za piosnką dźwięcznym swym, srebrnym głosem, albo czytała głośno, albo siadała obok matki i obie z robotą w ręku, słuchały opowiadań Stanisława.

On zaś opowiadał im wszystko: Jaki był początek, tajne wpływy i tajne działania; potem, kiedy trąbka wezwała do boju, jak zęgnął starą swą matkę i siostrę jedyną; potem wszystkie boje na śmierć lub życie, w których zapominał o wszystkich, którzy byli sercu najdrożsi, kiedy przed wzrokiem stał tylko orzeł biały z piersią krwawą...

Opowiadał jak go rannego, bezwładnego do niewoli wzięto, w więzieniu leczono, żeby zdrowego osądzić... Trochę sił nabral, błysnęła pomyślna chwila — kilka serc litościwych... garść złota do ucieczki dopomogła... Wkrótce wytropiony, ścigany jak zwierzę dziki, uratował się, wpływ przebywszy rzekę i tu znalazł schronienie i opiekę i serca przychylnę...

Obie kobiety siedziały wtedy cicho, słuchając wzruszone.

Młodej dziewczynie pałały oczy, płonęły policzki, drobne rączki zaciskały się kurczowo... czasem pierś łkaniem się podniosła.

Stanisławowi z dniem każdym wracały siły.

Raz oboje młodzi poszli do ogrodu...

— Tu panią po raz pierwszy ujrzałem! — rzekł Stanisław.

Spojrzeli na siebie — twarze obojga rumieńcem się powlekły...

Zosi stanęła w myśli ta chwila... poprzednie marzenia... Dzisiaj nie potrzebowała się pytać: co to jest miłość?... Poznała ją!...

— Wkrótce już w drogę wybierać się muszę... Ciężko mi będzie stąd odejść! — wyszeptał Stanisław.

Dziewczę milczało.

Dwie łzy, po zbladłej twarzyczce płynące, odpowiedziały za nią.

.....

We dwa tygodnie potem wieczorem, młodzieniec w wieśniaczą siermięgę przebrany stał w ganku i tulił do piersi wzruszone drobne rączki płaczącego dziewczęcia.

— Módl się za mnie, Zosiu!... bądź zdrowa!... nie zapominaj!...

— Och, Stanisławie, powróć, powróć! — załkała cicho Zosia.

Choć rozpacz ją chwytala, ani jednym słowem nie wstrzymywała ukochanego... Wszak on do Ojczyzny należał, a ona była Polką!

.....

Zęgnani przez całą rodzinę, Stanisław i wierny przewodnik do łódki wsiedli; plusnęły fale wiosłem rozcięte, po chwili, na przeciwnym brzegu dwa cienie w lesie znikły.

Dziewczę upadło na kolana:

— Boże, prowadź go! — wyszeptaly drżące usta.

.....

W godzin parę nocną ciszę przerwały dwa strzały... przyniosło je echo z za rzeki... Mieszkańcy białego dworu już spali. Młode



dziewczę czuwające usłyszało je, załamało białe dłonie... Kochające serca przeczuwać umieją!...

Nazajutrz o tój samój porze wierny prze-woźnik z narażeniem życia przyniósł na barkach, łódką przez rzekę przewiezionę martwe zwłoki Stanisława.

Złożono je w tój samój lodowni, w której znalazł był za życia schronienie i tu przyszła blada dziewczyna w czarnej sukni, na ramieniu matki wsparta.

Uklękła cicho przy zwłokach i złożyła pierwszy i ostatni pocałunek na zimnem czole ukochanego.

Leżał on tak samo, jak miesiąc temu, tylko zamiast rumieńca na twarzy, teraz miał na skroni plamę krwawą... i nie miał się już nigdy obudzić!...

W grobie, nocą wykopanym, złożono zwłoki bohaterskiego młodzieńca,

A nad grobem dla pamięci,  
Postawiono krzyż drewniany,  
Czarny krzyż.

Na tę mogiłę samotną chodziła codzien-nie blada dziewczyna... i nie zaznała więcéj marzeń... nie szukała miłości.

Lwów.

Rawiczanka.

## STARY.

Właściwie, na co my czekamy? spytał ziewając młody człowiek, i spojrzął po zebranych w starym wiejskim salonie.

— Ja czekam na strucle, które mi zaraz z kuchni przyniosą! z uśmiechem odparła gospodyni domu a jego matka.

— Mnie się wcale spać nie chce! od kominka z fotelu, w którym drzemał, stary dziadek dodał:

— A ja nowego roku wyglądam! zakończyła siostra pytającego — złotowłosa podłotek.

— Czy ty jeszcze wierzysz, że to taki genijusz, co ci dyamentów worek przyniesie! drwiąco brat zapytał.

— Koniecznie dyamentów! dziadek się ujął za faworytką swoją. Może się ona jakiego ułana spodziewa. Hę — mała?...

— Jakiego ułana? Albo ona co z wojskiem ma do czynienia! drwił młody człowiek.

— Takem to ogólnie rzekł, że starego przyzwyczajenia! Za moich czasów, miała każda paniuszka w serduszku ułana! Ha, inni byli niż teraz.

— Za dziadka czasów! Ha, ha!.. Wtedy jeszcze kto chciał kartę Europy zmieniał i dzielił wedle swego widzimisie!

— A dzieliliśmy, i nawet ze starych tak samo się natrzęsaliśmy, jak wy teraz, Olesiu! Dzieliliśmy

— powtórzył zwolna i ciszej — i co rok nowe cudaś my marzyli! Za naszych czasów — ha, ha. Wy teraz inni — inni!

— Zmądrzeliśmy! wtrącił młody.

— Może — i zubożeliście! Nie czekacie niczego — i zamiast Europę dzielić — dzielcie siebie! A zmieniacie się tak bardzo — tak prędko. Ha, ha, i ułanów niema!

Przy kominku gdzie siedział, mroczno było. Płecami do lampy, której blask go raził, staruszek siedział odwrócony, i w popielejące węgle oczy wlepił.

Niedopowiedziane myśli bez dźwięku poruszały jego usta bezzębne, w wyschłych rękach trzymał bambus, na którym brodę opierał.

— Nie możemy przecie żyć i myśleć na sposób średniowieczny, a bzdurstwami się karmić. Dziadek żeby się choć raz koleją żelazną przejechał do miasta, toby dopiero zobaczył, jakieśmy na przód skoczyli.

— Ja ci wierzę, wierzę. Dużobym nowego zobaczył, alebym może nie pojął i nie ocenił waszego postępu. Do miasta pojedą kiedy może z naszego skarbcza stare rusznice, puławy, ryngrafy — i będą się z nich na wystawie starożytności — nowi ludzie śmiać i wydziwiał. Ale mnie starego grata, nie zobaczy ni miasto, ni wystawa. Chwała Bogu, człowiek nie rzecz — długo nie trwa, i rychło butwieje!

— Dziadek się gniewa na mnie! rzekł młody człowiek, wstając i pochylając się nad jego ręką.

— Uchowaj Boże. Każdy swe dzieła chwali, swe czasy ceni, swoje ideały podnosi. Cobyście, biedni, mieli, żeby was wynalazki, para, telegrafy, postęp nie zajmowały — nie cieszyły. Każdemu coś Bóg daje! Stare czasy zawsze śmieszne, a nowe zawsze ciekawe. Tylko jabym nie potrafił teraz młodym być, tak jak wy niczego się nie spodziewać!

— A dziadkowi czy się kiedy spodziewane ziszcilo?

— Ty się pytasz! Ziszcilo mi się — niespodziewane bóle.

— Pocóż się więc mamieć darmo!

— Poco! A choćby, żeby w starości wspomnienia mieć, te węgły stare — zachowane — cenić — jako robotnik ucziwy — spoczynku czekać! Ośmdziesiąt lat żyję, a siedmdziesiąt takich wieczorów pamiętam, i jakbym różaniec przesuwiał z paciorek różnych, tak je teraz — te wspomnienia odnawiam.

— A czego w nich najwięcej, dziadziu? dziewczę zapytało, przysiadając u nóg jego, i tuląc się do rąk jak młode kocię.

— Pacierzy za umarłych! poważnie odparł.

W starym domu zrobiło się cicho po tych słowach i uroczyście.

Młody człowiek usiadł naprzeciw starca i w ziemię zapatrzony, dumiał. Na twarzy dziewczynki znikły dołeczki, które śmiech rzeźbił — matka ich opuściła ręce z robotą na kolana i spojrzała na przeciwną ścianę, na portret młodego jeszcze mężczyny — który tu kiedyś był wśród nich synem, mężem, ojcem — aż odszedł!

Chudymi palcami złote włosy wnuczki gładząc, staruszek coś sobie wciąż ruchem ust dopowiadał.

— Dziadek by chciał w tamte czasy wrócić? dziewczyna szepnęła.

— Chciałbym, żebyście wy moich lat dożywszy — pamiętek tyle mieli, i ten sam stary dom i wnu-



częta w około siebie! Na starość, dzieci, wspomnienie to wino — dom to jakby świątynia, a wy młodzi jak słońce! Wszystkiego tego w starości trzeba!

— Żeby stare czasy wróciły, tobym ja dziadunia nie odstąpiła.

— Filutko, czy nie masz ty do tego dziadzia jakiego interesu, że się doń tak umizgasz! z uśmiechem swej pieszczotki spytał.

— Nie, nie! Ja dziadzia bardzo, bardzo kocham!

— No, no, ale interes jest w tym karesie!

— Nie — tylko taki malutki! Żeby dziadus swój zegarek nakręcił.

— Co? Kurauta chcesz posłuchać!

— Bo to, wie dziadus, jak dwunasta na Sylwestra bije, trzeba sobie coś na papierku prędko napisać i spalić! Jak się spali nim zegar przebije, to się spełni niezawodnie!

— Niezawodnie! szyderczo brat powtórzył.

Ale dziewczynka nie zrażona lekceważeniem, mówiła dalej, dziadkowi do ramienia się tuląc.

— Nasze zegarki tak prędko biją — tylko dziaduniowy bardzo dobry i akuratny.

Staruszek ustami jej czoło musnął, i z trudnością powstał z fotelu.

— Będzie ci bił, pieszczoto! rzekł, ku drzwiom swego pokoju zmierzając.

— No, ciekawym, co też ty napiszesz! śmiał się młody człowiek.

— Niewiele! Trzy rzeczy! Ale i ty, Olesiu, coś napiszesz, nieprawdaż! I matunia też — i dziadzio! Wszyscy, wszyscy — będziemy pisali — prędiutko.

Ucisnęła brata za szyję, poskoczyła do matki, pobiegła naprzeciw starca, który z zegarkiem staroświeckim w ręku wracał do salonu.

Antyk — rzeźbiony, wykładany bronzem i kością słoniową — umieszczono na środkowym stole.

Drżącą ręką starzec nastawił wskazówki, i nakręcił dawno milczącą maszyneryę. Wewnątrz coś dzwoniło, brzęczało, chrapało. Zegarek ruszył, wskazywał wpół do dwunastej.

Dziewczynka fotel przytoczyła do stołu, przyniosła ołówki, i pocięty na paski papier położyła przed każdym.

— Na cóż mnie! zaprotestował starzec. — Życzenia moje dawno się spaliły. Pisz ty — kwiatku!

— I dziadzio. i dziadzio — i mama i Oleś! Cokolwiek, choć jedno słówko.

Całowała wszystkich, i ścisnęła. Przemogła szyderstwo brata, uprosiła matkę, zkokietowała starego swym szczebiotem.

Usiedli wszyscy wokoło stołu i zegara, śledząc bieg wskazówek. Twarz dziewczynki płonęła zajęciem.

Oleś zartował, dziad na swój zegarek patrzył, i jak do starego kolegi się uśmiechał.

Przyniesiono w tej chwili struclę, i pani domu wstała, pomimo protestu córki.

— Zaraz, zaraz! pocieszała za drzwiami jadalni. Do dwunastej brakowało pięć minut — cztery — trzy — dwie — jedna.

Dziewczynka drżała.

Zegar zajęczał, zatrząsał się i uderzył.

Dźwięk był głuchy i rozbity — zarazem cichutko zawtórował mu kurancik odwieczny.

Zaczęli pisać. Dziewczynka gorączkowo — drąc papier z pośpiechu. Trzy rzeczy miała tylko w myśli

— ale tyle się jej słów i określeń cisnęło do głowy — bała się żeby jej los fałszywie nie zrozumiał; więc pisała wyraźnie: „Dziaduniowi, mamie zdrowia — Olesiu szczęścia — i żeby mnie Staś pokochał!“

Obok niej brat bardziej lakonicznie, i mniej platonicznie, grezmołił od niechęcia:

„Żona z posagiem — postawił jednostkę, potem zero jedno, drugie, trzecie — za piątym chciał przestać, ale to szóste było takie pouętne, dopisał je!“

Jednocześnie z siostrą przytknęli kartki do świecy — papierek, na którym dziad dwa tylko wyrazy nakreślił, już się dopalał — i widać było na brzegu ostatnią lub może pierwszą literę — wielkie P. Ich kartki buchnęły płomieniem, aż w tej chwili zegar umilkł.

Na świecie był nowy rok.

— Cha, cha, cha! śmiał się Oleś, patrząc jak jego zera tlały, bez szansy spełnienia życzeń. Dziewczynka się nie śmiała. Błękitne jej oczy szeroko rozszerzone, żałośnie — patrzyły na ten papierek nieszczęsny. „Żeby Staś pokochał“ gorzało właśnie nie w porę już — nie w porę!

Był to może jej pierwszy zawód!

W tem poczuła dłoń suchą i zimną na swych, włosach i poczuła się przyciągniętą do piersi stariej a serdecznego ciepła pełnej. Kartka spopielała.

— Dziadus wygrał! szepnęła — jakby z żalem.

— Wygrałem, dziecko, bom jedno życzenie miał i to dla was!

— Dla nas? spytała.

— Może dla dzieci waszych, dodał zamyślony.

Potem spojrzął po nich, i zwracając się do synowej, która wróciła właśnie — rzekł:

— Ta pierwsza chwila — tym — co niema — się należy. Zrozumieli. On się pochylił — tamci pokłękli, i wdowa drżącym głosem pacierz poczęła. Za bliskich i za dalekich — za swoich, i za zapomnianych.

— Dla tych, co są — to już nie niema! rzekł, gdy skończyli, młody człowiek zniechęconym głosem.

A dziad się z trudem wyprostował, biały wąs pogładził Z pod krzaczastych brwi wypalone latami oczy jego rozżarzyły dziwnie.

— I dla was coś jest. Za mojej młodości to ludzie kochali, jak wino pili, jak przy ogniu się grzali. Bez tego nie kochasz, bez tego nie walczysz, bez tego nie pracujesz! Co to jest — dzieci? Kto zgadnie?

— Pieniądze! ze śmiechem gorzkim Oleś odparł.

— Piosenka! szepnęło dziewczęce.

— Pieszczoto moja, ptaszyno nasza swojska! zaszeptał, drżące wargi do kwitnącego policzka przyciskając — zaśpiewaj-że, zaśpiewaj! Dziś jak skowronek — może kiedyś jak orlica!

Dziewczynka skoczyła do fortepianu, i otprawdzie skowronca, stara, zuajoma, piosenka pobiegła po kątach dworu, starego jak ona.

I stała się rzecz niespodziewana. Za drugą strofką już dwa głosy słyhać było — dwa młode — a przy ostatniej, jak echo powtórzyły melodyę wargi stare, zwiedłe, chętnie już milczące.

— Brawo, dzieci! Dziękuję! wołała matka.

— To dziaduniowi za zegarek! zaśmiała się dziewczynka, przypadając mu do kolan.

— Nie pieszczoto, to dla was! Nie zapominajcie, a jak nie stanie tych, co was uczyli — sami uczcie — dalej — dalej!



I wtem młody człowiek głowę podniósł. Oblicze jego, do sarkazmu nawykłe — było w tej chwili jasne i poważne.

— Będziemy! rzekł, rękę dziada do ust podnosząc.

Zegarek zajęczał, zachrobotał — uderzył.

Nowy rok przeżył już godzinę życia.

Stary spojrzął na cyferblat.

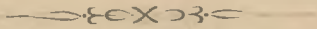
— Ośmdziesiąty pierwszy! szepnął.  
— Piętnasty! wymówiła w myśli wdowa, na portret spoglądając.

— Siedmnasty już mam! pochwaliła się dziewczynka.

— Pierwszy, który zapamiętam! zamruczał młody człowiek — chmurno!

Hraszowa  
w gub. Grodzieńskiej,

Marya Rodziewiczówna.



Obraz wspaniały — góry i skały  
Przed sobą mam,  
Lecz obraz w myśli inny się kreśli —  
Jam duszą — tam!

Lzy me i fale — jeziora fale  
Zliczyły tu.

Nad Alp szczyt biały — nad lodozwały  
Świat miłszy znam,



Wśród obcych ludzi — serca nie wzbudzi,  
Przyrody cud,  
Obce tu zdroje, góry nie moje,  
Nie mój tu lud.

Smutno też płacę na dni tulacze,  
Brak w piersi tehu,

Ach! dla mnie jeden — na ziemi Eden —  
Jam duszą — tam!

Pani Cybulskiej na pamiątkę 1873 r.

Rapperswyl.

Prusakowa

Seweryna Duchinińska.







## PAMIĄTKA PO LELEWELU.

Joachim Lelewel — genialny historyk polski, nieporównany erudyta, jeden z pięciu członków rządu Narodowego w 1830 r. w Warszawie, profesor uniwersytetu wileńskiego, którego dziejowe poglądy przyświecały młodości Adama Mickiewicza — był także, jak powszechnie wiadomo, wielkim miłośnikiem ludu, obrońcą jego praw i oświaty.

W poważnym szeregu wiekopomnych dzieł jego znajdujemy rozrzucone bogate materiały do historii włościństwa naszego. Jako dziejopis — Lelewel z upodobaniem wpatruje się w starożytność nazwy kmiecia, opromieniając ją dostojnością, dowodzącymi, jak dalekim był od praocjów naszych duch niewolnictwa i ujarzmiania jednych przez drugich.

„Ogromna ilość mnogiego ludu w słowiańszczyźnie zwała się kmet, kmot \*), ale w czasach najdawniejszych miano to dawano starszyźnie, najwyższej radzie, najwyższemu dostojństwu obywatelskiemu, całej wreszcie ludności wolnej, dostojność rajców pełnić mogącej; mającej, zarówno, jak najczestniejsi, prawo stawania do boju, bronięcia zamków, zasiadania w radzie“.

„Księżna każe zwołać kmety, lachy...“  
mówi podanie o starożytnym sądzie Libuszy...

„Każe knieżna wypraviti posli po wsse kmety, lachy a vladiki... Vstali kmeti, lesi i vladiki, pochwalili prawdu po zakonu...“

W Czechach więc widzimy, że długo część ludności zachowała swe prerogatywy obywatelskie z mianem swem kmieci i przodkowała lechom i władykom; powieści lechickie o potędze i górowaniu ludu kmiecego w Czechach wielką pamięć zachowały; stanowili oni „szczytny obywatelstwa wydział“ długo

zachowywali czesne kmetonów miano, zamienione z czasem łaciną na senatorów, konsulów ziemskich i panosze.

Ale reszta krajowców kmiecyh, wyzuta z czasem z prawa obywatelskiego — starem mianem kmieci odróżnianą była tylko od robotników — rob, których służebniczy trud do niewolnych podobnymi czynił i w końcu tak w Polsce jak i w Czechach oznaczał wieśniaka.

Jak stopniowo przychodziło do tej wolnej utraty prerogatyw, a nawet wreszcie i praw obywatelskich — wielki nasz dziejopis objaśnia to wtargnięciem obcego żywiołu.

„Ścieranie się żywiołów słowiańskich robiło ruch, ale nie tworzyło ujarzmienia jednych przez drugich; bo w rolniczym narodzie rola jedynie i rolnictwo mogły rozróżnić obywatelstwo, a cały ciąg wieków pokazuje, że gmin pielęgnował w żywiole swym równość; lud miał części równe, ziemię świętą, przez gminę wydzieloną, nie dzielną, mogącą wyżywić rodzinę, włość i gminę; niektórzy jedynie z czeredą i drużyną dążyli do większych posiadłości“.

Jeńce tylko, brańce z wojen i kary za przestępstwa tworzyły niewolnictwo, a ciągle przybytek ich w niektórych okolicach, utrzymywał ciągle niewolnego stanu byt. Byli zatem mieszkańcy zależący osobiście od pana, ale duch niewolnictwa i ujarzmienia, tak dalece był Słowianom niemożliwy, że i tym brańcom wolno było wcielać się w obywatelstwo. Za wykarczowanie pewnej części boru otrzymywał jeniec wolność i wykarczowaną ziemię z obowiązkiem daniny, usługi; mógł ją jednak porzucić i przenieść się gdzieindziej.

Byli to więc wyzwolenicy, koloniści, co stawali się krajowcami naturalizowanymi.

Wyzwoleniec, skoro skończył służebną odsługę, w poczet kmieci przechodził, po-

\*) Polska, dzieje i rzeczy jej p. Joachima Lelewela. Tom III. str. 39.



dzielał służbę wojenną, otrzymywał cząstki kmiece, mógł nabyć ziemię i pozyskać lechickie dostojęstwa.

Na chlubę więc starożytnych ojców naszych — za genialnym historykiem zawołać nam wolno: że duch niewolnictwa, ujarzmienia jednych przez drugich — był od nich dalekim; dopiero gdzie wtargnęły żywioły obce giermańskie, teutońskie, tam następowało poniżenie ludu. Konstytucya 3. maja otwiera mu znów wrota do obywatelskiej godności.

Studya Lelewela nad ludem są wielkiej powagi i siły, a wiedza i miłość bratnia z kart jego księgi uczonej przyświecała narodowi. Pod jęj promieniem rodziła się w gorętszych sercach dążność do podniesienia ludu, poezya sielskiej pracy i cnotliwego ubóstwa pod kmiecią siermięgą. Słomiana strzecha do starego ula podobna, chłopska sukmana, pod którą prawe biło serce, piła i kosa w silnej ręce robotnika, dzieci bose z za węglą domostwa trwożliwie wyglądające — oświaty wszystko to — dotknięte wyobraźnią twórczą młodej duszy — stawało się strunami na lutni, złotą pieśnią dźwięczącej... tworzyło poetów sielskich i pionierów oświaty ludowej.

Lelewel każde usiłowanie na tój drodze spostrzegał z głębi swego cichego gabinetu w Bruxelli — komnaty skromnej i jak całe mieszkanko ze stoicką prostotą urzędzonej — ale zamienionej w prawdziwą świątynię wiedzy przepychem wspaniałej biblioteki i powagą gospodarza.

Pamiętam go w tym gabinecie, z włossem białym jak śnieg, twarzą medalionową starożytnego Rzymianina o rozległym czole, na którym w sędziwych zmarszczkach przewijała się myśl całych stuleci.

Miał na sobie bluzę robotniczą popielatoniebieską, w której chętnie pracował w domu, zamieniając ją przy wyjściu do miasta na płaszcz granatowy z staroświecką peleryną, jeszcze z kraju przywieziony, po którym belgijczycy z daleka go poznawali, grupując się ze czcią przed wielkim uczoneym, przed mężem głębokich cnót filozoficznych w codziennym życiu i jednym z najczystszych obywateli tego wieku.

Pamiętam go w młodym wieku moim, na parę lat przed jego zgonem, gdy matka moja w przejeździe do Ostendy, z właściwym sobie pietyzmem, jaki miała dla każdej narodowej zasługi, odwiedzała go w Bruxelli.

Lelewel był niegdyś profesorem ojca mego w uniwersytecie warszawskim, i słowami:

— Witam Cię obywatelko, pozdrowił wchodzącą do jego gabinetu moją matkę, która z dobrotliwą powagą przyjmowała ten republikański tytuł, jaki historyk dawał polkom, odwiedzającym go na wygnaniu.

Pamiętam go.

Wkrótce potem spostrzegł on i zauważył pierwszą pracę literacką poczynającego pióra pod tytułem: „Szkółka wiejska“ — i zajęty w niej młodzieńczem marzeniem o szczęśliwszej doli ludu, płynącej z oświaty przesłał ocenę tój książeczki do „Czasu“ w Krakowie. Gdy jednak cenzura artykuł ten historyka, okraszony wzniosłymi jego poglądami na kwestyę oświaty ludowej, wyjąć już wydrukowany z kolumny dziennika nakazała; Lelewel udarował piszącą rękopismem zakazanego artykułu i jedynym podobno wierszem, jaki w swem życiu napisał.

Za motto do niego wziął sobie słowa: „dzwonią, dzwonią“; wiersz ten wraz z dopiskami w liście brzmi następująco:

„Dzwonią, dzwonią,  
Pocóż mnie gnębi żmudna praca?  
Lata gonia,  
Zgon do spoczynku nagle zwraca.  
Dzwonią, dzwonią,  
Kruszy mi się pług zardzewiały,  
Braciaż wzbrowni  
Złożyć w grobie gnat przestarzały.  
Dzwonią, dzwonią,  
Czyste skronie cnój Antoniny,  
Niech osłonią  
Wieńcem czei matki i dzieciny.

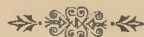
„A że wierszy naszych nie będą czytać ni kmiecie, ni dzieciny, wolę pisać wolną mowę. Prozę przewano wolną mową, wiersz tedy musi być w pętach, niewolny, a zatem chętnie wracam do wolnej mowy, przeselając wyraz życzliwości i wierne służby.

Bruxella. 13. września 1859.

Wiersz ten — jako droga pamiątka po Lelewelu długie lata spoczywał, starannie zachowany i nie był drukowany nigdy; dziś więc składam go poraz pierwszy na kęs chleba dla ludu kmiecego; dla ludu łaknącego zawsze jeszcze chleba i oświaty — (ale przynajmy to na chlubę naszego wieku — na cześć dziedzictwa, wziętego po ustawie 3go maja, na zaszczyt zasad głoszonych przez dziejowe karty Lelewela) — obfitującego coraz częściej w braterską miłość i pomoc wszystkich stanów w narodzie.

Lwów.

A. M.....







Nadziejo, wszyscy cię ganią,  
 Że zwodzisz ludzi bez końca,  
 Och, ty jesteś moją panią,  
 Droższą, niż promienie słońca.

Nadziejo, słaba, mdlejąca,  
 Czy się lękać mam przyczynę?  
 Nadziejo, tyś konająca,  
 Pózwól, że ja pierwój zginę!

Ileż to lat tą nadzieją żyjemy, my, nie-  
 szczęśliwi Polacy! Ale ona nas pewno nie  
 zawiedzie; jeżeli ufni w miłosierdzie boże,  
 ani na chwilę nie dopuścimy zwątpienia do  
 serc naszych, jeżeli tę Matkę naszą taką uko-  
 chamy miłością, że dla niej życie i mienie  
 poświęcić będzie świętym obowiązkiem na-  
 szym, jeżeli braci naszych tą kochać będziemy  
 miłością, jakiej nas sam Chrystus naucza. Ja,  
 stojąc nad grobem mam tę świętą wiarę i  
 nadzieję, że Bóg się ulituje i da Wam docze-  
 kać szczęśliwego odrodzenia, o co całe ży-  
 cie go gorąco błagam i z całej duszy wam  
 życzę.

Emilia Szczaniecka.

Pakosław Ks. Poznańskie.

Dajemy tu jeszcze i wyjątek z listu p.  
 Emilii Szczanieckiej jako przykład nieusta-  
 jącego ani na chwilę narodowego dążenia:

„Na żądanie napisałam i posełam moje  
 pracę. Jestem bardzo starą, i od dwóch lat  
 ciągle niedomagam, więc trudne to dla mnie  
 zadanie, ale w całym moim życiu brałam  
 zawsze udział we wszystkim, co było dobre  
 i wzniosłe, nie chciałam więc przy końcu życia  
 tego nie uczynić.



Radość z badania idealów jest uśmie-  
 chem samego Boga w obec duszy ludzkiej.

Lwów.

Janina Sedlaczkówna.

## Z WIELKOPOLSKI.

Głód u was, bracia... O przyszłość dzieci  
 Dniem, nocą dręczy Was trwoga —  
 Z serc troski pełnych, dniem, nocą leci  
 Jęk nędzy waszój do Boga...

Jęk ten się echem u nas powtarza, —  
 Bo nas granica nie dzieli!  
 Nas ból wasz boli — trwoga przeraża —  
 Mybyśmy pomóc wam chcieli!...

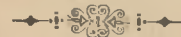
Lecz pomoc nasza, co dzisiaj znaczy?  
 Czy chęć, bez siły, co dopnie?!...  
 I myśmy głodni!... głodni inaczej!...  
 Głodni, o bracia, okropnie!...

...Wam rok ten może zablizni rany —  
 Wesprze Was ręka oliarna —  
 Złocistem zbożem zabłyszczą łany —  
 Kłós się pochyli od ziarna!...

A my na nasze łany i pola  
 Patrzymy wzrokiem rozpaczy —  
 Bo cięższa stokroć nasza niedola!...  
 Bo myśmy głodni — inaczej!...!

Siemianiec, w Ks. Poznańskim.

M. F. Szembek.



## Z motywów ludowych.

O! gdybym ja była, Boże,  
 Jak kwiat zwiędła na ugorze!  
 O! gdybym ja była z rzeką  
 Popłynęła w świat daleko,  
 Z ciemną nocą się rozwiła,  
 Nim kochanie jam poznała.  
 Ach! to czary, to nasłanie  
 Przez złych ludzi, to kochanie:  
 Pije z serca krew kroplami,  
 Serdecznymi żyje łzami,  
 A gdy weźmie w moc swą kogo,  
 To prowadzi go już droga,  
 I ścieżyną i lasami,  
 Aż pomiędzy mogiłkami,  
 Gdy go złoży, w ciemnym grobie,  
 To odchodzi wtenczas sobie. —  
 Darmo wczoraj ksiądz w kościele  
 O kochaniu mówił wiele:  
 Że od Boga jest zesłane,  
 Że na szczęście ludziom dane, —  
 Mnie sierocie dało ono  
 Tylko tęskność niezgłębioną;  
 Tylko w oczy łez nawiało  
 I szczęśliwość wzięło całą.  
 O! gdybym ja była Boże,  
 Jak kwiat zwiędła na ugorze!  
 O! gdybym ja była z rzeką  
 Popłynęła w świat daleko —  
 Z ciemną nocą się rozwiła,  
 Nim kochanie jam poznała! —

Skabioza.



## W CISZY WIECZORNEJ.

Siedziała nad kolebką swego pierworodnego syna, była młoda i piękna. Piękność regularnych rysów, spotęgowana macierzyńską miłością, rozjaśniła jej oblicze czarem niewysłowionego zachwyty. Wsparta na niskiej kanapie, wpatrzyła się w różową twarzyczkę swego maleństwa, którego główka okolona złocistymi puklami, tonęła w przeźroczu białych koronek.

Spał cichutko uśmiechając się...

Musi być wielkim i sławnym! ten syn mój pierworodny, to ukochanie mego serca! wyrzekła, pochylając się nad kolebką. Dzisiaj, kiedy zapory przesądów prysnęły, kiedy wszystkie szczeble sławy i zaszczytów przekracza potęgą rozumu i wiedzy, on utoruje sobie drogę i będzie jednym z tych przodowników, którzy na zwykłych gościńcach pracy ludzkiej — nowe wytykają szlaki.

Może być genialnym poetą, sławnym malarzem, może w harmonię tonów przelać wszystkie skarby uczuć i namiętności ludzkich, albo w naukach przyrodniczych zgłębić te tajemnice, które do dziś są hipotezą dla uczonych, może potęgą swego ducha zakląć w poddaństwo te siły w naturze, które dotąd nieujarzmione natrzęsają się z nieudolności człowieka, tego króla wszechstworzenia.

Tak, wiek pokaże, w którym kierunku jego zdolności wystrzela.

Tutaj wspomieniem zwróciła się w dziecinne swoje i młodociane lata, przypomniała sobie z zadowoleniem wszystkie nagrody i odznaczenia, które zebrała w zakładach naukowych, pamiętała, że mówiono, iż miała bystrą i dobrą głowę; rozważyła następnie zaszczytne i korzystne stanowisko swego męża, które zawdzięczał wybitnym zdolnościom, odróżniającym go od innych i powiedziała:

— Dlaczegożby syn nasz nie miał odziedziczonego po nas uzdolnienia spotęgować umięjętnym kierunkiem i z pomocą naszą podnieść się na te wyżyny, na których przebywa sława?

A może też dostała mu się w udziale owa iskra tajemnicza, która tworzy geniusze?

Jeżeli tak — to ja — mój skarbie jedyny, nie stanę nigdy przeszkodą na twojej

drodze, ale wszystko co piękne i wzniosłe zgromadzę od najwcześniejszych lat w koło ciebie, sama będę pracowała nad sobą, byś z mego serca i umysłu czerpał zachętę tego, co cię rozwinać, co cię wznieść może po nad innych.

I w niemém skupieniu przymknęła oczy i uniosła się marzeniem w te światy, w których myśl ludzka nie znajduje przeszkód i wszystkie swoje pragnienia przyobleka w ciało rzeczywistości.

Zobaczyła oczyma duszy plac duży, na którym fale głów ludzkich poruszały się lekko, słońce pogodne rozlewało w około swoje blaski złote, na estradzie uwieńczonej kwiatami i zielenią, miał w pośród téj uroczystości stanąć ten, którego odznaczyć i uczyć chciano. Odgłos dzwonów napełniał powietrze, jasno było, świętecznie, a ona w pośród tych tłumów szła u boku męża, nie dotykając prawie ziemi, unoszona potęgą swjej miłości i zachwyty. Serce jej drgające, rozszerzone dumą macierzyńską łowiło w upojeniu te słowa, które naokoło niej powtarzano: Patrzcie, oto matka jego!

Był to ogrom szczęścia nad jej siły, miała uczucie, że wchodzi w jakieś światy nieznaue, odetchnęła głęboko, podnosząc oczy od kolebki i widziadeł swego przyszłego szczęścia.

Lampa, zwieszająca się od sufitu, rzuciła kilka migocących płomieni, dopalając resztki oleju i zaścielając pokój półmrokiem.

Ocknęła się, wstała żwawo, zapaliła świecę, zgasila lampę i przetarła oczy; czuła, że stanęła na rzeczywistym świecie.

Spojrzała na syna, spał jeszcze, tylko zamiast uśmiechu wydobyło się z jego piersi lekkie westchnienie i usteczka ściągnęły się jakby do płaczu.

— Musi mu coś dolegać, pomyślała z lękiem, dreszcz ją przeszedł i w duszy jej zrobiło się ciemno.

Nagle, jakby jakieś mary, przesunęły się przed jej pamięcią długim orszakiem postaci wielkich i sławnych ludzi, tych, którzy potęgą gieniuszu świat wstrząsnęli, którzy mu ogłosili nowe prawa, poczynili wielkie wynalazki, szerzyli postępowe idee. Szli owi synowie światła na Golgotę sławy z cichym jękiem, podobni raczej do męczenników, których każdy krok na arenie zapasów ducha twórczego zostawiał ślad krwawy.

W około nich nie słyhać było okrzyków wesela i tryumfu, otaczały ich wśród téj samotnej wędrówki szemrania zawiści, pogróżki przekleństw, uśmiechy szyderstwa.



Nie wyglądali ci ludzie na szczęśliwych, którym ludzkość wypłaciła należną daninę uznania — miłością i wdzięcznością.

Biedni! wyszeptwała młoda matka i ukryła twarz w dłoniach...

O! Panie! przebac mi to, co było pychą w marzeniach moich, rzekła, uchwaj mi go zdrowo i niech będzie zwykłym, byle uczciwym człowiekiem.

Jeżeli jednak przeznaczeniem jego stanąć w rzędzie tych, z których męki ma dla ludzkości zapłonąć przewodnia gwiazda na szlakach dotąd nieznanych, pozwól niech posłannictwo swoje spełni z czołem podniesionem w niebo, bym ja jako matka miała siłę stanąć tam, gdzie Ty mi stać każesz i wyrzec: dałeś mi go Panie, by z niego wyszło światło dla braci, a dla Ciebie chwała!

Mielnica,

Walerja Stacherska.

## Memento.

Jeżeli kiedy w lutni struna pęknie,  
Pieśniarz ją znowu nawiąże z pośpiechem,  
I jeszcze piękniej piosenka zadzwoni,  
Jeszcze głośniejszem odezwie się echem.

Lecz jeśli pęknie struna w ludzkiej piersi,  
Nikt jej nawiązać nie będzie już w stanie,  
I głosu ona nie wyda już więcej,  
Niema i martwą na wieki zostanie.

Marjan Syxtus.

(Pseudonym).

Dać jeść głodnemu — jest to zapobiec zbrodni. Pomijając wypadki chorobliwe, będące wynikiem kalectwa nabytego lub odziedziczonego, brak zaspokojenia najpierwszych potrzeb jest najczęściej bodźcem do zbrodni.

Głodne a sprytne dziecko jest gotowym złodziejem kieszonkowym, zadawałniającym się trochę grosza na bułkę. Z takiego zręcznego malca wyrasta młodzieniec, otwierający wytrychem kasę ogniotrwałą swego pryncypała.

Ojciec, który nie ma co dać jeść swój dziatwie, ma do wyboru trzy drogi, a wszystkie trzy są zbrodnią: gdy nie jest zbyt hardy, idzie kraść lub rozbijać, wygórowana duma popycha go do samobójstwa albo dzieciobójstwa.

Genewa,

Wanda Szczawińska.

## OPOWIADANIE.



Głód...

Kto nie zaznał tego wrażenia inaczej, jak czekając na nieco spóźniony obiad lub wieczerzę — komu tylko zdrowy i pobudzony apetyt zaostrzył przyjemność spożywania bożych darów — ten wyobrażenia nie ma o męczarni, zawartej w tym krótkim, głucho brzmiącym wyrazie „głód“.

Po pierwszych objawach „czczości“. następuje szereg udręczeń: kurcz dolega w żołądku, ręce się trzęsą, w głowie huczy niby tysiące pogrzebowych dzwonów, policzki płoną rumieńcem cegląstym, ćmi się wzrok, mdleją nogi, i każdy ruch męczy niewypowiedzianie, każdy szelest wprawia w rozdrażnienie. Ponury gniew wstrząsa całym jestestwem, a głos zamiera w krtani, ściśniętej jakby łkaniem... Człowiek czuje, że nim rzadzi zwierzę, łaknące żeru, straszne, gotowe do napaści i wycia...

\* \* \*

Dobrowolni „głodomory.“ dr. Tanner, Włoch Succi, i współzawodnik jego Merlatti, w ciągu czterdziestodniowego postu, jaki przedsięwzięli w celach bądź nauki, bądź zarobku i reklamy — miewali chwile, zwłaszcza w pierwszych dniach owej praktyki, że z jękiem i łzami padali w kurczach na łoża, wijąc się z bólu i rozpacz. Dowiedziona jest bowiem rzeczą, iż najgłębszy smutek ogarnia zgłodniałych.

\* \* \*

Wrażenie głodu znanem mi jest z osobistego doświadczenia, ale smutek podówczas nie miewał przystępu do méj duszy — owszem wspomnienie owej chwili należy niemal — do wesołych.

Było to dawno — przed jedynastu czy dzieściami laty. Przybyliśmy do wielkiego a nieznanego miasta; para młoda, za cały dobytek na świeżo założone gospodarstwo posiadająca kilkaset franków i bogate — nadzieje, oparte na zaufaniu we własne zdolności i siły.

Zamieszkaliśmy na ulicy, noszącej arystokratyczne miano de la Reine Blanche. Gdyby jednak ta królowa odbyła choć raz przechadzkę po tym wąskim zaułku, zabudowanym krzywymi lepiankami, niewątpliwie byłaby swe miano cofnęła z obrazą. Nasz dom był wprawdzie najpiękniejszy, posiadał pracownię, przerobioną ze śpichlerza i własną piwnicę — ale gdy nas wieczorem odwiedził jaki znajomy, Edward odprowadzał go dla pewności zaopatrzonej we wszelką broń, jaka była w naszym posiadaniu: szpada (z ułamanym końcem) wielki scyzoryk i stary parasol. Scyzoryk zwykle gość zabierał na dalszą drogę, a Edward z parasolem i ukrytą wewnątrz szpadą wracał od rogu ulicy, bez szwanku.

W dzień huczały na okół fabryki, i ludek pracowity kręcił się jak mrowie — ale w nocy,



było pusto i cisza zalegała ponura. W zaułku wąskim i długim ciemno bywało jak w tunelu, i tylko przed naszym domem połyskiwała latarnia na wysokim słupie bardzo pierwotnej konstrukcji.

Franki potoczyły się prędko... kupiło się trochę farb, trochę pędzli, wielkie płótnisko, stylową kanapę z której wnet sypać się jęły trociny — dużo kwiatów, parę radełków — ot, zwyczajnie artystyczne gospodarstwo. Ale choć to razem wzięwszy nie miało żadnej wartości — franki wyczerpały się na owe zakupy. Edward zaczął obraz wielki, spodziewając się lada dzień kupca — którego, mówiąc nawiasem, na Reine Blanche nigdy oko ludzkie nie ujrzało... Nadziei nam nie zabrakło — ale, pewnego wieczoru, po dniu bardzo długim, znaleźliśmy się przed domem, pod latarnią, aby choć trochę korzystać z jej skromnego oświetlenia, bo w domu, niestety, nie było świecy kawałka, a w lampie ani krzty oleju, a w żółdkach naszych, ani śladu jakiegobądź jada. Prostu mówiąc, nie mieliśmy za co od 24 godzin kupić żadnej rzeczy, niezbędnej do pożywienia i kieszenie nasze były puściuteńkie... W dzień nadaremne okazały się wszelkie zachody w celu zdobycia pożądanej monety kurs w kraju mającej, a bogactwa nasze, nadzieje — nie miały w tym razie skutecznego zastosowania. Staliśmy sobie tedy pod latarnią w wieczór marcowy, Edward chmurny, ja zasepiona, i Maskotka podnosząca kolejno na nas rozumne swe ślepki, najwyraźniej z zapytaniem o wieczere.

Maskotka, była to mała żółta psina, która przed paru miesiącami wychudła i zablocona przywlokła się pole drzwi naszego mieszkania, dopraszając się ludzkiej litości i opieki. Lubię zwierzęta a zwłaszcza psy niesłychanie, a tembardziej takie na pastwę losu porzucone, bezbronne ofiary; przeto Maskotka (przezemnie tak nazwana) znalazła u nas gościnne przyjęcie. Przywiązała się do nas odrazu, tem więcej, że wkrótce już nie tylko ona sama, ale i troje drobnych psiaków skomlało o pożywienie. Trzeba wyznać, że nawet podczas owych godzin przymusowego postu, ostatnią kroplę mleka wylizały różowe języczki Maskotki i jej potomstwa. Ale pod wieczór już i dla niej zabrakło wieczery.

Psiaki były przesłiczne, żółte, kudłate; starając się im zapewnić przyszłość, w całej dzielnicy szukałam dla nich dobrej służby — ale jakoś nie znalazły dotąd amatora. Więc tedy o tej szarzej godzinie Edward, ja i Maskotka czuliśmy coraz głębszy niepokój, nurtujący nasze — wnętrznosci.

\* \* \*

— Sacré nom de Dieu! odzywał się Edward po raz nie wiem już który, pakując ręce do kieszeni i spluwając z pogardą marności światowych na ulicę — Maskotka wspięła się ku mnie, liżąc moje dłonie z widoczną prośbą, a może ze współczuciem, jak to psy umieją...

— Słuchaj — odezwałam się do męża z nagłym postanowieniem — niech się co chce dzieje... pójdę do sklepiku — zażądam na kredyt... przecież mi nie odmówią...

— Czyż się odważysz?... pytał Edward tonem wątpliwości.

— Odważę się — zobaczysz. Dłużej nie mogę., i ta biedna psina... Pójdę — powiem, że zapomniałem pieniędzy...

Pierwszy to raz przyszło mi się zapoznać z tą wielką instytucją, na której świat stoi, z kredytem! Nie dziw, że czyniłam to nieśmiało... Wchodząc do sklepiku, drżałam jak listek — rozdrażnienie nerwowe potęgowało się z każdą chwilą...

Maskotka towarzyszyła mi nieodstępnie. Nie wiedziałam, jakby tu zacząć, zwłaszcza, że w sklepiku tłoczyli się kupujący. Gdy wzrok kupcowej, tłustej owerniatki w czepcu rurkowym skierował się w moją stronę, schyliłam się czempredziej i dla kontenansu pogłaskałam moję psinę. Czułam, że tuż, tuż łzy trysnąć były gotowe...

— A propos, odezwała się sklepikarka, przystępując ku mnie. Mam z panią do pomówienia.

— Boże wszechmogący! powie mi, że na kredyt nie daje! pomyślałam przerażona.

— Czy ma pani jeszcze owe małe pieski! Ta pani — i tu wskazała na elegancką damulkę, kupującą pomarańcze — życzy sobie nabyć jednego a może i dwoje —

Na b y ć! czyliżem się przesłyszała? Ale nie. Owerniatka dalej prawi mi do ucha głosem zniżonym:

— Na co pani ma jej dawać darmo, kiedy ona bogata, zapłaci. Niechno pani te pieski zaraz tutaj przyniesie. To się robi, ja ją jeszcze namówię.

Na b y ć! o błogostawiona owerniatko! bo dajesz wyrzekła w szczęśliwą godzinę!..

Gdy mię Edward biegnącą do domu zobaczył z pustymi rękoma, już nastroił oblicze do najżałośniejszej kondolencji.

— Pieski, prędko, pieski! wołałam zadyszana. Więc pomyślał napewno, żem zwaryowała.

Jak się tam odbył ten targ o pieski, niepomnę — dość, że elegancka dama zabrała dwoje kudłatych dziątek Maskotki, a owerniatka z tryumfem wsunęła w moję rękę dwie sztuki dziesięciofrankowe.

— Proszę o świece, cukier, kawę, herbatę, sardynki, etc,

Nie bolała mię już głowa, nie czułam „czczości“. Nigdy nie zrozumieć, jakim sposobem podzwigać byłam w stanie do domu tyle pakietów, nie zgubiwszy w drodze ani jednego.

Co za wspaniała wieczera! Jaki wesoły brzęk widelców o talerze! Po drugiej szklance herbaty, Edward paląc papierosa oświadczył, że kupiec obrazów niezawodnie w tych dniach się zjawi. Zawiazaliśmy też bardzo zajmującą rozmowę o impresyonizmie. (Wtedy jeszcze nie znano plein air'u.)

Ale drobne kosmate łapki wsparły się o moje kolana, i Maskotka, choć oblizująca się z zachwytem po wieczery, wlepiła we mnie czarne rozumne swe oczka z wyrazem żalu... Zrozumieliśmy jej pytanie, i nagle jakby kto dmuchnął na wesołość naszą... Jakoś nam się zrobiło przykro, i żałośnie, i całując wdzięczne stworzenie jak przyjaciela, mieliśmy łzy w oczach oboje...

Marya Szeliga.

Paryż.







**O**

moja ziemio, w smętnych dni twych  
[przędę  
Wszystkie z kolei wplatają się nędze,  
I wszystkie ciosy, nienawistną siłą,  
Nad twój przeszłości szaleją mogiła...

Aż się zamknęła i pierś twoja czarna,  
Tylu łez pełna i trudu,  
I szczerozłote zmarniały gdzieś ziarna,  
I nie masz chleba dla ludu...

O, moja ziemio, zanim dzień zaświta,  
Co twe srebrzyste rozkołysze żyta,  
Serc miłujących urodzajna gleba  
Musi tymczasem wydać zapas chleba.

Gorące serca — to grunt wiecznie płodny,  
I lud twój biedny, zgłodzony —  
Dziś od serc naszych nie odejdzie głodny,  
Miłość — jak wiosna da plony.

Lecz, moja ziemio, prócz czarnego chleba —  
Jeszcze nam lud twój duchem karmić trzeba,  
I przed zmęczone, chwiejne jego stopy —  
Rzucać mu światła życiodajne snopy;

O, moja ziemio, ty będziesz szczęśliwą,  
Gdy krwią miłości przesiąknie  
[posucha,  
Gdy razem wszyscy, zejdu się na żniwo,  
Na wspólny urodzaj ducha.

Lwów

Szczęsnia.

## NA GOLGOCIE.

**U** nóg Twych składam marzenia młodości,  
I wołam: Panie, miłości, miłości!  
U nóg Twych składam szal rajy ziemskiego  
I wołam: Panie, spokoju twojego!  
U nóg twych składam świata Twego dary,  
I wołam: Panie, nadziei i wiary!  
U nóg Twych składam moje łzy, cierpienia,  
I wołam: Panie, Panie, wylawienia!

U nóg Twych składam wszystko co bolało,  
I wołam: Panie, za mało, mało!  
U nóg twych składam grzechy, przewinienia,  
I wołam: Panie, Panie, przebaczenia!  
U nóg Twych składam cały świat nicości,  
I wołam: Panie, Panie mój, litości!

Franciszka Zahrzewska.

Kleszczow Ks. Poznańskie.



## PRĄD DUCHA CZASU.\*)

„Błogosławiony, kto w sił swoich pocie  
Kruszy przesądów zastarzałych kraty“.  
Wł. Belza.



Miałam wpływowe znajomości, więc pozwolono mi odwiedzić ją.

W izbie panował mrok prawie zupełny, bo okratowane i wysoko umieszczone okienko, skapo przepuszczało promienie słońca... Siedziała na nędznym posłaniu, z pochyloną głową i kołysała zlekka swoją postacią, oplótszy kolana wychudłymi rękami.

Prosiłam, by mi opowiedziała, jak się to stało, że ona?... Nie odmówiła mi.

— Trzynastu lat jeszcze nie miałam — opowiadała — kiedy zostałam zupełną sierotą. Przygarnął mnie do siebie daleki krewny, blisko siedm dziesięcio-letni starzec, którego wszyscy zwali „Ojcem Rochem“ a który kazał mi nazywać się „dziaduniem“. Posyłał mnie do szkoły i sam uczył wielu pięknych rzeczy, a ja mu za to czytywałam dzienniki i dużo książek, których treści wprawdzie nierozumiałam, ale które musiałam czytywać — bo dziadunio był ociemniały. Miał on wielu przyjaciół starych i młodych, którzy go często odwiedzali. Jedni z nich ubierali się dostojnie i mieli ręce białe a gładkie jak aksamit — inni byli odziani ubogo, a dłonie tych były czarne, szorstkie, spracowane. Mimo to kochali się wzajemnie, nazywali „braćmi“ lub „druhami“, a delikatne dłonie spotykały się z szorstkimi w szczerym uścisku. Ilekroć odwiedził który dziadunia, wyprawiał mnie tenże do drugiego pokoju, kazał grać lub uczyć się pilnie, a nie słuchać tego co-by mówili. Spełniałam zawsze jego życzenie...

Raz, dziadunio był wielce skłopotany, bo miał wysłać jakiś pilny list, a przyjaciel, który go miał napisać, nie przybył.

Ofiarowałam się z pomocą.

— Czy potrafisz milczeć? — spytał mnie dziadek. Czy o treści listu nie powiesz nikomu?  
— Nikomu, dziadku! — przyrzekłam.

Rozkazał mi zapalić świece koło obrazu ukrzyżowanego Chrystusa, a gdy to uczyniłam, ujął mnie za rękę i rzekł: „Przysiąż-że mi.

I przysięgłam.

Odtąd często pisywałam dziaduniowi listy, który takowe słał do Włoch, Francji, Niemiec i innych krajów — a nadto pozwalał mi przysłuchiwać się niekiedy rozmowie jego z „druhami“. Dumna byłam z tego zaszczytu, ale nie wielką mi to zrazu sprawiało przyjemność, bo mało mogłam rozumieć z tego, co mówili. Jednak ziarno rzucając w mą duszę, choć nieznacznie — przecież kiełkowało. Do uszu moich wpadały różne uwagi i zdania, które mi dużo do myślenia dawały. Pamiętam, że jedno z nich: „Społeczność obowiązkom wierna... prawo posiadania ziemi i każdej innej własności pracy tylko przyznaje...“ kilka nocy spać mi nie dało.

\*) Z powodu spóźnienia w nadesłaniu nie zamieszczone w alfabetycznym porządku.

Dziadek był ze mnie bardzo zadowolony i miłował mnie co-raz więcej.

Jednego razu użalałam mu się ze łzami w oczach, że nie dobrze pojmuję naukę fizyki — że ostatniego wykładu nie rozumiałam. A mówiła nam wtedy nauczycielka o prądzie polarnym i ekwatoryalnym — i o tem, co przy zetknięciu się tych dwóch sił powstaje.

Dziadek się zaśmiał wesoło. Pucieszył mnie, że przy jego pomocy zrozumie to, a potem ucałował mnie w czoło i rzekł: Ty za-to inny prąd rozumiesz, o którym koleżanki twoje pojęcia nie mają. Ty rozumiesz, już jasno „prąd ducha czasu.“ I mówił potem długo, o różnych palących kwestjach i o tem, czego się po mnie spodziewać ma prawo. Aż ulękłam się ogromnych tych obowiązków i rzekłam: „Dziadku! gdzież mnie takiej małej i drobnej do spraw tak ważnych! A dziad przypomni mi wówczas jedną ze złotych myśli Kraszewskiego: „Prąd ducha czasu jest jak owe burze wielkie, które i wielkie gmachy obalają i tu-many pyłków unoszą ze sobą“...

W trzy lata potem umarł dziadunio nagle i śpi teraz spokojnie obok tych, co równie pięknie jak on myśleli. Przyjaciele postawili mu krzyż dębowy z napisem: „Błogosławiony, kto w sił swoich pocie, kruszy przesądów zastarzałych kraty...“

— A ja? — jam tutaj. Jak widzisz, porwał mnie „prąd ducha czasu“, który jak owe burze wielkie gmachy obala i najmniejsze pyłki unosi za sobą.

*Teresa Mlemonsiewicz.*

Równie.



## Do Irlandzkiej dziewczyny.

**D**ziada Irlandko o płowym warkoczu,  
Czemu ci lica różami nie kwitną —  
I smutek leży na dnie modrych oczu,  
Jak wodna otchłań pod falą błękitną?

Czemu?... Bo, dziewczę, tyś cmentarne kwiecie,  
Wzrosłe na piasku matczynej mogiły;  
Boś ty sieroce, niewolnicze dziecko,  
Które macosze ręce wyniańczyły...

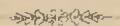
Eryn zielony leży w krwawym grobie,  
Lecz jego pamięć po pogrzebie — żywa:  
Erynu córo! ta pamięć niech tobie  
Dziewicze serce puklerzem okrywa.

Erynu córo! syn Albionu dumny,  
Gdy po dłoń twoję sięgnąć się ośmieli,  
Ty mu — z matczyną powstające trumny —  
Wskaż krwawe widmo, co was z sobą dzieli.

Gdy ci na serce rzuci sieć zdradziecką,  
Ty, wolny ptaszku, rozbij pierś o klatkę,  
Bo on syn zbrojcy — ty ofiary dziecko —  
Bo jego ojciec zabił twoją matkę...

*Julia Terpiłowska.*

Warszawa.







# WSPOMNIENIE Z PRZESZŁOŚCI.

PRZEZ

TERESĘ JADWIGĘ

DLA DZIECI MIASTA L W O W A .



Straszny był to dzień dla miasta Lwowa, dzień 26 września r. 1648: dźwięki dzwonów, hasło trwogi dające, zbudziły mieszkańców jego o samym brzasku dnia. Kto tylko mógł, ten przyodziawszy się pośpiesznie, wybiegł na ulicę pytać, co znaczy to hasło; lecz pytać nie trzeba było: ulicą tłoczyło się rycerstwo polskie, szło w najwyższym nieładzie, w nieporządku, zamieszaniu, gnane widocznie strachem.

„Kozacy idą za nami“ wołali żołnierze, „uciekajcie, ratujcie się, za godzin parę najdalej będą tutaj.“

Krzyki i szlochania rozległy się na całym mieście w odpowiedzi na tę przestrożę; wiedzieli Lwowianie, że Kozacy chwycili za broń, że wojnę wypowiedzieli Rzeczypospolitej, że oderwać się od niej postanowili; słyszeli, że nie ludzko obchodzą się z pokonanymi, że gdy jaki gród zdobędą, to mordują wszystkich... palą, rabują i niszczą wszystko... Niedziw, iż trwoga ogarnęła ich na wiadomość, że ów straszny nieprzyjaciel ku nim się zbliża: mężczyźni na znak rozpaczli darli suknie na sobie, kobiety ręce łamały, lub biegły do kościołów wzywać pomocy Pana Wszechrzeczy... Tymczasem ulice Lwowa coraz bardziej się zapełniały zbiegłym rycerstwem; uciekli oni z pod Pilawiec, gdzie wystraszyli ich Tatarzy, którzy przyszli w pomoc Kozakom; za biegnącymi w nieładzie żołnierzami ciągnęły wyładowane wozy, za wozami wodzowie w kolasach, pyłem i błotem ukrytych, ci spojrzeć na lud nie śmieli, siedzieli ze spuszczonej oczyma, a lud z wymówką na nich spoglądał... Uciszyło się wreszcie, opustoszały ulice, zbiegłe rycerstwo spoczęło w gospodach miasta Lwowa, wodzowie w pałacu arcybiskupa; mieszczanie pogawędziwszy o smutnej porażce, rozeszli się do domów, lecz kilku wysłali z prośbą do wodzów, by ratowali zagrożone miasto; nie pomyślą wszakże posłowie braciom odpowiedź przynieśli, widzieli się z jednym z wodzów, który im rzekł:

„Wszystko stracone, jeden Bóg pomóc wam może, my nie jesteśmy w stanie, nie mamy broni,

nie mamy pieniędzy, nie mamy czem walczyć, zdajcie się na łaskę nieprzyjaciela, to moja rada.“

Głuche milczenie zrazu zapanowało po tej odpowiedzi wśród posłów, poczem jeden podniósłszy czoło, rzekł:

„Nie wydamy za nie miasta naszego wrogom, „obronić je musim.“

Dwa dni minęło, dni pełnych niepokoju i trwogi, nieprzyjaciel nie ukazał się jeszcze, lecz wieści chodzily, iż ciągnie powoli ku miastu, że lada chwila stanie pod Lwowem olbrzymi, potężny, straszny... W kościele OO. Bernardynów zasiedli wodzowie rozbitych hufców: książe Jeremi Wiśniowiecki, Ostroróg, Radziejowski, Wessel, Myszkowski, Łaszcz, z nimi pułkownicy, rycerze, około 3000 osób zebrało się tutaj i radzili, co czynić w tej niedoli; w istocie rycerstwo nie miało dostatecznie broni, amunicji, dział, pieniędzy, utraciło wszystko w ucieczce... Wtem gdy tak radzą i nie widzą innego sposobu, jak oddać Lwów Kozakom, gdy większość prawie ten smutny wyrok na nieszczęsne miasto wydała, drzwi kościoła, w którym rada była zebrana, rozwarły się na oścież i w progu ich trzy niewiasty stanęły: jedna w szatach żałobnych, była to Katarzyna Słomińska, mieszkanka Lwowa; dwie inne — mniszki z miejscowego klasztoru Karmelitanek, wszystkie trzy dźwigały jakieś skrzynki. Pokłoniwszy się radzie z godnością, niewiasty owe wolno, poważnie zbliżyły się do stołu, przy którym panowie siedzieli, poczem Katarzyna Słomińska pierwsza postawiła swą skrzynkę u nóg księcia i rzekła:

„Składam mój posąg na obronę ojczyzny, za klejnoty i pieniądze w tej skrzyni zawarte kupcie panowie broń i walciecie dalej.“

Zaledwie skończyła mówić, zbliżyły się do księcia dwie mniszki.

— „Z klasztoru Karmelitanek jesteśmy“ rzekły, co klasztor posiada, to składamy u nóg twych książe; kup broń potrzebną i broń ojczyznę.“

I klęły wszystkie trzy i złożwszy ręce, wołały: „Na Boga, na świętych patronów kraju naszego, na prochy ojców naszych zaklinamy cię książe, stań na czele hufców zbrojnych, ratuj Lwów, ratuj Polskę!“





*Rycerstwo polskie, udające się na wyprawę wojenną.*

*Z Mohorta.*



Czyn ten szlachetny wprowadził w takie zdumienie zebranych panów, iż zrazu żaden słowa nie wymówił, dopiero po chwili zdobyli się na podziękowanie. Otucha wstąpiła teraz w serca rycerzy, poczęli radzić energiczniej, postanowili opór stawić Kozakom, ogłosili hetmanem wojsk księcia Jeremiego Wiśniowieckiego. Niedosć natem: pociągnięci zacnym przykładem trzech niewiast, mieszkańcy Lwowa jeden za drugim znosili dary, każdy dawał co miał, na co go stać było: ten srebro, tamten klejnoty, inny pieniądze; wyzuwali się ze wszystkiego, ostatni grosz oddawali dla ojczyzny i zebrała się duża suma około miljon złotych w pieniądzech, a 300 000 w kosztownościach; wówczas Jeremi Wiśniowiecki, uzbroiwszy rycerstwo i odziewszy je świeżo, pośpieszył do Zamościa, który mocno obwarowawszy, mógł pewniejszy daleko opór stawić Kozakom, niż Lwów; a szło nie o sam Lwów przecież, lecz o kraj cały.

Tymczasem mieszkańcy Lwowa przygotowali się na przyjęcie nieproszonych gości; jedni uzbroiwszy się, stanęli na wałach, opasujących miasto, inni zamknęli się w warownym zamku miasta, który wznosił się w północnej jego stronie, inni jeszcze w klasztorach OO. Bernardynów i Karmelitów, wznoszących się jeden w południowej, drugi we wschodniej części miasta, opór stawić zamierzali.

Luny, jakie w kilka dni po wyjeździe Wiśniowieckiego zacerwieniły niebo nad miastem, oznajmiły Lwowianom, iż Kozacy już blisko; jakóż niebawem ci, co stali na wałach i na basztach zamkowych, ujrzeli ich. Przodem na białym koniu jechał Bohdan Chmielnicki, atamanem przez Kozaków uznany, w czapce futrzanej, przy której świeciła kita brylantowa, w płaszczu sobolami podbitym, za nim setki, krocie Tatarów i Kozaków.

Tłumy uzbrojone w piki, szable i rusznice rzuciły się ku wałom, okrzyki: „Ura ho! i Ałlach! „biły o niebiosa. Próżno ci, co na wałach stali, ciskali na nich pniaki drzew, ostrokoły, pale, kamienie, które sobie zgromadzili na obronę miasta, próżno szablami bronili im przystępu, nie wstrzymali ich! po trupach bratnich pięły się na wały coraz nowe zastępy i dostały się w końcu po za nie, wpadli Kozacy na cmentarz, za wałami się znajdujący i mordowali, kogo tylko spotkali; potem rzucili się na niewielki kościółek, koło cmentarza się wznoszący, gdzie garstka ludności się schroniła, wyłamali drzwi i dostawsz się do środka, rzeź rozpoczęli.

Chcąc utrudnić nieprzyjacielowi wstęp do samego miasta, mieszkańcy przedmieść Lwowa podpálili własne domy; czerwone słupy ognia podniosły się w górę, iskry leciały deszczem siarczystym na ziemię, dym rozbijał się kłęбами w powietrze, trzask łamiących się belek, krzyki Kozaków i Tatarów, jęki mordowanych, wszystko to razem tworzyło obraz pełen grozy; obraz ten powiedział Chmielnickiemu, iż mieszkańcy Lwowa nie tak łatwo ukorzą się przed nim, gdy z bronią w ręku zechce dobywać miasto, postanowił przeto inną drogą dojść do celu...

Naraz uciły działa nieprzyjacielskie, Kozacy i Tatarzy odstąpili od wałów, Lwów otaczających; zdumieni mieszkańcy, nie wiedzieli co to znaczy, lecz wkrótce rzecz się im wyjaśniła: ujrzeli pędzącego ku miastu jeźdźca, który trzymał w jednym ręku czapkę, nad głową wzniesioną, w drugim kopiję, na której ostrzu jakiś papier świecił. Był to list, znak, że jeździec ze słowem zgody do nich przybywa; dopuścili go przeto Lwowianie do wałów. Kozak zatknął pikę

w ziemię i czekał, mieszczanie zdjęli przysłany list i rozłamawszy pieczęć, przeczytali go... Chmielnicki obiecywał odstąpić od miasta, lecz żądał w zamian, by mu wydani zostali wodzowie z pod Pilawiec, w przeciwnym razie groził miastu, iż szturm ponowi. List ten wszakże nie wywarł oczekiwanego wrażenia, wywołał tylko oburzenie w mieszkańcach Lwowa: odpowiedzieli Chmielnickiemu, iż rycerzy z pod Pilawiec nie ma we Lwowie, a chociażby i byli, nie wydaliby ich za nic, gdyż dla ocalenia siebie braci swych nie potrafiliby sprzedać, wydając w ręce wroga. Chmielnicki ponowił przeto szturm; i znowu wdzierali się Kozacy na wały, znowu działa ich rzucały pociski ogniste, śmierć i spustoszenie szerząc; lecz miasto broniło się dzielnie i znowu zwątpił ataman, czy tą drogą dojdzie do celu, znowu stanął Kozak z listem pod wałami... Tym razem Chmielnicki żądał, by mieszkańcy Lwowa Żydów mu wydali; sądził bowiem, że to Żydzi dostarczyli pieniądze na uzbrojenie załogi miasta i zemścić się chciał na nich. Lecz Lwowianie odpowiedzieli mu:

„Braćmi oni naszymi, synami tej samej ziemi, która i nam matką, nie wydamy ich przeto.“

I szturm ponowił się po raz trzeci, lecz znowu bezskutecznie, miłość ojczyzny spokojnych mieszczan, w bohaterów przemieniła.

Następnego dnia Chmielnicki wysłał trzeci list: tym razem tylko pieniędzy żądał 200,000 dukatów. Milsze było Lwowianom życie ich, ich synów i braci, ich matek, sióstr i córek niż pieniądze, więc tym razem kilku obywateli miasta: konsul Wachłowicz, ławnik Kuszewicz oraz inni udali się do obozu Chmielnickiego, by się z nim porozumieć.

Dowiedziawszy się o ich przybyciu, Chmielnicki wyszedł na przeciw starszyzną otoczony, przybrany w szaty świąteczne, trzymając w ręku złotą buławę, drogimi kamieniami wysadzaną.

Zaprosiwszy posłów do namiotu, kazał ucztę zastawić, po której przystąpiono do układów. Ataman przyrzekł solennie, że jeżeli otrzyma żądany okup, to się cofnie z pod Lwowa

I złożyło miasto żadaną sumę. Kto nie miał pieniędzy, ten dawał, co było w jego domu, lub sklepie: suknie, sprzęty, kosztowności, różne towary, różne produkty spożywcze; Kozacy wszystko przyjmowali. Zabrawszy pieniądze i rzeczy, Chmielnicki cofnął się wistocie z pod miasta Lwowa. Tak więc mieszczanie sami obronili swój gród, a dui tych walk i poświęceń stanowią piękną kartę historii dziejów naszych ojczystych.

Warszawa.



Choć przepaść nędzy i tu zagłada niejednemu w oczy, to przecie wir karnawałowy za przykładem sąsiedniej Italii, wciąga wszystkich w istny szal zabawy — szczególnie w ostatnich dniach zapustnych. Z najdalszych chat, gdzieś w górze, prawie w chmurach uwisłych, zbiegają się starzy i młodzi, a nawet dzieci do osad nadbrzeżnych, by uczestniczyć w sławnym pochodzie „zgonu kar-



nawałowego". Szare szczyty, tych skał poszarpanych w wertepy i jary, zdradziecko pokryte zielonym bluszczem, odbijają czarodziejsko od przestworza szafirowych niebios i cichéj toni Adryatyku, i nie pozostają zapewne bez wpływu na urobienie wesołego, niedbającego o jutro, pełnego polotu myśli i bujnéj fantazyi charakteru tutejszych mieszkańców, którzy pomimo kilko-wiekowego wpływu cywilizacyi włoskiéj, zachowali narodowość, kochają język swój kroacki. Piosnka, którą kończą obchód zgonu karnawału, brzmi:

#### po kroacku:

„Karnawal se rozbolijo  
Testament uczynijo  
Da ga nose, preko grada  
Ne kaj placze, mlada“ etc.

#### po polsku:

„Karnawał się rozboleł,  
Testament uczynił,  
Gdy go obnoszą po mieście,  
Niechaj płacze każda młoda, i t. d.

Śpiewka owa tysiączném echem wibruje po srebrzystéj fali, przy towarzyszeniu orkiestry z przeróżnych instrumentów złożonéj. Setki masek w śnieżnéj bieli z pochodniami w ręku, towarzyszą niesionemu, wypchanemu manekinowi, przedstawiającemu karnawał, za którym postępuje zrozpaczona wdowa. Nad brzegiem morza orszak się zatrzymuje, z podniesienia daje się słyszeć głos czarno ubranego w okularach sędziego, który wygłasza przestępstwa i grzechy owego manekina — wylicza straty zdrowia, majątku, wzmiankuje o defraudacyach znanych niestety i w téj krainie i wyrzuca mu rozmaite przewinienia i rozpusty, których stał się przyczyną, — narreszcie wydaje na winowajcę surowy wyrok, rozkazując, by go spalono i popioły wrzucono do morza.

Wtedy to powstaje straszny lament, wdowa pozostająca z płaczkami, tak boleśnie zawodzi, iż mimowoli jakby w rzeczywistość uwierzyć się musi i niejednéj łza w oku zablyśnie.

Północ kładzie kres zabawie, ponura cisza i już tylko zdaleka dolatują, echa gwaru ludzkiego głosu. Orkiestra umilkła, składając broń przed dzwonami modlitwy porannéj, którą zabrzmiały wszystkie kościółki, nawołując do popielcowego rozpamiętywania i pracy. Z brzaskiem dnia spieszą małe wółta, by uprawiać ogrody, bo tu czas już ziarno w ziemię rzucić, wszak pierwiosnki i skromne fiołki, wychyliły swe główki

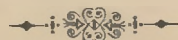
z pod krzaków jałowca i mirtu, a bladuróżowe kwiecie migdałowych drzew listki rozwiało, by słodkie ziarnko na lipiec przygotować. W cieniu jego przy drodze — usiadł stary gęślarz, mistrz prawdziwy, z Czarnogóry zachodzący i brzęcząc na téj monotonnéj strunie, nuci historyczne pieśni o walkach niedalekiéj Serbii, o pamiętnéj jéj bitwie na Kosowem polu i porwanéj dziewicy przez Turków.

I ja przysłuchuję się, przypominając sobie postać, słynnie oddanego przez naszego Mickiewicza „Dudarza“ a przenosząc się myślą w kraj mój ojczysty, skąd mię dobiegają wieści o klęsce ludu naszego; pozwalam sobie to ziarnko do księgi zbiorowéj także dorzucić.

Wiktorya z Treterów

Młodości.

Budua koło Cattaro w Dalmacyi.



Młodości! Orła twych lotów potęga,  
I jako piorun Twe ramię!..



Stanęło u progu Jéj chaty widmo blade, straszne, widmo nędzy i zwątpienia, i wyciągnęło ku Niéj swe ramiona. A pod ich dotknięciem postać Jéj niegdyś silna i potężna, pochyliła się ku ziemi, i łzy gorzkie wzrok Jéj przyćmiły, a myśl uleciała w uroczy kraj ubiegłéj przeszłości, szukając we wspomnieniach ulgi i pociechy w cierpieniu...

Gdzie się podziała swoboda Jéj lat młodzieńczych, dawne szczęście i bogactwo? Gdzież zniknął ten rój wielbicicli, korzących się przed Jéj majestatem, i liczne szeregi ludzi, którym Jéj hojna dłoń pomoc w niedoli niosła? Wszystko pierzchnęło, jak cudne a zwodnicze widzenie; szczęście Ją opuściło, z wolnéj i swobodnéj stała się niewolnicą tych, którym dawniej rozkazywać miała prawo, a mieniem Jéj podzielili się przyjaciele!

Przyjaciele? A gdzie oni? Czemu Jéj nie podadzą bratniéj dłoni w nieszczęściu? Ah! przecież oni opuścili Ją właśnie dlatego, że teraz potrzebowała pomocy; wszak dziś jest biedna, usługi jakie Jéj wyświadcza może nagrodzić tylko wdzięcznością, a oni gardzą teraz Jéj wdzięcznością. A ci ludzie, którym ona najwięcej dobrego zrobiła, i ci odwrócili się od Niéj, i najgłośniej krzyknęli: „Śmierć Jéj!“ niechcąc by Jéj istnienie przypominało światu ich niewdzięczność.

I tak znieważonéj, sponiewieranéj i opuszczonéj kobiecie zostawiono tylko życie bez celu, niewiarę w ludzi i wspomnienia!

Daléj myśl kobiety objęła garstkę swych dzieci, rozproszonych po całym świecie; pozabawionych rodzinnego dachu i chleba kawałka i tak dotkliwie osieroconych. Zabroniono im nawet wymawiać imienia Matki; one zaś cierpiały w milczeniu, pochylając głowy przed gniotącą je przewagą, łązający swe siły w strasznych zapasach z sobą z i życiem, tylko w sercach ich gorzała wieczna nienawiść ku krzywdzicielom.



Za cóż one tak cierpiały? Czy za to, że myśli i czyny ich dążyły do utworzenia sobie lepszej przyszłości? Zaco pozbawiono je wszelkich praw ludzkich i społecznych? Czyżby za to, że były Jój dziećmi, że w ich sercach tlała obok nieważności ku wrogom, gorąca miłość ku swej rodzicielce, że jeszcze gotowe były resztek Jój staroganego życia bronić kosztem krwi własnej, i własną pierśią Ją osłaniać?

I na wspomnienie tych wszystkich nieprawości, jakim Jój dzieci musiały podlegać, krzyk straszny, beznadziejny, rozdzierający, wyrwał się z piersi kobiety, udręczonej cierpieniem fizycznym i moralnym. A jęk Jój podobny był do brzęku kajdan, którymi skuwano dłonie Jój synów, wysyłając ich w odległe lodowe krainy północy, by Jój bronić i dla niej pracować nie mogli. Jęk ten okropny przedarł się przez ściany Jój małej chatki, popłynął hen, hen, daleko w przestworza, i zatrzymał się przed tronem Boga Najwyższego, niby skarga bolesna na niesprawiedliwości Jój czynione.

Nagle przed oczy Jój wyobraźni nasunął się nowy widok, jakiś piękny, słodki, jasny... Ujrzała zastęp swych dzieci młodych i silnych, ze wzniesionymi dumnie czoły, z sercami pełnymi zapału, czci, miłości i uwielbienia dla nieszczęśliwej a ukochanej Matki i zdających się mówić: „Matko, przestań rozpaczać, porzuć łzy i zwątpienie, które jest słabych udziałem. My wywalczymy jeszcze Tobie i sobie lepszą dolę, odbierzem wrogom nasze dawne szczęście! A po naszych ciałach poległych wzniesiesz się znów na te szczyty, z których Cię strącono, i staniesz się jak dawniej nasza gwiazda przewodnią! Co skonało powstać nie może, lecz my żyjemy, a tylko na ciężką zostaliśmy wystawieni próbę, z której Bóg da, wyjdziemy zwycięsko.

Prawda, że odebrano nam mienie i gnębą nas straszliwie, lecz nie zdołano nam wydrzeć wiary w lepszą przyszłość i miłość ku Tobie, Matko! Gdy nadejdzie chwila stanowcza, przez dzieci Twe oczekiwana z tęsknotą, miłość ta zapali nasze serca do czynu, i ujrzymy Cię znów wolną, potężną i niepodległą!”

Postać niewiasty podniosła się z wolna, a przysępłe źrenice spojrzały z ufnością w tęczę nadziei, która tak bladło mieniła się nad Jój głową. Słowa: „ujrzymy Cię znów wolną, potężną i niepodległą“, rozbrzmiewały niby hejnał do nowego życia, mającego się może wkrótce dla Niej otworzyć.

S. W.

Warszawa.



## Dla chleba.



Pod słomianą strzechą chaty  
Wzrósł chłopczyzna modrooki,  
Wesołymi ócz bławaty  
Patrzył jasno w świat szeroki.

Nie uskarżał się na losy, —  
Cichą dolę swą pastuszą  
Kochał chłopak jasnowłosy,  
Całym sercem, całą duszą.

Kochał chaty swojej ściany  
I rodzinne swoje sioło,  
I złociste zbóż tych łany,  
Co się ciągną na około....

I kobierce łąk kwieciste,  
Kochał słonka blask różowy,  
I strumyka fale czyste,  
I zielony bór sosnowy.

On nie pragnął innej doli,  
Dobrze było mu na ziemi,  
Byle żyć na Ojców roli,  
W swojej wiosce, między swymi.

Niechby zawsze iść o świcie  
Ze swą krowką na łąk niwy, —  
Byle tutaj całe życie,  
Byłby wesół i szczęśliwy. —

\* \* \*

\*

Oj wieśniacza ciężka dola,  
W niskiej chacie brakło chleba —  
Ha, co począć, Boża wola —  
Chłopcu z wioski w świat iść trzeba.

Żegnać szczęścia dni świetlane,  
Choć ból ciężki serce gniecie, —  
Rzucić wszystko, co kochane,  
Co dlań piękne na tym świecie.

Swoje bory, pola, rzeki,  
Oj na długoż on porzuci?  
Idzie kędyś, w kraj daleki...  
Kiedy wróci i czy wróci?

Pod nieznane poszedł nieba,  
Poszedł szukać lepszej doli,  
Tam mu z głodu mrzeć nie trzeba,  
Ale serce ciężko boli!

Za górami, za obcemi,  
Ziemia piękna i słoneczna  
Lecz do swojej tęskno ziemi,  
Bo kochana! bo serdeczna!

W obcej stronie gwarno, ludno,  
O krainaż to wesoła!  
Ale chłopcu smutno, nudno,  
Bo rodzinna wioska wola...

Już tu dłużej żyć nie może,  
Mknie ku wiosce duch stęskniony,  
Pójdzie za nim, w imie Boże!  
W swe rodzinne pójdzie strony. —

W dłoń uchwycił kij tulaczy,  
Poszedł — w mroźną noc srebrzystą,  
Modrooki syn wieśniaczy  
Idzie naprzód w przestrzeń mglistą.

„Spiesz się“ szepce serca drzenie;  
Tam twa ziemia, twa jedyna!  
Ale mroźne wiatru tchnienie,  
Krew mu w żyłach lodem ścina.



Przecież! — ot, już las sosnowy,  
W dali widać chatkę miłą,  
Tu przydrożny krzyż dębowy —  
Wszystko, wszystko, tak jak było.

Już mu teraz nie trzeba,  
Gdy powitał ziemię drogą;  
Pod błękitem swego nieba  
To i umrzeć nawet błogo.

Ach, na próżno sił dobywa, —  
Mgłą zachodzić wzrok poczyna —  
To go do snu ziemia wzywa,  
Ta mateńka, ta jedyna!

Tu na śniegu złoży skronie,  
Senne przymknie wnet powieki,  
I na matki spocznie łonie,  
By pozostać z nią na wieki.

Oj tam w siole nędzy tyle,  
Stary ojciec, siwa matka,  
Położyli się w mogile...  
W cudzych rękach biała chatka.

A pacholę śpi wioskowe,  
Oj z pogodą śpi na czole,  
Bo uspiły go różowe  
Sny o chacie, sny o siole.

Ziemia cierpieć mu nie dała  
Na tym biednym, naszym świecie,  
Snać matula ukochała  
Jasnowłose chłopskie dziecię.

Kraków.

Bronisława Wieliczko.



## Nie spała.



Podniosła się od stołu, na którym rozłożone były książki i gazety. Nie mogła już czytać więcej: oczy jej się kleiły; powieki czerwone, trochę nabrzmiące, opadały same...

Dziś chyba zaśnie, napewno zaśnie: jest bardzo zmęczona; głowa jej cięży; mgłę ma przed wzrokiem...

Rozbiera się szybko, lecz nie gorączkowo, aby śmielszym ruchem nie wytrzeźwić drzemających myśli. W pokoju ciepło, a ona czuje chłód wewnętrzny, przebiegający ciało słabym dreszczem.

Jest bardzo, bardzo zmęczona...

Staś na palcach podszedł do drzwi, mówiąc: „A śpij dzisiaj“ zamknął je. Służącć kazał chodzić na palcach z rana i nie

zaglądać do pani, aż sama zawoła. Obejrzał się, czy w pokoju nie ma czegoś takiego, coby mogło wywołać hałas lub stuknięcie w nocy. Stał przed zegarem, pytając sam siebie, czy go zatrzymać lub nie? — Zaprzyszłej nocy sama żądała, aby nie szedł: z wczoraj na dzisiaj prosiła o nakręcenie go na nowo...

Stał chwilę, wahając się: w końcu odstąpił, nie dotknąwszy zegara. „Może zaśnie“ — myślał, kładąc się. Raził go szelest własnych poruszeń. Zgasił cicho świecę na stoliczku i, zakrywszy twarz po usta kołdrą, aby nie oddychać zbyt głośno, — zasnął po chwili.

Ona — przykręciła lampę. Głowa opadła jej sama na poduszki. Dziś — musi spać; inaczéj — chyba zwarjuje albo umrze niedługo.

Przymknęła powieki, w których czuła lekkie palenie i szczypanie. Odetchnęła głęboko. Parę dziwacznych obrazów zamajaczyło w jej mózgu. Porcelanowe figurki chińczyków, które dostała od Stasia, a którymi bawiła się dziś po południu, ustawiając je na półkach w saloniku, — kiwnęły jej głowami, wskakiwały jedna na drugą, mieszając się ciągle. Ta, co była najwyżej, biegła zawsze na sam dół. Naraz — jedna figurka spadła. Śpiąca usłyszała wyraźne stuknięcie. Drgnęła całym ciałem i otworzywszy oczy, usiadła na posłaniu.

Cicho było w pokoju zupełnie. Z za spuszczonej rolety przedzierało się światło pozapalanych na ulicy latarń. Przez drzwi i przez ścianę dolatywało tylko cykanie zegara.

Położyła się napowrót, ale powieki już jej nie paliły; głowa nie ciężyła; przed oczami nie czuła mgły. Była tak wytrzeźwiona, taka przytomna, tak nie zmęczona, jak gdyby dotąd wszystkie noce w swem życiu przespała...

To i cóż, że może nie zaśnie dziś znowu? — doleży spokojnie do rana; będzie myślała, tyle ma myśli! krążą po mózgu lekkie, swobodne, jak u wiejskiej dziewczyny, gdy biega przy wschodzącem słońcu po rosie, śpiewając drzewom i łąkom na dzień dobry: „oj da dana, da dana...“ Gdy ranek nadejdzie, wstanie, zabierze się do zwykłych swoich zajęć. Cóż to szkodzi, że się nie wyśpi? Widocznie jej organizm snu nie potrzebuje. Wypocznie doskonale, leżąc. Tylko leżyc musi cichutko, nie przewracając się zupełnie; to najlepszy sposób uspokojenia nerwów i sprowadzenia snu.

Wyciągnęła się i przycisnąwszy głowę do poduszki, przymknęła oczy, mówiąc sobie, iż nie poruszy się ani razu.



Staś w drugim pokoju zasnął mocno, gdyż oddychał głośniej, jak przedtém. Jaki on szczęśliwy, że może spać!... Coby ona za to dała, gdyby mogła zasnąć w téj chwili, o, tak: zmrużywszy zupełnie powieki...

Zegar wydzwonił dwunastą. Zaczęła liczyć uderzenia. W połowie przerwała: wybije się ze snu. Nieznośny, niegodziwy zegar: dzwoni i dzwoni bez końca!..

Choćby usnęła za godzinę, — nie obudzi się później, jak o ósmój. Siedem godzin! Na tyle nocy bezsennych to tak mało!...

Odtąd już nie sypia?

Miesiąc temu Staś kaszlał do drugiej, trzeciej, gdy się położył. To ją wykoleiło. Rozbierając się, myślała zawsze: „nie będziemy spali oboje“ — Staś dawno przestał kaszlać, a ona — straciła sen.

Czy go kiedy odzyska?

Nie wyleży przez całą noc tak, na jednym boku: musi się przewrócić. Pościel zaczyna ją palić. W głowie, w ramionach, w piersiach czuje silne gorąco. Przeszłaby chętnie do drugiego pokoju, ale obudziłaby Stasia; zresztą — mogłaby się przeziębic...

Usiadła na łóżku; ręce oparła na wzniesionych kolanach; twarz, schylona, zakryła dłońmi.

Plecy miała odsłonięte. Powoli chłód zaczął ją przejmować. Krew zbiegła od głowy, pulsując mniej szybko. Przechyliła się w tył i leżąc na wznak, z rękami wyciągniętymi w górę, myślała o tem, co dziś robiła przez cały dzień, o projektach Stasia na lato, o rozmowie z Tosią, którą przed kilkoma godzinami prowadziła.

Może i drzemiała. Powieki miała przymknięte lekko. Nie słyszała, czy nie uważała cykania zegara; nie słyszała, czy nie pamiętała godzin, jakie dzwonił. Naraz — powoli wyraźnie uderzył trzecią.

Wstrząsnęła głową i ramionami, jak gdyby chciała odpędzić myśli, obsiadujące jej mózg. Poprawiła poduszki; wcisnęła się w nie głęboko; zmrużyła oczy, ale napróżno: powieki same rozwarły się szeroko. Szare światanie zalało pokój, stół, krzesła i ściany którego były jakby pogrążone w cichój drzemce.

Ogarnęła ją rozpacz, jak po straconej bezpowrotnie nadziei na oczekiwane dobro. Wstała, włożyła na siebie ciepły kaftanik i spódniczki; na kanapie, pół siedząc, prześpała do rana. Sen to był niespokojny. Poruszała się co chwila plecami, jak gdyby chcąc ręce podnieść w górę; wstrząsała głową; otwierała i przymykała powieki.

Ilekróć spojrzęła, zadrzemana, na pokój, ściany, sufit, każdy róg, krzesła i stoły roily

się porcelanowymi chińczykami. Jeden z nich rósł na olbrzyma takiego, że oczy za nim goniły i nie mogły go objąć, ręce się ku niemu wyciągały i nie mogły dosięgnąć wyżej kolan.

Drugi — z olbrzyma małał, małał i małał, aż — zmieniwszy się w maleńki czarny punkcik, uciekał przed wzrokiem, zakreślając niepochwytne koła i łuki. I znowu wszystkie figurki się zbiegły, znowu — jedna o drugą stuknęły.

Rozbudzona, otworzyła oczy. Była dopiero siódma, a ona wiedziała, że już teraz nie zaśnie więcej. Godzinę jeszcze przesiedziała spokojnie. O ósmej zawołała służącą. I Staś i Kasia byli wyspani; oczy ich błyszczwały, biegali żwawo po pokojach.

Ona taka ciężka; tak jej się nie chce ani jeść, ani chodzić, ani myśleć!...

Staś pocałował ją w czoło, mówiąc: „Tak dziś ładnie, słońce świeci, powietrze czyste; po wczorajszym deszczu niema kurzu, powinnaś się przejść, to ci dobrze zrobi.

W samo południe ubrała się. Staś był zajęty, nie mógł jęj towarzyszyć. Wyszła sama, chcąc spełnić jego życzenie.

Na ulicy wszystko żyło i ruszało się. Przechodnie potracali jedni drugich. Każdy się spieszył, każdy usiłował wyminąć tego, co biegł przed nim i co podwajał kroki, aby wyprzedzić tych, którzy mu zastawiali drogę.

„Dlaczego i tu tak pilno wszystkim. Co mają za cele? Czy zdaje się temu, kto pierwszy dojdzie do rogu, że trafi na skarby Ali-Baby?

Drażniła ją ta gorączka życia. Szła powoli, nie goniąc nikogo, ustępując miejsca tym, którzy ją zabiegali z tyłu.

Wróciła do domu znużona. Serce jęj biło, w głowie szumiało. Nie miała siły rozebrać się sama. W okryciu i kapeluszu padła na krzesło, zdejmując powoli rękawiczki.

Staś pytał, czy spotkała kogo?

— Nie — odpowiedziała krótko. Co ją to mogło obchodzić, choćby i spotkała?

Miesiąc już, cały miesiąc spać nie może! Myśli o tém nieustannie podczas obiadu, przy którym Staś usiłuje ją rozerwać anegdotkami i historyjkami, myśli podczas wizyty Ani, Łuci, które przyszły do nięj na godzinę przed wieczorem. Myśli i zapomnieć nie może. Chyba jęj głowa pęknie od tego ćwieka, który wolno i natrętnie w mózg się wkręcił...

Warszawa.

Cecylia Walewska.



Serce kobiety — to instrument szczególnego rodzaju: chcąc zeń wydobyć tony innych uczuć, trzeba być mistrzem mniej lub więcej biegłym; w akord zaś miłosierdzia nawet ręka profana uderzyć potrafi.

Genowa.

✕.

Intelektualne akty człowieka są wynikiem tak dziedzicznego, jak i osobistego doświadczenia. Człowiek przerabia tylko, i nadać może nowe formy materjaliowi, który mu przeszłość dostarczyła. O ile formy te wytwarza w celu własnej jedynie korzyści, o tyle pozostaje niewypłacalnym dłużnikiem ludzkości, w spadku po sobie zostawiając powiększoną sumę nędzy, bądź to materjalnej, bądź moralnej.

Genowa.

A. Morzkowska.



## Z CHAOSU.

Jeżeli literackie utwory kobiet, po większej części wyglądają jak przedruki, jest to winą ich bezprzykładnej, bezczelnej pamięci. Magnes nie czepia się żelaza z taką łatwością, jak całe zdania, okresy, czepiają się pamięci kobiet. Im wrażliwszą i bogatszą jest organizacja danego osobnika, tém łatwiej proces „kompilacji“ i „asymilacji“ się przejawia. Gdyby móle zakraść się mogły do tak zwanych „inteligentnych głów niewieścich“, znalazłyby w nich całe foliały tomów do pogryzienia.

Gdybyśmy wiedzieli, jak najtkliwsze serca mają zawsze dość siły na znoszenie nieszczęść — cudzych, nie skarżylibyśmy się nigdy.

Skarga przed Bogiem, jest buntem, ale przed ludźmi, upokorzeniem.

Wśród dziesięciu osób, patrzących na lzy cndze, znajdzie się zapewne dziewięć, ucieszonych, że kamień, który w ciebie ugodził, ich samych ominął. Jeżeli podczas twego opowiadania, usłyszysz ich westchnienie, najbliższą będziesz prawdy, podłożywszy pod nie słowa. „Boże, tak czyni zawsze“.

Silną miłością i silnem cierpieniem odznaczają się dusze wyższe; takie jedynie potrafią przeżyć życie całe jednem szczęściem i jednem

bólem. Kto głęboko kochał, ten i głęboko boleć będzie, i za cenę nawet spokoju nie przyjmie zapomnienia.

Nie przeczę, że nic trudniejszego do spotkania, nad dobrane małżeństwo, ale wina nie leży w „instytucyi“ tylko w nas samych.

Odkąd „udany karnawał“ jest synonimem zwiększonej ilości małżeństw skojarzonych, nie dziwię się niedobranym małżeństwom. Ludziom, którzy zapasy taktu wyczerpali w zgodnym tańcu, może być później bardzo niewygodnie chodzić razem na zwykłe tempo. Stare porównanie nazywa małżeństwo zgodnym duetem — ale jeżeli trudno śpiewać na dwa głosy, lub grać na dwa fortepiany, tém trudniej na dwie... dusze.

Mężczyzna wobec młodej, choćby nie pięknej, ale sprytniej kobiety, nie powinien nigdy mówić o swiej „silnej woli“ lub „wolnej woli“. Jeżeli ją ma, to tylko dla tego, że mu na to „ona“ pozwoliła.

Węzyk.

## BRATU.

Dla twego ducha, co ma być z granitu,  
Wielkim i silnym, niezłomnym wśród burz,  
Nie straszna droga, choćby szła do szczytu  
Walk i umęczeń, bez słońca i róż.  
Więc i dla ciebie niech ona się ścięła  
Jako dla orła jasnych lotów szlak,  
Ty żyj, jak człowiek, który kocha wiele  
I ma na czole poświęcenia znak.  
Bo ty masz czujnie, jak orzeł kresowy,  
Na straży życia Ojczyzny twej stać,  
Z wrogiem jej sprawy wieść bój tytanowy  
I każdą ranę śmiertelną jej znać.  
Ty masz być silnym wśród tych burz żywota,  
Które nad nami dawno srożą się,  
Płynąć wśród fali, która nami miota  
I ku zwątpienia bezdni duszę rwie.  
Ty masz być dumnym, choć jesteś w niewoli,  
Chociaż ogniwo kajdan cięży ci,  
Chociaż duch wolny krwawą raną boli,  
A krzywda nasza ciągle w sercu brzmi.  
I ten rycerzem, kto bez chwał gonitwy,  
Na progu chaty hardo, mężnie stał,  
Na polu czynów, jak na polu bitwy —  
Na stanowisku ojców swoich trwał.

Lwów.

Jadwiga Ł.



# POBRATYMKĄ.

**Z**le się działo na początku bieżącego stulecia w Bułgarii: pięciowiekowa niewola wyrzyła ponure swe piętno we wszystkich kierunkach narodowego życia, pogrążając naród cały w ciemnotę i odrętwienie duchowe. „Bułgarowie przestali być istnieć jako naród — powiada jeden ze współczesnych uczonych bułgarskich, profesor Drinow, — była to garstka ludzi pokonanych, ujarzmionych, zrujnowanych, — był to tłum, skazany na wszelkiego rodzaju trud i nędzę“.

Bułgar, uciskany z jednej strony przez władzę tureckie, wynarodawiany i ogłupiany z drugiej przez chciwe, rewolucyjne i zepsute duchowieństwo greckie, — opuścił bezwładnie ramiona, a szepcąc beznadziejnie: „siczko umarło“, przestawał walczyć i pragnąć, marzyć i wspominać. Upadek moralny Bułgarii był tak ogólny, a uśpienie tak głębokie, że zbudzić ją mógł już tylko szereg mściwego oręża, a odkupić — ofiarna krew męczenników.

I ofiarnicy się znaleźli...

Milczące przedtem góry rodzinne rozbrzmiewają cchem walk nierównych, jęki konających budzą w masach miłość wolności, skrzyw szubienic zdradza nienawiść dla najeźdźcy, a zatknięte na pikach głowy buntowników wskazują drogę zemsty.

Szeroka fala budzącej się samowiedzy narodowej porwa wszystkie gorące umysły, a w szeregach bojowników o przyszłość Bułgarii nie brak szlachetnych i czystych postaci niewieścich.

W najciemniejszej nawet dobie rozbitcia Bułgarki strzegły u domowego ogniska dawnych tradycji i zwyczajów, przechowywały, wyparty z życia publicznego język ojczysty w rodzinie, tej ostatniej twierdzy ujarzmionych narodów; a gdy wybiła godzina czynu, znalazły się obok mężów i braci. Jedna

zwłaszcza z pomiędzy nich, wieśniaczka, Tonka Obretienowa, odegrała tak wybitną rolę w dziejach odradzającej się ojczyzny, że ma prawo zająć miejsce obok najszlachetniejszych typów niewieścich, jakie przechowała nam historia.

Tonka pobratymką jest naszą nie tylko z krwi ale i z ducha. Gorąca miłość ojczyzny, której składa w ofierze życie swych dzieci i całe mienie; męstwo, z jakim stawia czoło Turkom, przechowując w swym domu ściganych przez rząd powstańców, ułatwiając wychodźcom ucieczkę za granicę i opiekując się więźniami; energia, jaką rozwija w przygotowawczych pracach do powstania, zbliżając ją do typu owych Polek, które — wedle słów Mickiewicza — „układają spiski z mężami i braćmi, narażają się, niosąc wsparcie więźniom, wleczone są przed sąd jako zbrodniarki stanu, idą na Sybir i katusze“. Dzieje patriotki bułgarskiej, to — jakby kartka wydarta z naszej przeszłości, jakby przebłysk przyszłości...

Tonka ujrzała światło dzienne w rodzinie chłopskiej, a więc niezarażonej rakiem helenizacji, który toczył tak zwane klasy wyższe. Do snu kolysały ją pieśni bułgarskie, wszechpajające instynktową miłość do wszystkiego, co swojskie. Uczucie to drzemało w duszy kobiety z ludu przez długie lata nieświadome własnej potęgi, aż zbudziło się nagle wielkie, gorące, zuchwałe. Do życia powołały je ogniste odezwy do narodu Jerzego Rakowskiego, nientraszzonego hajduka, agitatora, a zarazem świetnego publicysty.

Rakowski — w piśmie, wydawanym w Belgradzie p.t. „Dunawski Lebed“, wzywał rodaków do odzyskania niepodległości drogą walki orężnej. Smiale jego hasła znajdowały echo w sercach tych wszystkich, komu długie wieki jarzma nie przetarły szyi, kto mógł



jeszcze hardo podnieść głowę i spojrzeć w słońce wolności. Do tych ostatnich należała Tonka.

Dom jój staje się miejscem tajemnych schadzek dla gorących patriotów, którzy tam wiodą „długie nocne rozmowy“ i ćwiczą się w robieniu bronią. Sama ona zawiązuje stosunki z emigracją i przy pomocy kilku towarzyszek przewozi przez Dunaj zakazane broszury i pisma patriotyczno - agitacyjnej treści. Z bólem serca — lecz bez cienia małodusznej słabości wysyła jednego z synów w charakterze tak zwanego „apostoła“ na pieszą wędrówkę po Bułgarii i Rumelii, aby mógł „ducha ludzi badać, towarzystwa tajemne wiązać i zakładać“. Dwaj inni synowie Tonki udają się za poradą i błogosławieństwem matki do „czety“ powstańczej, która pod wodzą Hadzi Dymitra i Stefana Karadży zamierzała przedrzeć się z Rumunii w góry i tam rozpocząć walkę z Turkami. Garstka tych walecznych wiedziała, że nie potrafi złamać potęgi otomańskiego państwa i z całą świadomością śpieszyła do ojczyzny, pragnąc przyzdobić czoła — nie laurem zwyciężkim — lecz cierniową koroną męczeństwa. „Nie wielu nas jest, bracia — mówił do towarzyszy Karadża w chwili wsiadania do łodzi, mających ich przewieść na brzeg bułgarski — lecz i garstka naszych kości przyda się do odbudowania Bułgarii. Niewiele nas jest — ale dość, aby pokazać rodakom, jak trzeba umierać za wolność!“ Tonka pozostała do ostatniej chwili w obozie „komitów“, wieńczyła ich kwiatami, błogosławiła na walkę, zagrzewała do męstwa.

Bohaterska wyprawa zakończyła się klęską dla wszystkich jój uczestników; jedni z nich padli pod strzałami Czerkiesów lub dostali się do niewoli, nie dotarwszy do opiekuńczych gór, innych otoczyły ze wszystkich stron wojska tureckie na znaną w dziejach bułgarskich powstań Buzłudży. Tutaj — w obliczu majestatycznie groźnej przyrody, zdając się uragać bezsilności „pana stworzenia“, na wyżynie, wznoszącej się ponad romantyczną doliną róż, zawrzał ostatni krwawy bój... Junacy polegli śmiercią bohaterów, a żaden z nich nie spodlił się wobec wroga prośbą o darowanie życia.

Jak stał w ogniu, tak silne duchy hartują się w próbie nieszczęścia. Ani śmierć jednego syna, który zginął na Buzłudży, ani niewola drugiego — nie złamały Tonki. W sercu jój, zorażem pługiem osobistego bólu, zakwitwały coraz wspaniałej miłość i poświęcenie. Podstępem i złotem zdołała sobie otworzyć bramy ruszcuckiej cytadeli, aby móżdż krzepić w

piących, pielęgnować rannych, a wszystkim nucić hymn nadziei i zmartwychwstania i zrobiła wszystko co mogła, aby osłodzić ciężką dolę zesłanych na wygnanie do Małej Azji. Gdy zaś po krwawym wysiłku, rozpoczęła się ponownie dla Bułgarii doba reakcji, Tonka w oczekiwaniu pomyślniejszych czasów, pielęgnuje zapomniane mogiły straconych na szubienicach męczenników, ozdabia je pomnikami, wykrada od Turków czaszkę słynnego wojewody Karadży, — którą przechowuje dotąd z religijną czcią jako relikwię narodową — i krząta się jak może, przygotowując grunt dla przyszłych oraczy.

Oracze nie dali długo czekać na siebie. U steru spraw narodowych stanęli tacy wielcy, jak Ljuben Karawelow, Bazyli Lewski, Christo Botew i inni, a skrzepła pierś stariej ziemi bułgarskiej zawrzała młodem życiem.

Pierwsze posiedzenie tajnego rewolucyjnego komitetu odbywa się w domu Tonki, która wprawia w zdumienie spiskowców zapalem, odwagą i gotowością na wszystko. Wzruszenie i radość czyniły ją wymowną: zaklinała powstańców, aby walczyli za świętą sprawę do ostatniej kropli krwi, cieszyła się, że ziarna siewu, rzucone przez pierwszych męczenników, nie poszły na marne.

Powstanie z r. 1875 zostało — jak wiadomo — stłumione w pierwszej zaraz chwili przez władze tureckie i dało powód do niesłychanych okrucieństw. Przed Tonką otworzyło się pole do smutniejszej, lecz niemniej doniosłej działalności: tuli ona nieszczęsnych rozbitków pod opiekuńcze swe skrzydła, przechowuje ich w zrobionej umyślnie w tym celu pod podłogą w jój domu kryjówce, ułatwia im ucieczkę do Rumunii, zaopatruje w wyżebrane — bo własnych już nie miała — pieniądze, otacza macierzyńską opieką więźniów, a przy tém umie zawsze wyprowadzić w pole Turków z istic kobiecią przebiegłością i przytomnością umysłu.

Wielkie idee nie dają się złamać siłą bagnetów — i dzikie więc barbarzyństwa Turków nie zdołały przywrócić „porządku“ w Bułgarii, która wrzała wówczas wulkanicznie i pokrywała się coraz gęstsza siecią spisków. W rok po stłumieniu pierwszego powstania wybuchnęło następne i zakończyło się również straszliwą klęską. I tym razem los nie oszczędził Tonki: jeden z jój synów poległ w walce, drugi, Mikołaj, został zesłany do Małej Azji, owój Syberyi Turków, — gdzie od lat kilku znajdował się starszy jego brat. Tłumy w żałobie odprowadzały więźniów, a na ich czele postępowała Tonka bez ły



w oku, dumna i zadowolona, że poświęciła dla ojczyzny wszystko, co poświęcić mogła, bo i córka jej Pietrana, która pełniła stale obowiązki kuryera między Ruszczukiem, Tyrnawą i Bukaresztem, a nocami wyszywała sztandary dla powstańców, zginęła śmiercią tragiczną w obronie praw Bułgarii.

Po dniach walki i żałoby zajaśniała dla Bułgarii jutrzienka wolności. Więźniowie polityczni, a w ich liczbie i dwaj synowie Tonki wrócili do kraju. Srebrnowłosa staruszka miała prawo powiedzieć wówczas słowami Symeona, że odejść może w spokoju ze świata, albowiem oczy jej oglądały zbawienie...

Nie umarła wszakże: żyje dotąd i mieszka w Ruszczuku przy młodszej córce Anastazyi, wdowie po zmarłym niedawno Z. Stojanowie, historyku i mężu stanu, a pomimo starości i złamania życiem, umie wzrok i serce trzymać na wysokości, do której nie sięgają drobne troski nizin.

Lwów.

Marya Wysłouchowa.

## Gwiazdka sieroty.

W wigilię Bożego Narodzenia przez ulice Warszawy, ożywionej tegoż wieczoru ruchem niezwykłym, postępowała zwolna nędznie nader odziane młode dziewczę

Wychudłą i bladą jej twarzyczkę ożywiały piękne, wielkie czarne oczy, które z prawdziwym zachwytem wpatrywały się w przepyszne okna składów zabawek na gwiazdkę przeznaczonych.

Biednej sierocie dozwolono było cieszyć się jedynie widokiem tych wszystkich wspinających cacek, które uszczęśliwiać miały tyle bogatych jej rówieczek. Drżąc cała od zimna z prawdziwym trudem trzymała w swych skostniałych rączkach kilkanaście paczek zapałek, nieśmiało zachęcała przechodniów do kupna.

Pieniądze z tej sprzedaży stanowić miały główną zapomogę na święta jej ubogiej rodzinie.

„Pamiętaj Marynko, niepokazywać mi się na oczy, jeżeli wszystkiego nie sprzedasz“ — brzmiały wciąż żywo w jej uszach słowa okrutnej macochy...

Już wieczór się zbliżył, a biedna sierota nie śmie wracać do domu... kilka pudełek nie-

przedanych jeszcze!... Głód i zimno dokuczają jej coraz więcej, siły jej słabną, i tylko z trudem dowlokło się biedne dziewczę do sieni otwartego domu. Tu przycupnąwszy w kącie, wydołała zapałki z paczki, i zapalając jedną po drugiej w dziecięcej swój naiwności myślała się rozgrzać ich ciepłem. Z okien przeciwległej kamienicy biła łuna światła — tam w około zapalanej choiny płała uradowana dziatwa.

O z jakimże zachwytem przypatrywała się biedna sierota tej wesołej zabawie, jakże ją ten widok nęcił i wabił, jakżeby pragnęła w tej chwili znajdować się pośród tych szczęśliwych dzieci! ..Ona, co nawet cieplej stawy nie miała dzisiaj w ustach.

Po niejakiś czasie pogasły światła.... zniknął czarodziejski widok zapalonego drzewka i radości. Zasnęło nasze nieboże.

Sen błogosławiony ukolysał jej wyobraźnię najcudniejszymi obrazami, których poskapiła jej rzeczywistość. Widziała się szczęśliwą, nakarmioną i uradowaną hojnie przez piękną z nieba gwiazdkę.

Nazajutrz o zmroku przybył stróż domowy zamiatać sień — potrafił o jakiś przedmiot leżący w kącie... było to ciało martwe biednej sieroty!...

Kościelnia Ks. Poznańskie.

M. Z.

## Myśli z prac pozostałych

po Narcyzie Żmichowskiej.

Praca wszelka zawsze coś pożytecznego tworzy, coś wiekuistego w duchu ludzkim lub w przestrzeni zostawia, jakieś dobro z siebie, z drugich, czy z ziemi wydobywa.

W cichem życiu nigdy szlachetne nie zmyli uczucie: brak wyższych zdolności może wtedy osobistego pozbawić, szczęścia ale szczęścia drugich nie chybi ten, kto kocha szczerze. Kochać godnego siebie, być kochaną — to jest dział szczęścia. Kochać w najdalszą przyszłość, żadnego poświęcenia nie ominąć, spełnić wszystkie możebne piękne czyny — to jest dział obowiązku.

Gdybyśmy na okupienie myśli naszej tylko szyderstwa obojętnych do zniesienia mieli, droga do celu wiodąca zbyt łatwą by się stała; Bóg ją posiał gorzkimi łzami uko-



chanych istot, łzami, które sami nawet wy-  
cisnąć musimy czasem, ażeby zwiększyć za-  
sługę, uszlachetnić walkę.

Gdybyśmy kochali tych jedynie, co nigdy  
nie upadną, to byłaby sprawiedliwość tylko,  
a przecież miłość nad sprawiedliwością góruje.

Myślącemu jest Bogiem to, co zna, wie-  
rzącemu to, czego nie zna.

Inna rzecz poświęcenie, inna obycie się  
bez czegoś. Żeby poświęcić, to trzeba właśnie  
mieć i trzeba kochać — i trzeba jeszcze nad  
to, co mamy, lepszego pragnąć, nad to, co  
kochamy ku lepszemu dążyć.

Grzech przebaczyć, to znaczy wszystkie  
skutki owego grzechu w sobie samej znieść  
i umorzyć, wszystkie następstwa doznanej  
krzywdy, jak rachunek kredą pisany zmasać.

Czas! och! czas, to najbieglejszy filozof  
niemiecki: wszystko on zanalizuje, wszystko  
na chemiczne porozdziela pierwiastki. Gdyby  
poza czasem nie było wieczności, poza roz-  
działem tęsknoty, i poza tęsknotą jeszcze tro-  
chę nadziei a trochę przeczucia, toby w ro-  
zumie Hegla germanizm na tron świata  
wstąpił.

Zbyt wygodnie żylibyśmy na świecie,  
gdybyśmy spoczęli na sądzie tych, którzy  
nas bardzo kochają; jak w zwierciadle po-  
winniśmy się przeglądać w zdaniach mniej  
dla nas przychylnych: wtenczas jedynie mnó-  
stwa dojrzymy szczegółów.

Co za siłę, co za pełność w sobie mieć  
muszą ci, którzy innych dźwigać i obdzie-  
lać zechcą.

Trzeba na bok odłożyć wszystkie deli-  
katne wstręty, a wziąć się z życiem w zapa-  
sy gołymi rękami, choćby tam sobie palce  
krwią zwałać miał kto kiedy.

Okropnie nie lubię skargi; nie przez  
próżność, nie przez stoicyzm, tylko poprostu  
dla tego, że skarga drugich nie pociesza,  
nie buduje, nie wzmacnia, a skarżących się  
osłabia i rozstraja.

Smutki bardzo rozmaite bywają! są cza-  
sem święte, pobożne, doskonalące człowieka

— są pogańskie, sarkastyczne, szyderskie,  
ale taki, niegodziwymby nazwała, który nie  
zdałby się ani mnie na udoskonalenie, ani  
drugim na przestrożę.

Świętych przedmiotów obmytymi jedynie  
rękami dotykać wolno.

Gdzie świętych słów na wiatr się nie  
rzuca, ale prostem sercem i sumienną rozważą  
prawdy ich znaczenia szuka; tam zawsze  
dusza nasza musi coś sobie na wieczność  
zaskarbić.

W postępie idzie ku temu: żeby ludzie  
mieli dobre nie złe skłonności, żeby im się  
chciało dobrze a nie źle robić, żeby wła-  
dza umysłu, żeby najwyższe ze wszystkich  
władza ukochania i władza czynu rozwijały  
się w coraz wyższą potęgą, obejmowały coraz  
szersze zakresy.

Chrystus tem zbawił ludzkość, że stanął  
wśród niej ideałem zreczywistnionym, skłon-  
nością, zawsze ku prawdzie, ku miłości i ku  
dobremu skierowaną.. Czego żądało prawo  
boże, on uczynił możliwością.

Są natury, które się szczęściem ulepszają,  
a inne, które nieszczęścia potrzebują.

Można ze dwa tomy morałów przeciwko  
zmartwieniu napisać, cóż to poradzi, kiedy  
wszyscy mniej więcej się martwią.

Jest w tem coś pocieszającego, gdy so-  
bie powiedzieć można: i chorzy i niedołężni,  
i zmartwieni i bezsilni, wszyscy jak trawy  
ku słońcu, ku jednej myśli się przechylają.  
Wielka mi chluba, jeśli wyjątkowe geniusze,  
jeśli żelazne jakieś olbrzymy pochwyca ten  
lub ów zamiar, tę lub ową nadzieję i trzy-  
mają, by nie upadła! Są to dopiero „piękności  
historyczne“ — ale gdy zamiar płynie przez  
wszystkie i najniższe warstwy, gdy nadzieja  
tkwi we wszystkich najdrobniejszych, naj-  
dziecinniejszych serduszkach — to już zwi-  
astuje historyczne wypadki i historyczną  
»p r a w d ę«.

Drobnostki bolą na jedno szpilki zakłu-  
cie, lecz wolę cięcie pałasza niż te marnujące  
życie człowiekowi nędzoty.



Dla płytszych, słabszych usposobień po-  
ciechą jest „sposobność ułatwiająca zapo-  
mnienie“; dla głębszych natur jest podniesie-  
nie ważności innych obowiązków, albo za-  
wiązek nowej pracy, albo nowa okoliczność,  
chłonąca wszystkie władze duszy naszej.

Na co nam Pan Bóg daje takie serca,  
które nad wartość rzeczywistą nas przece-  
niają? Oto na zachętę, żebyśmy się do miary  
ich wyobraźni dociągali.

Jakby to ślicznie i dobrze było, gdyby  
różne strony kraju zaprzyjaźniały się między  
sobą przez odwiedziny wybitniejszych oso-  
bistości. Wartoby co rok w podróż na cztery  
strony świata wyprawiać gromadki dobra-  
nych podróżników, i nawzajem z północy  
i południa, ze wschodu i zachodu żądać  
rewizyty.

Są ludzie z tak drażliwymi sumnieniami,  
że czasem każde nieprawidłowe poruszenie  
swej indywidualności zaciągają pod katego-  
ryą wielkich występków; ale częściej są tacy,  
którzy wszystkimi synonimami ceniują sami  
przed sobą wcale nieszlachetne usposobienia.

Kiedy żadnem wspomnieniem żadnego  
dnia oznaczyć nie można; to w niebyłość  
doskonale tak przepadają, że się pamięć na  
jakimś dawniejszem zdarzeniu, jak na wczor-  
ajszej chwili zatrzymuje i traci wszelkie  
poczucie rozstępu.

Prawdy się szuka ciąglem porównywa-  
niem, rozmierzaniem, wazaniem ideału przez  
rzeczywistość, a rzeczywistości przez ideał.

Biada, kto się na entuzjazmie oszuka  
i za miłość go weźmie!



## Lud Krakowski wita Naczelnika

(przed obrazem mistrza Matejki).

Hęj, z kosą na armaty! Moskwie działa wzięli!  
Na polach raclawskich od sukman się bieli,  
Czerwieni od krakusek, jak od głogu w polu:  
Wydarli z polskich łańców nie mało kąkolę.

Lecą czapeczki w górę, jak czerwone maki,  
Witają Naczelnika Krakowskie junaki:  
„Niech będzie po wiek wieki Chrystus pochwalony,  
Ześ zwołał lud do kośby, bronić swe zagony.

Pokłoń mu się pszeniczko, pokłoń żytko jare,  
Ze lud piersi nadstawia za swą świętą wiarę.  
Pokłońcie mu się bory, zielona dębino,  
Ze karmazyn i chłopek w jednej myli giną.

Pokłoń mu się słoneczko, promieniste zorze,  
Ze nas wziął w garść na siebę, jak ziarenka boże.  
Oj małe, małe ziarenko w wielki kłos urośnie,  
Tylko ciepłe słoneczko zaświeci o wiośnie!

\* \* \*

Pokłoń się Naczelniku, Chrystusowej męce,  
I naszój Częstochowskiej, cudownej Panience.  
Pokłońcie się ułany, złotymi lancami,  
Orły i pieśń legionów wzlecają nad Alpami.

Pokłońcie się Jój chłopcy, od kosy i roli:  
Ona Matką Bolesną, wie jak serce boli.  
Postawi świętą nóżkę na łbie „chytrych węży“,  
Przezysta Gwiazda morza noc fałszu zwycięży.

Skłoń się Jój całe niebo z anielską kapelą,  
Ze się polą Raclawic od sukmanek biela.  
Ze choć były husarze, powstały kapoty;  
Czarny szkaplerz na piersiach za ryngraf, za złoty,  
Ze migają krakuski, jak ongi proporce,  
Chłop ze szlachtą pracuje przy raclawskiej orce.

\* \* \*

Mistrzu! wielkie „Bóg zapłać“ za to malowanie,  
W sercach naszych żyć będziesz, pokąd Polski stanie.

Niepolomice

Zora.



Dla jednych synonimem życia — szczęś-  
cie, — dla drugich cierpienie. Czy nie-  
podobna by dla wszystkich było ono obo-  
wiązkim?

Genewa.

S.







## Pod szfandarem miłości bliźniego.

**N**a wezwanie czarodziejskiego hasła miłości bliźniego, córki jednej ziemi, nie zważając na dzielące je polityczne i społeczne przegrody, podają sobie dłoń i wspólną pracą śpieszą „nakarmić głodnego“, a zarazem dać dowód, jak dalece przyswoiły sobie tę wzniosłą ideę chrześcijaństwa. Lecz czy właśnie ta próba solidarności kobiecej i osiągnięty przez nią cel nie powinnyby zwrócić uwagi na warunki kobiecego życia? Może rozejrzawszy się pilniej, spostrzegłybyśmy, że i pomiędzy nami jest wiele głodnych do nakarmienia.

W jednej z piosneczek naszego ludu, wiejska dziewczyna robi następujące wyrzuty swjej matce :

„Pocóżes mnie matuleńko,  
Za mąż wydała,  
Kiedy ja się w gospodarstwie  
Nie rozpoznała,  
Ni ja uprać, ni prasować,  
Będą ludzie cenzurować,  
Matusiu moja !  
Ni ja uszyć, ni gotować,  
Ani chleba ja osolić,  
Matusiu moja.  
Ładnie było matuleńce  
Słuchać muzyki.  
Kiedy grali i śpiewali, kieby słowiki,  
A teraz ci jest nie miło.  
Za mąż mię dawać nie było  
Matusiu moja“.

Czy kobiety ze świata cywilizowanego, mające szerszy horyzont przed sobą, a zatem i większą ilość potrzeb umysłowych i moralnych, nie mogłyby powtórzyć skargi na zbyt powierzchowne wychowanie za tym dziewczęciem ludu, z nierozwiniętymi jeszcze władzami umysłu ?

Kwestya wyższego wykształcenia kobiet została, zdaje się, stanowczo zdecydowaną w sferach ludzi, umiejących bezstronnie rozstrzygać sprawy społeczne. Lecz czy nie za mało mamy jeszcze zakładów naukowych, w których kobiety mogłyby znaleźć owo źródło wiedzy? Zbudzone z wiekowego, letargicznego snu, dążą one do światła, słabe, nieudolne zwyciężają przeszkody, mogące pokonać silniejsze i więcej zahartowane w przeciwnościach organizmy; potykają się, błędzą w pogoni za ideałem, lecz idą dalej, a dalej — ku słońcu. Jak odlamek skały, siłą przyrody oderwany od swojej podstawy, pędzi w nieznaną krainę, ulegając niezwykłom prawu ciężenia, tak kobiety, idąc za nieprzemyślanym prądem, porzucają kraj, rodzinę, to wszystko, co im miłym i drogiem było, aby na obczyźnie zaspakajać głód umysłowy i z obcej ręki przyjmować ten niezbędny pokarm dusz swoich. Czy te męczenniczki nauki nie zasługują na współczucie i uznanie? — Ich łzy, tęsknota, walki staczane z obcymi żywiołami, powinny siostry ich, pozostałe pod strzechą rodzinną, pobudzić do czynu, zachęcić do pośpieszenia z bratnią pomocą. Jedynym środkiem poprawienia losu tych biednych tułaczek, może być tylko domaganie się o otworzenie zamkniętych dotąd przed kobietami podwoi wszechnic krajowych. Pojedyncze usiłowania nie osiągną celu, pionierstwo jest bronią zdeskredytowaną niejako, bo łatwo może być wziętą za kaprys lub chorobliwą mrzonkę. Podczas, gdy zbiorowe usiłowania mają za sobą powagę liczby, są wyrazem potrzeb ogółu, a tych nikt lekceważyć się nie ośmieli. Stwarzać nowe zakłady naukowe, jest rzeczą niełatwą i długą bardzo, na to może nas nie stać jeszcze, lecz



zdożyć dla kobiet już istniejące polskie uniwersytety, jak lwowski i krakowski, jest obowiązkiem wszystkich, którzy w tym kierunku działać mogą. Podanie petycyj z jak największą liczbą podpisów, narobiłoby może trochę wrzawy z początku, lecz ta, opozycyjna nawet, byłaby zwiastunką przyszłego zwycięstwa, bo nic bez walki się nie zdobywa, a symbolem martwoty tylko jest spokój bezwzględny. W ślad za wolnym wstępem kobiet na uniwersytety musiałaby pójść reforma średniego ich wykształcenia tak bardzo niedostatecznego jeszcze, bo wtedy dopiero dałaby się uczuć dotkliwie potrzeba systematycznego nabywania wiadomości wstępnych.

Czerpiąc naukę w kraju własnym, w języku ojczystym, o ileż łatwiej mogłoby użytkować nabyte wiadomości dla dobra ojczyzny i współbraci. W rękach kobiety spoczywa przyszłość pokoleń, — zostało powiedzianem — kobiety muszą nauczyć dzieci kochać kraj swój nadewszystko i strzec domowych penatów. Cóż więc, jeżeli nie wszechstronna wiedza, zastosowana do na-

szych warunków, na swojskim gruncie zaszczerpiona, może wskazać kobietom drogę, jaką owe pokolenia prowadzić winny? A kraj, zwłaszcza kraj mający autonomię, powinien podać im rękę i pomoc stanąć na wysokości zadania.

Kobiety zresztą wprowadzają w życie żywioł estetyczny, bez którego byłoby ono zbyt jednostronnem może. Warunkiem jednak niezbędnym estetyki jest — harmonijne zlanie się ideałów piękna, prawdy i dobra, które są celem dążenia, zarówno dla pojedynczego człowieka, jak narodu i ludzkości całej; a trzy te warunki bezwzględnej doskonałości, po które sięgać ma prawo każdy, skupiają się w dobroczynnych promieniach światła. Niech więc, wzywająca nas obecnie do wspólnych usiłowań, miłość bliźniego, będzie serdecznym siostrzanym węzłem, początkiem pracy nad podniesieniem naszego własnego losu i zagojeniem ran, krwawiących wszystkie kobiece serca.

Lublin.

Zygma.



## Ś L U B.



eni Creator!... głos w górę plynie,  
Wtórzy mu organ kościelny;  
Mirtowa zieleń zdobi świątynię  
I stroi orszak weselny.

Oblubienica, biała gołąbka,  
Z cichego gniazdko w świat kroczy,  
Z pod przecudnego zastony rąbka,  
Jak gwiazdy świecą jój oczy.

I błyska złoty promień warkocza  
Z pod liści zielonych wianka,  
W którym rumieńcem płonie uroczą,  
Jak róża — wiosny kochanka.

W orszaku dziewic dąży królewna  
Po tajemnicze swe berła,  
Z pod rżęs spuszczonej błysnęła perła —  
Łza drżąca czysta i rzewna!

I na złożone dłonie upada...  
Czy mgliste jutro tak wita?  
O! któż przepaście tych głębin zbada,  
Skąd łza i perła dobyta?...

Chwila zaślubin! w której rąk dwoje  
Do wspólnej pracy się sprzega,  
W której dwa serca na życia boje  
Wieczysta spoi przysięga...

Chwilo, tyś drobna, jak te kropelki,  
Które wód chłoną bezedna,  
Ciebie pochłonie, o chwilo jedna,  
Ludzkości ocean wielki!

Tyś tylko kroplą — lecz kropel mnóstwo  
Zbiorową siłę wytwarza,  
Więc twoją wielkość i twe ubóstwo  
Zanieś do stopni ołtarza!



Chwilo, co jedném skuwasz ogniwem  
Dwie dłonie, dusze i losy,  
Co wszechpotężnej harmonii wpływem  
Masz w akord złączyć dwa głosy.

I masz dać sercom tak silną spójnię  
I takie bicie dwoiste,  
Że będą kochać — cierpieć podwójnie,  
Podwójnie jaśnieć, gdy czyste!

Chwilo wielkiego Boga posłuchu,  
Z chwil rajskich snujesz swój wątek,  
Tyś w nieskończonym rodzin łańcuchu  
Nowej rodziny zaczątek !....

I tyś zarzewiem, skąd tajemnicza  
Iskra wybucha jak hasło,  
Bo ją uniosła ta pierś dziewicza,  
I przechowała niezgasłą.

I z niej pod cichym roztlili dachem  
Cudowny płomień ogniska,  
Co w cierpień nocy — pogodą błyska,  
W noc zbrodni — gromi postrachem.

Zbłąkanym świeci jako pochodnia,  
Odległych zdala pociesza --  
Jest światłem ciemnych, stacyą przechodnia,  
Dla ludu — słupem Mojżesza.

Lwów.

Maryla Zygmuntowska.



Moinke



## T R E Ś Ć.

	str.		str.
Wstęp . . . . .	I	Kicia. Cóż to komu jest do tego. Wiersz . . . . .	31
Ambroziewiczowa Antonina z Cybulskich. Wspomnienie . . . . .	1	Klemensiewicz Teresa. Prąd ducha czasu . . . . .	75
Anda. Chleba naszego . . . . .	2	Kobryńska Amelia. Na przebój . . . . .	36
Antoniewicz Zofia. Łza . . . . .	3	K. Ulana. Dumki . . . . .	33
Aniela. Jezioro . . . . .	3	Kondracka Marya. Urywki z wspomnień o Rzymie (Grób Cecylii Metelli) . . . . .	31
Ariel Stanisława. Czczony dąb . . . . .	4	Konieczna Adela. Dwaj smutni. Pieśń . . . . .	34
Ariola. Do głodnych w Galicyi . . . . .	5	Konopacka Izabela z Lipińskich. Łakniemy (modlitwa) . . . . .	33
Badowska Ewelina. Przed gmachem teatralnym. Wspomnienie . . . . .	5	Konopnicka Marya. Dwie piosenki . . . . .	33
— Wiersz . . . . .	6	Kościątkowska Wila Zyndram. Urywek z obszerniejszej pracy . . . . .	34
Baranowska Agnieszka z Lipskich. Góry — Doliny. Piosnka na dwa głosy . . . . .	6	Kowerska Zofia. Ostatni uśmiech. Nowella . . . . .	35
Bartus Marya. Do dziewczyny. Z pism niedrukowanych . . . . .	10	Krajewska Teodora. Kand. nauk. med. Urywek . . . . .	38
Belejowska F. Rozprawka . . . . .	7	Krausharowa Jadwiga. Pessimizm w poezyi . . . . .	38
Bronika. Do pracy . . . . .	9	Krechowiecka Marya. Morituri . . . . .	40
Brożyna Marya. Wiersz . . . . .	9	Krzyżanowski Anatol (preudonim). Niepodzielni choć podzieleni. Wiersz . . . . .	40
Cichowiczowa Marya z Kellerów. Aforyzmy . . . . .	10	Kwilecka Marya. Kołysanka matki polki . . . . .	41
Cwierczakiewiczowa Lucyna. Aforyzm . . . . .	10	— Na nutę z dymem pożarów . . . . .	41
Czela. Zimową porą. Nowella . . . . .	11	Lubicz-Belina. O kawał drewna. Stara bajka wnukowi opowiedziana . . . . .	41
Deotyma. Aforyzm . . . . .	13	M... A... Pamiątka po Lelewelu . . . . .	68
Drygas Halina. Polska mowa . . . . .	13	Mandyburówna A. Urywek . . . . .	62
Elzenbergowa Z. Jadwiga. Dobra noc . . . . .	13	Marreńc Walerya. Efemeryda . . . . .	43
Esteja. Mamy pantofelki . . . . .	13	Mary. Dla głodnych. Wiersz . . . . .	45
Ezopina. Szkic z natury . . . . .	16	Mellerowa Zofia. Aforyzm . . . . .	46
Faléńska Marya. Wyrzedaż . . . . .	18	Miaczyńska Helena. W zimowy wieczór . . . . .	45
G. P. Z życia poetów . . . . .	21	Miłkowska Zofia z Wróblewskich. Wiara w ojczyznę . . . . .	46
Gasztowtt Julia. Przy oknie . . . . .	22	Miłkowska Hanna. Aforyzm . . . . .	46
G. Helena. Do wiosny . . . . .	22	Miłkowska Helena. Aforyzm . . . . .	46
Grynbergowa Zofia. Kropla w morzu. Z dawnych legend . . . . .	23	Mirowska A. Na stanowisku . . . . .	47
Hartingh Z. Dwie miłości . . . . .	23	Modzelewska Wanda. Aforyzm . . . . .	46
Hempel Helena. Trzy role . . . . .	24	Morawska Z. Sprawa honorowa . . . . .	48
Horoszkiewiczowa Walentyna z Trojanowskich. Puśćcie mnie do szkoły . . . . .	24	Morzowska A. Aforyzmy . . . . .	82
J...na. Urywek z Dziennika podróży do Krakowa . . . . .	25	Nadejde Zofia. (Nadejda) Urywek . . . . .	49
Jedna z wielu. Kwestya męska . . . . .	26	Neumann Anna. (Kalina) Drobnie cegły . . . . .	50
Łza. Z Naddniestrzańskich motywów ludowych . . . . .	26	Neyman Helena. Bez chleba . . . . .	50
Izabella. Fantazyja i rozum . . . . .	27	Nowakowska Franciszkowa. Kto kocha . . . . .	46
Jeku (Zeku). Urywek . . . . .	27	Obreńska Marya. Kwestya kobieca . . . . .	50
Ilnicka Marya. Grunt dobry. Przekład z Juliusza Barbier . . . . .	28	Dr. prof. Ogonowska Malwina. Misericordia, czyli Bractwo miłosierdzia, wyjątek z obszerniejszego studjum . . . . .	51
Jarmund Marya. Tysiąc dukatów. (Z dawnych wspomnień) . . . . .	31	Orzeszkowa Eliza. Gdzie szczęście. Nowella . . . . .	52
Kamocka Józefa. Dwie iskry boże . . . . .	29	Ostoja. Panna Berta. Nowella . . . . .	56
	32	Parczewska Melania. Urywek . . . . .	58



	str.		str.
Piątkowska Ignacya. Czytała . . . . .	60	Szembek M. z F. Wiersz . . . . .	70
Polka. Wiersz . . . . .	60	Teresa-Jadwiga. Wspomnienie z przeszłości dla dzieci miasta Lwowa . . . . .	76
Popowicz Klementyna. Okruszyny . . . . .	60	Terpiłowska Julia. Do Irlandzkiej dziewczyny . . . . .	75
Pruszkowa-Duchńska Seweryna. Wiersz . . . . .	67	Urbańska Wiktorya z Treterów. Urywek . . . . .	76
Przewóska Marya Czesława. Aforyzm . . . . .	44	W. S. Urywek . . . . .	78
R. R. Drobiazgi . . . . .	62	Walewska Cecylia. Nie spała . . . . .	80
Rajchmanowa Melania. (Almawiwa) W antrakcie . . . . .	62	Węzyk. Z chaosu . . . . .	82
Rawiczanka. Karta z przeszłości . . . . .	63	Wieliczko Bronisława. Dla chleba . . . . .	79
Rodziewiczówna Marya. Stary . . . . .	65	Wysłouchowa Marya. Pobratymka . . . . .	83
Szaniecka Emilia. Urywek . . . . .	70	Z. Jadwiga. Bratu . . . . .	82
Sedlaczkówna Janina. Aforyzm . . . . .	70	Z. M. Gwiazda sieroty . . . . .	85
Skabioza. Z motywów ludowych . . . . .	70	Zakrzewska Franciszka. Na Golgocie . . . . .	74
Stacherska Walerya. W ciszy wieczornój . . . . .	71	Zora. Lud Krakowski wita Naczelnika . . . . .	87
Syxtus Maryan. (Pseudonim) Memento . . . . .	72	Zygma. Pod sztandarem miłości bliźniego . . . . .	89
Szczawińska Wanda. Aforyzmy . . . . .	72	Zygmuntowska Maryla. Ślub . . . . .	90
Szczęśna. Wiersz . . . . .	74	Zmichowska Narcyza. Myśli z prac pozostałych . . . . .	85
Szeliga-Loévy Marya. Opowiadanie . . . . .	72		













Biblioteka Śląska w Katowicach  
Id: 0030000168446



III 560535

4p